

CARROLL JENNY

SZUKAJĄC SIEBIE

Nazywam się Jessica Mastriani.

Może o mnie słyszeliście. Ale nie obrażę się, jeżeli nie. Zresztą chyba nawet tak bym wolała.

A mogliście o mnie słyszeć, bo to mnie prasa nazwała „dziewczyną od pioruna”. Kiedy kilka lat temu uderzył we mnie piorun, zyskałam zdolności parapsychiczne, dzięki którym potrafiłam odnajdywać zaginionych ludzi we śnie.

Było wtedy o tym dość głośno. Przynajmniej w Indianie, skąd pochodzę. Nakręcili nawet serial telewizyjny na podstawie historii mojego życia. Nie był na nim oparty zbyt dokładnie. To znaczy, mnóstwo rzeczy zmyślili. Na przykład, że pojechałam do Quantico szkolić się na agentkę FBI. Wcale tak nie był o. Aha, i w serialu uśmiercili też mojego tatę. W rzeczywistości żyje i ma się świetnie.

Ale nie miałam do nich pretensji (choć tata nie był specjalnie zachwycony), bo za serial mi zapłacili. Za prawo do wykorzystania mojego nazwiska, mojej historii i inne takie. Na koniec zrobiło się z tego sporo pieniędzy, mimo że serial pokazują tylko w kablówce i to nawet nie w którejś z głównych stacji.

Rodzice realizują czeki, które dostają co miesiąc, i inwestują je w moim imieniu. Nie musiałam jeszcze naruszyć tego kapitału. Wydają tylko od czasu do czasu trochę odsetek, kiedy nie starczy mi kasy najedzenie albo czynsz czy coś takiego. Co wcale ostatnio tak często się nie zdarza, bo mam pracę na lato, i tak dalej. Może nie najlepszą pracę pod słońcem. Ale przynajmniej nie pracuję dla FBI, jak w tym serialu o moim życiu.

Pracowałam dla nich przez jakiś czas. Mają tam specjalny wydział, którego szefem jest taki jeden facet, Cyrus Krantz. Pracowałam tam przez prawie rok.

Widzicie, to wcale nie miało tak wyglądać. To znaczy, moje życie. Zaczęło się od tego uderzenia pioruna. Przecież zupełnie tego nie planowałam. Bo nikt - a przynajmniej nikt przy zdrowych zmysłach - nie chciałby zostać trafiony przez piorun i zyskać zdolności parapsychiczne, bo - możecie mi wierzyć w tej sprawie - to jest totalna beznadzieja. To znaczy, ludzie, którym pomogłam, pewnie to doceniają. Ale ja sama nie miałam z tego żadnej większej frajdy, przysięgam.

A potem zaczęła się wojna. Tak jak piorun uderzyła znienacka. I jak piorun zmieniła wszystko. Nie tylko dlatego, że nagle ludzie przy naszej ulicy wywieszali przed domami amerykańskie flagi i że dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak przymurowani, wgapialiśmy

się w CNN. Dla mnie zmieniło się o wiele więcej. Ja przecież nawet jeszcze wtedy nie skończyłam liceum, a Wuj Sam i tak zwrócił się do mnie: „Jesteś nam potrzebna”.

Problem w tym, że oni mnie naprawdę potrzebowali. Umierali niewinni ludzie. Co ja miałam zrobić, odmówić?

Chociaż, prawdę mówiąc, z początku próbowałam odmawiać. Aż wreszcie mój brat, Douglas - ten, który według mnie powinien najbardziej protestować przeciwko moim związkom z FBI - powiedział:

- Jess, co ty wyrabiasz? Musisz się zgodzić.

No to się zgodziłam.

Najpierw powiedzieli mi, że mogę pracować z domu. Co mi odpowiadało, bo naprawdę musiałam skończyć czwartą klasę, i tak dalej.

Ale byli też ludzie, których należało odszukać, i to szybko. Jak niby miałam to zrobić? Przecież był a wojna.

Wiem, że dla większości ludzi ta wojna toczyła się gdzieś tam, daleko. Założę się, że przeciętny Amerykanin nawet o niej nie myślał poza tymi chwilami, no wiecie, kiedy włączał wieczorne wiadomości i widział, jak terroryści wysadzają ludzi w powietrze i tak dalej. Tylu a tylu żołnierzy piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych zginęło w dniu dzisiejszym - mówili w wiadomościach. A następnego dnia ludzie słyszeli: Znaleźliśmy tylu a tylu terrorystów ukrywających się w jaskiniach w górach Afganistanu.

No cóż, z mojego punktu widzenia wyglądało to inaczej. Ja nie oglądałam wojny w telewizyjnych wiadomościach. Zamiast tego widziałam ją na żywo. Boja tam byłam. A byłam tam, bo to ja im mówiłam, w których jaskiniach mają szukać ludzi, których bezzwłocznie musieli pojmać.

Najpierw próbowałam to robić z domu, a potem z Waszyngtonu.

Ale bardzo często, kiedy mówiłam im, gdzie mają szukać, oni szukali, a potem wracali i mówili:

- Tam nikogo nie było.

Aleja wiedziałam, że nie mają racji. Boja się nigdy nie myliłam. Czy raczej, powinnam może powiedzieć, moje zdolności nigdy mnie nie zawiodły.

Więc wreszcie powiedziałam:

- Posłuchajcie, wyślijcie mnie tam, a ja wam pokażę, gdzie szukać.

O niektórych znalezionych przeze mnie ludziach słyszeliście w telewizji. Inni, których znajdowałam, byli objęci tajemnicą wojskową. Do niektórych przeze mnie znalezionych nie mogliśmy się dostać ze względu na miejsca, gdzie się ukrywali, głęboko w górach.

Niektórych chcieli mieć na oku i obserwować, jak sytuacja się rozwinie. A innych, znajdujących przeze mnie, spotykała śmierć.

Ale ich znajdowałam. Wszystkich znajdowałam.

I wtedy zaczęły się koszmary. Przestałam w ogóle sypiać. To znaczyło, że nikogo więcej nie mogłam odnaleźć. Bo nie mogłam śnić.

Zespół stresu pourazowego. Czyli TPSD. W każdym razie tak to nazywają. Próbowali wszystkiego, co im przychodziło do głowy, żeby mi pomóc. Leki. Psychoterapia. Weekend przy wielkim, pięknym basenie w Dubaju. Nic z tego.

No więc, koniec końców, odesłali mnie do domu, myśląc, że może mi się polepszy, kiedy znajdę się w swoim normalnym otoczeniu.

Ale problem polegał na tym, że kiedy wróciłam do domu, wcale nie znalazłam się w normalnym otoczeniu. Wszystko wyglądało inaczej.

Pewnie jestem niesprawiedliwa. Pewnie tak naprawdę to ja się zmieniłam, a nie inni. No bo człowiek ogląda takie rzeczy: dzieciaki wrzeszczą do ciebie, żeby nie zabierać im ojca, różne rzeczy wylatują w powietrze... ludzie wylatują w powietrze... A ty masz raptem siedemnaście lat, czy coś koło tego - hej, a nawet gdyby mieć ze czterdzieści - trochę trudno w rok potem ot tak, jakby nigdy nic, wrócić do domu. I co? Chodzić do centrum handlowego? Robić sobie pedicure? Oglądać *Sponge Bob Kancias topoty*?

Dajcie spokój.

Ale nie mogłam też wrócić do tego, czym się zajmowałam wcześniej. To znaczy do pracy dla FBI. Sama siebie nie umiałam już odnaleźć, a co dopiero kogoś innego. Bo już nie byłam „dziewczyną od pioruna”.

Odkrywałam powoli, że stałam się kimś, kim nie byłam od bardzo długiego czasu.

Normalną osobą.

A w każdym razie o tyle normalną, o ile taka dziewczyna jak ja może być normalna. No bo w końcu z własnego wyboru noszę włosy niemal tak krótkie jak niektórzy z tych komandosów, z którymi współpracowałam.

I przyznam, że mam niejakie upodobanie do krążowników szos. Tych dwuśladowych. Nie takich z napędem na cztery koła.

I przyznam też, że nigdy nie uważałam, że fajny dzień to taki, kiedy się dzwoni do przyjaciółek albo gada z nimi przez sieć, a potem umawia do kina na romantyczną komedię. Bo po pierwsze, ja mam tylko jedną, no może dwie przyjaciółki. A po drugie, lubię takie filmy, w których coś wybucha.

A przynajmniej kiedyś lubiłam. Dopóki różne rzeczy nie zaczęły dość regularnie wybuchać wokół mnie. Teraz podobają mi się filmy o komiksowych istotach z kosmosu, które mieszkają na Hawajach z małymi dziewczynkami, albo o rybkach, które się gubią. Tego typu rzeczy.

Ale pomijając tych parę drobnych szczegółów, jestem jak najbardziej normalna. Trochę to potrwało, ale mi się udało. Poważnie. Prowadzę życie, które z każdego punktu widzenia można by określić jako normalne. Mieszkam w normalnym mieszkaniu i mam normalną współlokatorkę. No cóż, dobra, Ruth, moja najlepsza przyjaciółka od niepamiętnych czasów, nie jest tak zupełnie normalna. Ale dla mnie wystarczy. Robimy razem normalne rzeczy, na przykład chodzimy po zakupy albo zamawiamy do domu chińszczyznę i oglądamy w telewizji te durne seriale, za którymi ona tak przepada.

I niech będzie, Ruth przez cały czas stara się mnie gdzieś wyciągać, na przykład na koncerty na świeżym powietrzu i inne takie. A ja już bym raczej woląla siedzieć w domu i ćwiczyć grę na flecie. Więc może nie jestem jednak tak do końca normalna.

Ale hej, ona mi załatwiła pracę na lato. I to całkiem normalną letnią pracę, taką, za którą człowiekowi płacą marne grosze. Czy nie dokładnie czegoś takiego oczekuje normalna dziesiętnastolatka? Marnie płatnej pracy na lato?

No więc jest normalnie. Na szczęście przy moich wypłatach z FBI (Tak, byłam na ich liście płac. Nie jako agentka, czy coś. Ale płacić mi musieli. No co wy? Miałam niby harować dla nich za darmo?) i odsetkach od zainwestowanej kasy za serial telewizyjny, i przy tym, co mama i tata podsyłają mi z domu, radzę sobie nieźle.

Poza tym, rozumiecie, przecież to nie tak, że jestem tu sama. Ruth i ja zrzucamy się na wszystkie wydatki: zakupy spożywcze, czynsz (dość wysoki, chociaż mamy mieszkanie z jedną tylko sypialną. No, ale tak to już bywa w nowojorskiej Hell's Kitchen, czyli, jakby ktoś z was nie wiedział, najdroższej dzielnicy mieszkaniowej na świecie)... Wszystko dzielimy po połowie.

W każdym razie, ta praca... No, w sumie jest fajna. Pomaga się dzieciakom - i zresztą to nieco zabawne, bo przecież dokładnie coś takiego robiłam, kiedy zaczęła się ta cała historia z piorunem i resztą (zanim zaczęłam, zamiast ratować dzieciom życie, komplikowałam je, aresztując ich ojców). Ruth załatwiła sobie pracę w takiej jednej organizacji pozarządowej. Dowiedziała się o niej z tablicy ogłoszeń na swojej uczelni (kiedy już ją przyjęli na wszystkie uczelnie, gdzie składała podania, zdecydowała się na Columbię).

Mnóstwo osób - na przykład rodzice Ruth i jej brat bliźniak, Skip, który studiuje na Uniwersytecie stanu Indiana, a teraz przyjechał do Nowego Jorku na lato i ma praktykę w

jakiejś firmie na Wall Street - uważają, że Ruth mogła znaleźć sobie lepiej płatną wakacyjną pracę, skoro już studiuje na Columbii, która jest przecież uczelnią należącą do Ligi Bluszczowej i tak dalej.

Ale Ruth mówi zawsze: „Mnie zależy na tym, żeby zmieniać świat” - no i bardzo fajnie, bo jej rzeczywiście na tym zależy. A robi to w ten sposób, że organizuje grupy muzyków i aktorów, którzy odwiedzają różne miejskie dzienne świetlice i półkolonie, gdzie pomagają dzieciakom wystawiać jakieś sztuki czy musicale, bo miasto nie ma wystarczających środków, żeby zatrudniać prawdziwych, dyplomowanych nauczycieli.

Najpierw uznałam, że to jakaś głupota - to znaczy, ta wakacyjna praca Ruth. W jaki sposób, wystawiając sztukę w dziennej świetlicy osiedlowej, pomóc dzieciakowi, którego matka to, na przykład, ćpunka?

Ale potem, któregoś dnia, Ruth zapomniała zabrać z domu portfel i poprosiła, żebym go jej podrzuciła. Więc to zrobiłam, chociaż oderwała mnie od ćwiczeń na flecie.

Ale okazało się, że było warto. Bo z miejsca zobaczyłam, że nie miałam racji. Wystawienie jakiejś sztuki w dziennej świetlicy może ogromnie pomóc dzieciakowi, i to nawet takiemu, który ma mnóstwo problemów w domu (nie takich jak zamknięcie tatusia w amerykańskim wojskowym więzieniu, ale na przykład takich, że babcia jest zaćpana, czy coś). To strasznie fajna sprawa patrzeć, jak taki dzieciak, który nigdy przedtem nie widział na oczy żadnej sztuki, nagle zaczyna w takiej sztuce grać. Albo - i tutaj pojawia się moja rola - jak dzieciak, który nigdy w życiu nie grał na żadnym instrumencie muzycznym, nagle zaczyna na nim grać.

I mnie to też daje masę radości, bo mam okazję robić to, co robię najlepiej, czyli grać na flecie. To znaczy, pewnie mogłabym załatwić sobie na wakacje pracę flecistki w jakiejś orkiestrze. Ale czy próbowaliście kiedyś spędzić choć trochę czasu z ludźmi z jakiejś orkiestry? I nie mówię tu o dzieciakach, które grają w orkiestrach szkolnych. Mówię o prawdziwych zawodowych muzykach klasycznych.

No cóż, odkąd zaczęłam chodzić do Juilliard w zeszłym roku, miałam po temu okazję. I wiercie mi, o wiele fajniej jest robić to, czym zajmuję się właśnie teraz, czyli pokazywać dzieciakom, które nigdy przedtem nie widziały fletu na oczy, jak na czymś takim grać. To jest super. Bo one robią takie naprawdę wielkie oczy, kiedy zagram jakiś naprawdę szybki kawałek, na przykład *Lot trzmiela* czy coś Czajkowskiego, a potem mówię im, że też się nauczą tak grać, jeśli tylko będą ćwiczyć.

A oni mi na to zawsze:

- Nie ma mowy, nigdy nam się to nie uda. A ja im odpowiadam:

- Uda się. Zobaczycie. - A potem im pokazuję, jak się gra. Za każdym razem mam wtedy niesamowitą radochę.

- Skip mówi, że Ruth powinna była załatwić sobie praktykę w jakiejś agencji reklamowej i że z tych dzieciaków nigdy nie będzie nic dobrego, niezależnie jak bardzo będą bombardowane sztuką. Do mnie takich rzeczy nie mówi, ale tylko dlatego, że chciałby się do mnie dobrać. Firma, w której ma letnie praktyki, opłaca mu czynsz (I dlatego Skip waletuje u nas na kanapie - żeby odkładać pieniądze na czynsz na coś, ha czym naprawdę mu zależy. Znając go, to coś naprawdę dużego, na przykład porsche). Jest tu nawet teraz w tej chwili, leży rozwalony na naszej kanapie (albo powinnam może powiedzieć, na swoim łóżku) i ogląda *Vabank* z moim bratem, Michaeliem, który też jest w Nowym Jorku, ma tu praktykę i też mieszka na waleta w naszym mieszkaniu. (Śpi na podłodze. Skip pierwszy zaklepał sobie kanapę).

Mike też wylądował na Uniwersytecie stanu Indiana po tym, jak zrezygnował z miejsca na Harvardzie, bo zakochał się w dziewczynie, która potem go rzuciła dla jakiegoś faceta po znanego przy pracy w letnim teatryku na wydmach Michigan. W naszym domu nie wolno już głośno wymieniać nazwiska Claire Lippman. Przyjechał teraz do Nowego Jorku na lato i ma pracę, która związana jest z komputerami i śledzeniem cyberterrorystów. Trochę coś takiego jak to, co sama robiłam w czasie wojny, tylko że on się tym zajmuje, siedząc w jakimś boksie w kampusie Uniwersytetu Columbia, zamiast w namiocie na piaszczystej pustyni.

Czasami Mike opowiada nam o swojej pracy. Wszyscy wolelibyśmy, żeby tego nie robił.

I Skip, i Mikey wyrzaskują teraz odpowiedzi na pytania z *Vabanku* w stronę ekranu telewizora. Skip większość zgaduje źle. Mike większość zgaduje prawidłowo.

Fajnie jest mieć latem blisko siebie chociaż jednego z braci, nawet jeśli nie jest to mój ulubiony brat. Ulubiony to Douglas, a on jest tam, w Indianie i wynajmuje pokój od moich rodziców.

Ale przynajmniej z nimi nie mieszka, a to już jakiś postęp. Wynajmuje od nich kawalerkę nad jedną z ich restauracji, Mastriani, odbudowanej po pożarze, który ją zniszczył. Pracuje w sklepie z komiksami i sam trochę rysuje. Moim zdaniem mógłby zrobić karierę jako autor komiksów. Poważnie. Nie wiem, czy to przez głosy, które kiedyś słyszał w swojej głowie, czy co, ale te jego rysunki są naprawdę niezłe.

No więc jest dobrze. Bo przez długi czas myśleliśmy, że Douglas nigdy sobie w życiu nie poradzi - co dopiero mówić o jakiejś samodzielności.

Osobiście nigdy też nie sądziłam, że w życiu poradzi sobie Skip - już prędzej, że go ktoś zabije za bycie takim nieznośnym robalem - ale jak sam twierdzi, kiedy robi dyplom w Kelly School of Business, gdzie teraz studiuje, znajdzie sobie pracę, która mu przyniesie ponad sto tysięcy dolarów rocznie.

Więc chyba co do Skipa też się myliłam.

Ale nadal jest wkurzający. Czasami i tak pozwalam mu się gdzieś zaprosić, bo to w końcu posiłek za darmo. Dziewczyna mogłaby gorzej trafić. Właśnie to stale mi powtarza moja mama. Nie posiadałaby się ze szczęścia, gdybym związała się ze starym poczciwym Skipem, facetem od stu tysięcy dolarów rocznie.

Tak. To kolejna rzecz dla mnie normalna: nie mam chłopaka. Nie żeby w Juilliard - nie wspominając już o pozarządowej organizacji, która dała nam tę letnią pracę - nie roilo się od świetnych heteroseksualnych facetów... (Żartuję sobie. Bo oczywiście, wcale się nie roi). Pewnie po prostu jeszcze nie znalazłam tego jedyne, chociaż kiedyś, dawno temu, wydawało mi się, że już go spotkałam.

Ale okazało się, że się myliłam.

No więc wyobraźcie sobie moje zdumienie... Ruth mówiła:

- Okay, poważnie, chłopaki, musimy gdzieś się wspólnie latem wyrwać. Mówię serio, Skip, słuchasz mnie? To ty oszczędzasz całą tę kasę, sypiając na naszej kanapie, więc powinienes trochę dla nas wyskubać. Nie mam zamiaru przez cały sierpień gotować się na tym upalnym Manhattanie. Chodzą mi po głowie przynajmniej weekendy na Jersey Shore.

A Skip i Mike obaj wrzeszczeli do telewizora:

- Orion! To Orion! I dokładnie w tej chwili ktoś zapukał do drzwi, a ja poszłam otworzyć, pewna, że to dostawca pizzy, ale zamiast tego za drzwiami zastałam swojego byłego chłopaka.

Można by pomyśleć, że osobie obdarzonej parapsychicznymi zdolnościami takie rzeczy nie będą się przytrafiać bez żadnego ostrzeżenia.

No ale właśnie to jest w mojej sytuacji najgorsze: już nie mam zdolności parapsychicznych.

Jess... - odezwał się Rob, zaglądając ponad moim ramieniem głąb dużego pokoju, gdzie Skip i Mike rozwalali się na kanapie jak dwa wielkie wyrzucone na plażę tuńczyki. - Czyja przychodzę w złym momencie?

„Jess, czyja przychodzę w złym momencie?!”

To takimi słowami zwraca się do mnie mój były chłopak po dwóch latach ciszy w eterze? Bez choćby jednego telefonu?

No dobra, to ja wyjechałam do Afganistanu, przyznaję.

Ale czy muszę wam przypominać, że zrobiłam to, żeby pomóc wygrać tę wojnę?

Przecież to nie tak, że pojechałam tam dla zabawy.

W przeciwieństwie do zabaw, jakie on sobie fundował przez cały czas, kiedy mnie nie było. A przynajmniej tak zakładam na podstawie sceny po powrocie, kiedy zastałam go na całowaniu się tuż przed warsztatem jego wujka z jakąś tlenioną blondyną ubraną w top bez ramiączek.

Och, jasne. On powiedział, że to ona go pocałowała. Za to, że naprawił jej gaźnik. Powiedział, że gdybym została, zamiast wiać stamtąd jak jakiś tchórz, tobym zobaczyła, jak jej za to nagadał.

Tak. I jeszcze co? Bo faceci to pewnie nienawidzą, kiedy takie tlenione blondyny w butach na platformach, z opalenizną z puszki i cyckami większymi niż moja głowa nachylają się i obdarzają ich mokrymi, szczodrymi pocałunkami.

A co mi tam. Przecież to też nie tak, że przed tym moim wyjazdem do Waszyngtonu, a potem na Wschód, układało się nam idealnie. Moja mama nie była - powiedzmy - zachwycona, że jej niespełna siedemnastoletnia córka spotyka się z facetem, który nie dość, że już skończył liceum, to jeszcze:

- a) nie wybierał się na studia,
- b) pracował jako mechanik w warsztacie swojego wujka,
- c) pochodził z „niewłaściwej okolicy”, czy, jak to się mówi u nas, był wieśniakiem,
- d) miał kuratora sądowego z powodu wykroczenia, którego nigdy nie zechciał wyjawic.

Trudno powiedzieć, żeby mama ułatwiała nam obojgu życie. Tego pierwszego (i jedyne) wieczoru, kiedy Rob przy szedł do nas na obiad, zwróciła mu uwagę, że jeśli w wielkim stanie Indiana ktoś w wieku lat osiemnastu lub powyżej podejmuje współżycie

seksualne z kimś w wieku lat szesnastu lub mniej, to traktuje się to jako uwiedzenie osoby nieletniej, czyli przestępstwo karane z reguły wyrokiem dziesięciu lat więzienia, do których dodaje się kolejne dziesięć lat lub odejmuje cztery w przypadku wystąpienia innych obciążających lub łagodzących okoliczności.

I nieważne, że tyle razy jej tłumaczyłam, że Rob i ja nie podejmujemy współżycia seksualnego (ku mojemu ogromnemu żalowi i rozgoryczeniu). Wystarczyło, że mama wymieniła słowa „uwiedzenie osoby nieletniej”, a Rob zniknął z obietnicą, że wróci, jak już skończę osiemnastkę.

Nawet nie udało mi się pójść na ślub jego wujka, na który obiecał mnie zabrać.

A potem zaczęła się ta wojna.

A kiedy z niej wróciłam, skończywszy osiemnaście lat i utraciwszy tę jedyną cechę, która odróżniała mnie od wszystkich innych dziewczyn w mieście (pomijając odmowę zapuszczenia włosów), przyłapałam go z Panną Dziękuję - Prześlicznie - Za - Naprawienie - Mi - Gaźnika - A - Teraz - Napatrz - Się - Na - Moje - Balonowate - Cycki.

On mnie nie zauważył. To znaczy tego, że go z nią widziałam. Douglas mu wygadał, kiedy Rob później tego samego dnia wstąpił do sklepu z komiksami, co według Douglasa robi od czasu do czasu, chcąc odebrać swoje ostatnie *Spidermany* (trochę dziwne, aleja nawet nie wiedziałam, że Rob lubi komiksy) i poplotkować z Douglasem, w razie gdyby akurat pracował za ladą.

No i Douglas powiedział mi, że jestem w domu, i Rob podjechał do nas tego samego popołudnia, na tej samej pomrukującej, wypieszczonej indianie, na której przewiózł mnie po raz pierwszy tak wiele lat temu.

Wydawał się mocno zdziwiony, kiedy mu powiedziałam, że ma się wynosić do diabła z mojego domu. I jeszcze bardziej zdziwiony, kiedy go poinformowałam, że widziałam go z tą blondynką.

Najpierw chyba myślał, że się wygłupiam. Potem, kiedy zrozumiał, że wcale nie, wściekł się. Powiedział, że nie ma pojęcia, o co mi w ogóle chodzi. Powiedział też, że ta Jess, którą on znał, nie uciekła tylko dlatego, że zobaczyła, jak go całuje jakaś dziewczyna. Powiedział, że ta Jess, którą znał, została tam i stłukła go na kwaśne jabłko (o dziewczynie już nie wspominając).

Powiedział też, że nie mam pojęcia, jak on się czuł, kiedy wyjechałam nie wiadomo dokąd, a bał się, czy gdzieś tam mnie nie wysadzą w powietrze, czy coś (bo przecież oni nie pozwalali mi dzwonić do znajomych i mówić im, gdzie jestem, kiedy byłam za granicą).

Robowi chyba nigdy do głowy nie przyszło, że mnie też tam wcale nie było lekko. Można by oczekiwać, że się tego domyśli, kiedy te wszystkie gazety zaczęły obwieszczać mój powrót do domu i do normalnego życia („Dziewczyna - Piorun Traci Iskierkę” albo „Bohaterka Wraca do Domu, Już Nie Medium - Wszystko Oddała Wojnie”).

Robowi pewnie nigdy nie wpadło do głowy, że ja już nie jestem tą Jess, którą kiedyś znał, a która stukłaby go na kwaśne jabłko. Już nie.

To ja zaproponowałam, żebyśmy na jakiś czas dali sobie z tym wszystkim spokój.

To on powiedział, że może to wcale nie jest taki głupi pomysł.

A potem dostałam telefon z Juilliard: przyszła kolej na moje miejsce z listy oczekujących - chociaż prawie już nie pamiętałam, że miałam u nich przesłuchanie. Odbyłam je w czasie jednego ze swoich przyjazdów na przepustkę do domu. Pytali, czy nadal reflektuję.

Czy reflektowałam? Na szansę zatracenia się w muzyce? Szansę ucieczki przed samą sobą, przed koszmarami sennymi, przed blondynkami o cyckach wielkości mojej głowy, przed moją matką?

Jasne, że tak.

No więc wyjechałam. Bez pożegnania.

I nigdy go już potem nie widziałam.

Aż do dzisiaj.

No cóż, dobra, to nie do końca prawda. Chyba powinnam się przyznać, że nie mogłam się oprzeć zmuszaniu innych (sama nigdy bym tego nie zrobiła ze strachu, że on by mnie mógł zobaczyć) do przejeżdżania obok warsztatu, w którym Rob pracuje, żebym mogła, skulona na tylnym siedzeniu, od czasu do czasu rzucić na niego okiem. Jak wtedy, kiedy przyjechałam z uczelni na Boże Narodzenie, i na ferie wiosenne, i tak dalej.

A on zawsze wyglądał tak samo świetnie jak tego dnia, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy w czasie odisiadki w Liceum Ernie Pyle - taki wysoki i przystojny... I ogólnie taki fajny. Wiecie, co mam na myśli?

Ale nigdy nie zadzwonił. Nawet wtedy, kiedy musiał wiedzieć, że jestem w domu, jak w czasie zimowych ferii. Z całą pewnością nie przejeżdżał koło mojego domu w środku nocy, żeby sprawdzać, czy w moim pokoju pali się światło, ani nie rzucał kamykami w moje okno, żebym zeszła na dół.

Uznałam, że postanowił żyć dalej. I nie miałam mu tego za złe. Przecież ja też nie wróciłam po tym roku spędzonym na wojnie... No cóż, niezmieniona. Z całą pewnością nie byłam, tą samą osobą, co kiedyś, co mi zresztą tak skwapliwie wytknął.

Więc założyłam, że on też widać nie jest już tą samą osobą. Może, myślałam, moja mama miała rację. Rob i ja za bardzo się różnimy, żeby się dogadać. Pochodzimy ze zbyt odmiennych kręgów. To, czego chce Rob... No cóż, nie wiem, czego on chce, bo już od tak dawna go nie widziałam. A teraz, kiedy nie potrafię odszukiwać ludzi, sama też nie wiem, czego chcę.

Ale wiem, że to niemożliwe, żebyśmy - Rob i ja - chcieli tego samego. Bo w mojej przyszłości jakoś nigdzie nie wyobrażałam sobie topu bez ramiączek.

Wydaje mi się, że najłatwiej będzie powiedzieć sobie, że chcę tego, czego powinnam chcieć zdaniem mamy: dyplomu wyższej uczelni, sensownej kariery i porządnego, stałego faceta takiego jak Skip, który pewnego dnia będzie zarabiał po sto tysięcy dolarów rocznie. Mama mówi, że Skip to bardzo przyzwoity człowiek jako kandydat na męża dla muzyczki. Bo muzycy zwykle nie zarabiają za wiele pieniędzy, chyba że są tak sławni jak Yo - Yo Ma, czy coś.

A prawdę mówiąc, sama czuję się zbyt zmęczona, żeby próbować dociekać, czego chcę. Łatwiej już zdecydować, że chcę tego, czego chce dla mnie mama.

No więc, to właśnie dlatego. To znaczy, w kwestii Roba. Właśnie dlatego o niego nie walczyłam, nie walczyłam o to, co nas kiedyś łączyło. Nie próbowałam tego naprawiać. Czułam się po prostu za bardzo zmęczona.

Więc poszłam w swoją stronę.

Tyle, że teraz on tu się znalazł, rok później, i stał w drzwiach mojego mieszkania. Nie dotrzymał swojej części naszej niepisanej umowy.

I zdecydowanie wydawał mi się niezmienny. A nawet więcej niż tylko niezmienny. Wyglądał zupełnie tak samo przystojnie, jak tego dnia w szkole, po odsiadce, kiedy zaproponował, że mnie podwiezie do domu. Te same bładoniebieskie oczy, tak jasne, że niemal szare. Te same potargane ciemne włosy, z tyłu nieco dłuższe niż moja mama uważa za stosowne w przypadku facetów. Takie same dzinsy, opięte jak rękawiczka, wyblakłe w dokładnie tych wszystkich miejscach co trzeba (albo co nie trzeba, to już zależy od osobistego punktu widzenia).

Widok tego przystojnego faceta stojącego pod moimi drzwiami sprawił na mnie wrażenie takie, jakby... No cóż, jakby uderzył we mnie piorun.

Chociaż nie jest to dla mnie całkiem nowe doznanie.

- Zapytaj go, czy może wydać z pięćdziesięciu! - wrzasnął Skip, sądząc, że to facet z pizzą.

- I sprawdź, czy nie zapomniał płatków ostrej papryki! - zawołała Ruth z kuchni, gdzie wyjmowała talerze. - Ostatnim razem ich nie dali.

A ja tam stałam i gapiłam się na niego. Już tak dawno nie stałam tak blisko. I wszystko wracało do mnie falą: jego zapach (taki jak płyn do płukania tkanin, którego ostatnio używała jego mama, w połączeniu z mydłem i nieco delikatniejszym zapaszkiem tego środka, którego mechanicy używają, żeby pozbyć się smaru spod paznokci), to, jak kiedyś mnie całował... Jeden czy dwa lekkie pocałunki, zwykle nawet nietrafiające w moje usta, a potem jeden mocny pocałunek, prosto w usta, od którego wy dawało mi się, że eksploduję, i to, jak przytulał się do mnie całym ciałem, wysokim i twardym, i ciepłym...

- To nie jest dobry moment - powiedział Rob. - Masz towarzystwo. Mogę wrócić kiedy indziej.

- Hej, dasz radę nam wydać? - Skip przepchnął się przede mnie, wymachując pięćdziesięciodolarowym banknotem. Stał jak wryty, kiedy zobaczył, że Rob nie trzyma w ręku pizzy. - Za raz, a pizza gdzie? - zapytał. A potem spojrzał Robowi w twarz i zmrużył oczy. - Hej... - odezwał się zmienionym głosem. - Ja cię znam.

Ruth wystawiła głowę zza drzwi kuchni.

- Pamiętał pan o płatkach ostrej papryki... - Urwała, kiedy też rozpoznała Roba. - Och - powiedziała zupełnie innym tonem. - To... to...

. - Rob - podsunął Rob swoim niskim, rzeczowym głosem, od którego zawsze przyspieszał mi puls - podobnie od jakiegoś czasu przyspieszał mi go odgłos silnika motocykla. To zupełnie jak w przypadku tych psów, o których uczyliśmy się kiedyś na psychologii. Tych, które dostawały karmę na dźwięk dzwonka. Ile razy później słyszały ten dzwonek, zaczynały się ślinić. A ja ile razy słyszę odgłos silnika motocykla - albo głos Roba - serce zaczyna mi bić szybciej. W taki przyjemny sposób.

Ja wiem. Żalozne, prawda?

- No proszę - rzekła Ruth, rzucając w moją stronę zaniepokojone spojrzenie. - Rob. Z naszych stron. - Powstrzymała się od nazwania go przezwiskiem, które sama dla niego wymyśliła: Dziwadło. Pomyślałam, że to wskazuje na prawdziwą dojrzałość i rozwój. Ruth bardzo się zmieniła od czasów szkoły.

No cóż, chyba jak my wszyscy.

- Pamiętasz Roba, Skip - spytała Ruth, szturchając łokciem swojego brata bliźniaka. - Chodził do Ernie Pyle.

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł Skip bezbarwnym głosem.

Okay, dobra, no więc chyba wszyscy się zmieniliśmy od czasów szkoły, pomijając Skipa.

- No cóż. Hm... - powiedziała Ruth. - Chciałbyś wejść do środka, Rob?

Nie mam pretensji do Ruth o beładną gadaninę ani o to, że nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Sama też nie bardzo wie działam, co mam zrobić. No bo facet znika z mojego życia na rok, żeby potem pojawić się za moim progiem w innym zakątku kraju. Można się trochę pogubić.

- Czemu to tyle trwa? - Teraz jeszcze Mike wcisnął się do maleńkiego przedpokoju. Na razie nie zauważył Roba. - Potrzebujecie drobnych, czy jak?

- To nie jest facet od pizzy - rzucił Skip przez ramię. - To Rob Wilkins.

- Kto?! - Mina Mike'a wyrażała ten sam szok, który ja czułam w środku. - Tutaj?!

- Posłuchaj... - Rob zaczynał się już lekko niecierpliwic. Widziałam to po sposobie, w jaki jego ciemne brwi zaczynały się zbiegać nad nosem. Taką samą minę miewał za każdym razem, kiedy chciałam ratować porwane dziecko za pomocą jakiegoś idiotycznego planu, który zdaniem Roba był zbyt niebezpieczny. - Jeśli to niedobry moment, Jess, to ja mogę wrócić później...

Czułam, że wszyscy na mnie patrzą: spojrzenie Ruth pełne było troski (tylko ona mogła się choćby domyślać, w jaką burzę emocjonalną wprawilo mnie to nagłe pojawienie się Roba), Skip patrzył pytajaco i niechętnie (przecież przez całe lato spotykałam się w zasadzie tylko z nim... Jeśli pizzę i kino od czasu do czasu można nazwać „spotykaniem się”), Mike też patrzył niechętnie (nigdy nie lubił Roba, przede wszystkim dlatego, że nigdy nie zadał sobie trudu, żeby go lepiej poznać), ale i z odrobiną współczucia... Mike wiedział, jak bardzo starałam się uciec przed swoją przeszłością.

A Rob był częścią tej przeszłości.

Oczywiście zaczęłam czuć, że pod badawczym spojrzeniem tylu osób oblewam się rumieńcem. Poza tym nie mogłam zna leżć żadnych słów. Poważnie. W głowie miałam kompletną pustkę. Jedyne słowa, które mi przez nią przebiegały to: „Rob tu jest. Rob jest w Nowym Jorku”.

I pachnie naprawdę bardzo przyjemnie.

Poważnie. To był o zupełnie tak, jakby znów mnie walnął jakiś piorun. Pomijając jeżenie się włosków. I znamię w kształcie gwiazdy, które od tamtego czasu już zupełnie zbladło.

Ruth pierwsza przyszła mi z pomocą.

- Wyjdziemy na miasto, a wy sobie spokojnie pogadacie - zaproponowała, ruszając z miejsca, żeby odstawić obiadowe talerze.

- Wyjdziemy? - powtórzył Skip, jeszcze bardziej oburzony niż do tej pory. - A co z pizzą, którą zamówiliśmy?

- Wiesz co? - Rob obrócił się w stronę drzwi. - Wrócę później.

Dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam te jego odwracające się ode mnie szerokie plecy w dżinsowej kurtce, zdałam sobie sprawę, że coś czuję. Co, jak na mnie, już stanowiło jakiś postęp. Bo od na prawdę długiego czasu nie zdarzało mi się cokolwiek czuć.

A poczułam właśnie, że tym razem nie mam zamiaru pozwolić mu odejść. Nie tak łatwo. Nie bez jakiegoś wyjaśnienia.

- Zaczekaj - powiedziałam. Rob przystanął na korytarzu i obejrzał się w moją stronę.

Z jego twarzy nie dało się kompletnie nic wyczytać. I to nie tylko dlatego, że gospodarz domu jeszcze nie wymienił wypalanej żarówki nad drzwiami mieszkania 5A. Ale i tak widziałam, że te szarawe oczy jarzą mu się jak oczy kota.

- Tylko zabiorę klucze - dodałam. - Możemy porozmawiać, a przy okazji zjemy coś na mieście.

Zawróciłam do mieszkania, kierując się w stronę malutkie go stolika w przedpokoju, gdzie rzucamy klucze, wracając do domu. Mike zablokował mi drogę.

- Suń się - rzuciłam.

- Jess - odezwał się cicho. - Naprawdę uważasz, że...?

- Suń się - powtórzyłam nieco głośniej. Nie mam zamiaru wmawiać wam, że wiedziałam, co robię.

Z całą pewnością nie wiedziałam. Być może mój brat to wyczuł i dlatego zachowywał się jak totalny kretyn.

A może to dlatego, że starsi bracia właśnie tak się zachowują, kiedy facet, który złamał serce ich młodszej siostrze, pojawia się nie wiadomo skąd.

- No ale wiesz... - nie dawał za wygraną Mike. - Naprawdę wydaje się, że ci się ostatnio, hm, polepszyło i nie chciałbym...

- Suń się - wrzasnęłam - albo cię uszkodzę! Mike się odsunął. Zgarnęłam swoje klucze.

- Wrócę niedługo - oświadczyłam, przemykając obok Ruth, która spoglądała na mnie ze współczuciem przez swoje nowe szkła kontaktowe. Przestała nosić okulary mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dała sobie spokój z dietą niskotłuszczową i zamiast tego przeszła na wysokobiałkową.

- Myślałem, że zjemy pizzę! - zawołał za mną Skip. Stałem na korytarzu obok Roba.

- Zostawcie mi kawałek - powiedziałam do Skipa. A potem ruszyliśmy z Robem w stronę schodów.

3

Nowy Jork zupełnie nie przypomina Indiany. No cóż, pewnie sami to wiecie.

Ale poważnie, tutaj jest zupełnie inaczej niż w Indianie. Wmieście, z którego pochodzę, nigdzie nie chodzi się piechotą. No cóż, chyba że jest się moją najlepszą przyjaciółką, Ruth, i chce się schudnąć. Wtedy może czasami gdzieś się chodzi.

W Nowym Jorku chodzi się piechotą wszędzie. Nikt tu nie ma samochodu - albo, jeśli już ma, to korzysta z niego tylko po to, żeby robić sobie wycieczki za miasto. A to dlatego, że ruch uliczny jest tu niesamowity. Każda ulica zakorkowana jest tak sówkami, samochodami dostawczymi i limuzynami.

Poza tym wszędzie można dojechać metrem. A cała ta gadanina, że niby metro jest niebezpieczne... To nieprawda. Trzeba tylko zachowywać przytomność umysłu i starać się za bardzo nie przypominać głupiego turysty z nosem zatopionym w jakiejś mapie, czy coś.

A jeśli się nim jest - to znaczy turystą - ludzie będą się za trzymywali i próbowali pomóc ci znaleźć drogę. To nieprawda, co mówią o niesympatycznych nowojorczykach. Oni wcale nie są nie sympatyczni. Bywają tylko zabiegani i niecierpliwi.

Ale jeśli człowiek naprawdę się zgubi, w dziewięciu przypadkach na dziesięć nowojorczyk będzie bardzo starał się przyjść z pomocą.

Zwłaszcza jeśli jesteś dziewczyną. I jesteś uprzejma.. Kiedy szliśmy spacerem po Trzydziestej Siódmej ulicy, uderzyło mnie to - no wiecie, że faktycznie nie jesteśmy już w Indianie. Jeszcze nigdy nie szłam z Robem ulicą. Wiele razy jechałam z nim, ale nigdy nie spacerowałam słoneczną, obrzeżoną drzewami aleją, po obu stronach pełną sklepów z delikatesami albo punktów sprzedających pizzę w kawałkach, ludzi wyprowadzających psy na spacer i Chińczyków rozwożących na rowerach zamówione jedzenie i próbujących omijać spacerowiczów.

Nigdy.

On nic nie mówił. Milczał, kiedy schodziliśmy po schodach z piątego piętra (Ruth i mnie nie stać na mieszkanie w budynku z windą, a co dopiero z odźwiernym, który zapowiadałby na szcych gości. No i, oczywiście, domofon nie działa, tak samo jak zatrzask w drzwiach na dole).

Teraz, wśród tego popołudniowego, śpieszącego na obiad do domu tłumu, zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś musi coś powiedzieć. Przecież nie mogliśmy przez cały wieczór chodzić po ulicach w całkowitym milczeniu.

No więc się odezwałam:

- Za rogiem jest całkiem przyzwoita meksykańska knajpka. Ale on tylko pokiwał głową. Westchnęłam i poprowadziłam go w tamtą stronę. Zapowiadało się, że będzie gorzej, niż myślałam.

Już w środku restauracji skierowałam się w stronę mojego ulubionego stolika, tego przy którym siadamy z Ruth w większość sobotnich wieczorów i ja pojadam sobie darmowe chipsy, a Ruth wcina guacamole (Ruth wreszcie udało się zrzucić te niepotrzebne dwadzieścia kilo, które nosiła od szóstej klasy, dzięki unikaniu wszystkiego, co zawiera mąkę albo cukier). Ten stolik stoi przy oknie, więc można zza niego obserwować wszystkich odmieńców spacerujących ulicą. Nie na darmo naszą dzielnicę nazwali Hell's Kitchen.

- Cześć, Jess - przywitała mnie Ann, nasza ulubiona kelnerka, kiedy Rob i ja już siedzieliśmy. - To, co zwykle?

- Tak, proszę - odrzekłam, a Ann spojrzała pytającym wzrokiem na Roba. Wiedziałam, co powie Ann, kiedy następnym razem zajrzę tam bez Roba: „Kim był ten przystojniak?”

- Dla mnie tylko piwo - zdecydował Rob, a kiedy Ann wyklepała długą listę gatunków serwowanych w tej restauracji, wybrał jeden, i ona poszła po nasze napoje. I po tortilla chips.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa. Nadal było dość wcześnie jak na porę obiadową - ludzie w Nowym Jorku zwykle nawet nie pomyślą o obiedzie przed jakąś ósmą czy nawet dziewiątą wieczorem - więc byliśmy tam jedynymi gośćmi. Próbowałam skupić się na tym, co się działo za oknem, zamiast na tym, kto siedział naprzeciwko mnie. Trochę mnie przytłaczało, że jestem w miejscu, gdzie tyle razy siedziałam z kimś innym. Nawet za milion lat nie wyobraziłabym sobie siedzącego tam ze mną Roba.

Rob był niespokojny. Domyślałam się tego po tym, w jaki sposób przekładał z miejsca na miejsce leżące przed nim sztućce. Za sekundę zacznie drzeć na strzępki papierową serwetkę. Rozglądał się i patrzył na sombrero na ścianach, światełka w kształcie wiązek papryczek chilli nad barem i na ludzi przechodzących ulicą. W sumie patrzył wszędzie, tylko nie na mnie.

- A więc... - zaczęłam. Bo ktoś musiał coś powiedzieć.

- Jak ma się twoja mama? To pytanie chyba go zaskoczyło.

- Mama? Ma się świetnie.

- To dobrze - stwierdziłam. Zawsze lubiłam panią Wilkins.

- Tata mówił, że jakiś czas temu zrezygnowała z pracy. I w tej samej chwili chciałam sama się kopnąć. Bo, oczywiście, o tym, że mama Roba zrezygnowała z pracy w naszej rodzinnej restauracji, mogłam się dowiedzieć wyłącznie sama, pytając o to. A ja nie chciałam, żeby Rob myślał, że interesuję się nim na tyle, żeby wypytywać tatę, co słyhać u pani Wilkins. Chociaż oczywiście to zrobiłam.

- Taa - mruknął Rob. - No cóż, tak się składa, że przeniosła się na Florydę.

Zrobiłam wielkie oczy.

- Naprawdę? Na Florydę?,, - Tak - potwierdził. - Z tym, hm, facetem. Ze swoim chłopakiem, Garym. Poznałaś kiedyś Gary'ego?

Poznałam Gary'ego Nie - No - Naprawdę - Mów - Mi - Gary w czasie obiadu z okazji Święta Dziękczynienia w domu Roba. Najwyraźniej Rob tego nie pamiętał.

Ale ja pamiętałam.

Tak jak pamiętałam to, co się potem wydarzyło w stodole. Kiedy powiedziałam Robowi, że go kocham.

O ile pamięć mnie nie zawodzi, on mi nie powiedział, że tę miłość odwzajemnia.

- Jej siostra tam mieszka - ciągnął Rob. - Moja ciotka. A w domu, no wiesz. Nie przelewało się. Gary dostał tam lepszą pracę i spytał, czy nie chciałaby z nim pojechać. Więc powie działa, że pojedzie na próbę. I spodobało jej się tak bardzo, że postanowiła tam zostać.

- Aha - bąknęłam, bo nie bardzo wiedziałam, co mam powiedzieć. Rob mieszkał kiedyś ze swoją mamą w całkiem ładnym wiejskim domu - starym i niedużym, ale zadbanym - poza miastem. Byli ze sobą dość zżyci jak na matkę i syna. Zastanawiałam się, czy nie znienawidził Naprawdę - Mów - Mi - Gary'ego za to, że mu odebrał matkę. - No cóż - odezwałam się. Bo co innego miałam powiedzieć? - Bardzo się cieszę ze względu na nią. Ze względu na was oboje. Że wszystko się tak dobrze układa.

- Dzięki - mruknął Rob. A potem podeszła do nas Ann z naszymi drinkami i chipsami, i guacamole. Moje „to, co zwykle” to mrożona margarita... Ale bez alkoholu, bo nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat. Zobaczyłam, że Rob zerka na nią ze zdziwieniem, więc mruknęłam:

- Bezalkoholowa.

- Och - powiedział. A potem parę razy zamrugął. - Ale to jest z parasolką.

- Tak? - Wzruszyłam ramionami. Wyjęłam małą papierową parasoleczkę, zamknęłam ją i wetknęłam do kieszeni dzin sów. Zbieram je. Nie mam pojęcia, po co. - Co z tego?

- Po prostu nigdy bym cię nie wziął za dziewczynę, która zamawia drinki z parasolką - oświadczył Rob.

- Tak - powtórzyłam. - No cóż, jestem pełna niespodzianek.

Rob już na szczęście nie komentował mojego gustu co do napojów. Nastąpiła krótka dyskusja o daniach dnia, ale Rob i ja powiedzieliśmy, że jeszcze nie chcemy zamawiać, więc Ann znów odeszła, zostawiając nas z naszymi menu i drinkami.

Upiłam malutki łyżeczek swojej margarity. Zawszę piję ją maleńkimi łyżkami, żeby starczyła na dłużej. Margarity w Blue Moon - bo tak się nazywa ta restauracja - są drogie. Nawet te bezalkoholowe.

- A twoi bliscy? - spytał Rob. - Co u nich? To był o takie surrealistyczne. To znaczy to, że siedziałam w Blue Moon z Robem Wilkinsem, uprzejmie rozmawiając o naszych rodzinach. Zupełne jakbyśmy oboje byli dorośli. Robiło to na mnie trochę niesamowite wrażenie.

- Wszystko w porządku - oznajmiłam. I nic już więcej nie dodałam. Na przykład: „Aha, a przy okazji, moja mama nadal nienawidzi cię do szpiku kości. I wiesz co, wcale nie jestem pewna, czy to takie naganne”.

- Tak - powiedział Rob. - Czasami widuję się z Dougiem. Z Dougiem? Mój brat nie cierpi, kiedy ludzie nazywają go Doug. Co się tutaj dzieje? Odkąd to Douglas zaczął kumplować się z moim byłym?

- Powiedział mi, że Mike jest u ciebie na lato - dodał Rob. - I brat Ruth też, jak widzę. A może tylko zajrzał z wizytą?

- Nie, mieszka u nas do września - wyjaśniłam. - Obaj mieszkają u nas na waleta, on i Mike, w czasie swoich praktyk w mieście. A więc twoja mama sprzedała farmę? To znaczy, skoro wyjechała na Florydę?

W ten subtelny sposób pytałam go, gdzie teraz mieszka. Bo usiłowałam domyślić się, co tutaj robi. To znaczy, w Nowym Jorku. Nagle przyszło mi do głowy, że może przyjechał tu, żeby podzielić się jakimiś nowinami. Na przykład, że się żeni, czy coś.

Wiem, że to głupio brzmi. No bo, po pierwsze, co mnie to może obchodzić, czy on się żeni? Byłam tylko dziewczyną, która po szczeniacku się w nim podkochiwała od dziesiątej klasy. Nie musiał mi niczego wyjaśniać, nawet jeśli popełniłam ten błąd.

I raz kiedyś w jakiejś stodole wyznałam mu, że go kocham. I dlaczego niby miałby przyjeżdżać do Nowego Jorku? Tylko po to, żeby swojej byłej dziewczynie powiedzieć, że się żeni? Kto w ogóle robi takie rzeczy?

Ale to są właśnie te zwariowane myśli, które przelatują człowiekowi przez głowę wtedy, kiedy - no wiecie - jest się gdzieś ze swoim byłym.

- Nie - powiedział i pokręcił głową. - Zatrzymaliśmy farmę. Raczej powinienem powiedzieć, ja ją zatrzymałem. Odkupiłem farmę i dom od mamy.

Co też niczego nie dowodziło. No wiecie, w sprawie tego, czy spotyka się z kimś, czy nie.

- No i... - zaczęłam desperacko, szukając czegoś do powiedzenia, zamiast jednej rzeczy, o której chciałam z nim rozmawiać, to znaczy: co on u diabła robi tutaj, w Nowym Jorku. - I dalej pracujesz w warsztacie wujka?

- Tak - powiedział, wciskając sok z plasterka limonki, którą mu podano z piwem, przez wąski otwór butelki. - Ale to już nie jest jego warsztat. Wujek przeszedł na emeryturę. Więc go sprzedał.

- Aha - mruknęłam. Widziałam wyraźnie, że wiele się zmieniło w życiu Roba od czasu, kiedy wyjechałam. - No cóż, to musi być dziwne. To znaczy, pracować dla kogoś innego zamiast dla wujka, dla którego pracowałeś już tak długo.

- Nie zupełnie. - Rob pociągnął łyk swojego piwa. - Bo sprzedał go mnie.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Kupiłeś warsztat swojego wujka? Pokiwał głową. - I dom mamy? Znow pokiwał głową. Za co? - chciałam zapytać. Bo kiedy go znałam, Robowi naprawdę nie brakowało gotówki, ale też wcale nie był bogaty. A przynajmniej nie na tyle bogaty, żeby kupować czyjś nieźle prosperujący interes.

Niemniej nie mogłam go o to zapytać. To znaczy, z jakich środków odkupił warsztat wujka. Bo nie jesteśmy w aż tak bliskich stosunkach. Już nie.

- A ty? - spytał Rob. - Jak ci się podoba tutejsza szkoła?

- Jest nieźle - stwierdziłam. Nie miałam zamiaru mówić mu prawdy, oczywiście. Tego, że nienawidzę Juilliard i że czuję się nieszczęśliwa od pierwszej minuty, którą musiałam tam spędzić.

Zresztą nadal zastanawiałam się nad tym, co powiedział wcześniej. Wykupił warsztat swojego wujka. Był zaledwie tuż po dwudziestce, a już został właścicielem firmy.

Zupełnie jak mój tata. To znaczy, mój tata był właścicielem firmy. Właściwie nawet kilku.

A mama zdecydowanie pochwała mojego tatę.

- Doug mówi, że radzisz sobie naprawdę dobrze. - Rob znow zaczął bawić się sztucami. - To znaczy, w szkole. Pierwsze krzesło w orkiestrze, tak?

- Tak - potwierdziłam. Nie tłumaczyłam, ile godzin dziennie muszę ćwiczyć, żeby je utrzymać. To znaczy, to pierwsze krzesło w sekcji fletów w Juilliard. - Ale na lato robię sobie przerwę.

- Właśnie. Doug mówi, że ty i Ruth macie jakąś letnią pracę przy programie pomocy dla potrzebujących dzieci?

Douglas, jak widać, mówił bardzo dużo. Będę musiała za dzwonić do niego po powrocie do domu i zapytać go, co tak właściwie, do jasnej Anielki, wyrabia, opowiadając tyle na mój temat mojemu byłemu.

- Tak - oświadczyłam. - Jest całkiem fajnie. Bardzo mi się to podoba. Chyba nawet bardziej niż gra w orkiestrze. Dzieciaki są świetne.

- Zawsze lubiłaś dzieci. - Rob uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, kiedy otworzyłam drzwi mieszkania i zastałam go za nimi. Jak zawsze, widok tego uśmiechu coś mi zrobił z sercem. Tak jakoś na moment przystanąło. - I zawsze świetnie sobie z nimi radziłaś.

Zapadło niezręczne milczenie. Nie wiem, o czym on wtedy myślał. Ale wiem, że sama myślałam o tym, że było o wiele le piej, kiedy ograniczałam się właśnie do tego. To znaczy, do pracy z dziećmi. Dopiero kiedy zgodziłam się zacząć odnajdywać dorosłych, wszystko diabli wzięli. To znaczy, między Robem a mną. No i także ucierpiały wszystkie inne moje sprawy.

- Właśnie dlatego tu jestem - wyznał Rob. Zerknęłam na niego znad rąbka kieliszka z margaritą.

- Co takiego? Ze względu na... dzieci?

- Właściwie tak.

Bez jednego słowa pociągnęłam potężny łyk swojego drinka. I rozbolała mnie głowa od zimnego. I się zakrztusiłam.

- Hej - mruknął Rob z niepokojem. - Nie tak szybko, pijaczyno.

- Przepraszam. - Skrzywiłam się z powodu tego bólu głowy. Docisnęłam czubek języka do podniebienia, bo to podobno pomaga na ból głowy po zjedzeniu zimnego, taki jak ten, który właśnie mnie dopadł.

Ale nie znałam żadnego lekarstwa na ból serca, który wywołały jego słowa.

Bo wszystko nagle stało się jasne. To znaczy powód, dla którego Rob tu przyjechał.

Nie tylko się żenił. Planował już dziecko.

Musiało chodzić właśnie o to.

No i czemu nie? Miał teraz własny dom, nie wspominając już o własnej firmie. Był nareszcie własnym szefem. Następny naturalny krok to małżeństwo i dziecko.

I świetnie. Serio. Po prostu świetnie. Naprawdę cieszyłam się jego szczęściem.

Ale dlaczego musiał przyjeżdżać taki kawał drogi do Nowego Jorku, żeby mi o tym powiedzieć? Nie mógł przesłać mi pocztą zaproszenia na ślub? Poradziłabym sobie wtedy o wiele łatwiej niż... Z tym teraz. No bo musiał przejeżdżać aż taki kawał drogi, żeby mnie tym kłuć w oczy?

- Problem w tym, że... - zaczął Rob, nieco pochylając się naprzód na swoim krześle. Najwyraźniej widział, że już mi wystarczająco przeszedł mi ból głowy. A ból serca? Ten trwał nadal, ale chyba lepiej mi szło ukrywanie go niż bólu głowy. - Wiem, że sprawy układały się... No cóż, nieco dziwnie. To znaczy między nami. Przez te ostatnie dwa lata, czy coś.

Dziwnie. Tak to określił.

Nieważne. Przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, jak długo to trwało. Od czasu, kiedy wszystko przestało układać się w miarę fajnie (bo idealnie nigdy nie było), a zaczęło być... Tak jak powiedział. Dziwnie.

- Ale nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - Szerokie ramiona Roba nieco się zgarbiły, kiedy pochylił się w moją stronę. Ten damski stoliczek, przy którym siedzieliśmy, cały wyłożony ceramicznymi płytkami - i dla Ruth, i dla mnie zawsze bardzo wygodny - nagle wydał mi się za mały, przytłoczony męską postacią Roba. - To znaczy... Może już nas nie łączy to jakieś coś, co nas kiedyś łączyło...

Jasne. „Jakieś coś”, co nas kiedyś łączyło. Oto właściwe określenie. No bo, co takiego niby nas łączyło? Przecież nie byliśmy kochankami, bo nigdy nie poszliśmy ze sobą do łóżka. Aleja go kiedyś kochałam. I jakaś część mnie nadal go kochała. Może zresztą więcej niż tylko jakaś część.

Bo jestem kompletną idiotką.

- Ale zawsze będziemy przyjaciółmi, prawda? - powtórzył Rob. - No wiesz, po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy.

Myslałam, że chodzi mu o te wszystkie okazje, kiedy jedno z nas w obecności drugiego bywało nieprzytomne po uderzeniu w głowę rozmaitymi dużymi, ciężkimi przedmiotami.

Ale potem on dodał:

- Odsiadka w szkole, w Ernie Pyle. To musi ludzi łączyć, nie sądzisz?

Uśmiechnęłam się wtedy. Błady był ten uśmiech. Ale zawsze uśmiech. Bo właściwie to było nieco zabawne.

- Tak - powiedziałam. - Chyba tak.

- Dobrze. - Rob wyprostował się nieco; miało się wrażenie, jakby trochę zmniejszył się ciężar, który dźwigał na swoich barkach. - Dobrze. W porządku. Więc nadal jesteście przyjaciółmi.

- Nadal jesteście przyjaciółmi - przytaknęłam. I upiłam kolejny łyk margarity, chcąc się jakoś wzmocnić. Bo naprawdę nie miałam ochoty jechać na jego ślub. Nawet w roli jego przyjaciółki.

- No to nie pogniewasz się może, jeśli cię poproszę... - Rob znów zaczął się denerwować; zauważyłam to, bo jedna z jego opiętych dżinsowym materiałem nóg zaczęła nerwowo podrygiwać pod blatem stolika. - To znaczy jako przyjaciółkę...

O mój Boże. A co, jeśli on chce mnie poprosić, żebym została matką chrzestną tego dziecka, czy coś? Zastanawiałam się, kim jest matka dziecka. Ta blondyna sprzed warsztatu? Boże. Miałam rację, myśląc, że kłamał, kiedy mi wpierał, że między nimi nic nie było.

- No więc - ciągnął Rob. - Chodzi o to, że... Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wstrzymałam oddech.

Naprawdę jestem bardzo silną osobą. To znaczy, przez te swoje dziewiętnaście lat sporo przeżyłam, włącznie z posiadaniem brata schizofrenika, z licznymi walkami na pięści z ludźmi, którzy okrutnie rzezonego brata przezywali, z uderzeniem przez piorun, prześladowaniem przez paparazzich w związku ze zdolnościami uzyskanymi w efekcie rzezonego uderzenia piorunem, wyjazdem do Afganistanu, żeby pomóc w prowadzeniu wojny z terrorystami i tak dalej. Kurczę, przetrwałam nawet dwa semestry teorii muzyki w Juilliard i po zastanowieniu muszę przyznać, że to było prawie tak samo okropne jak ta wojna.

Ale nigdy w życiu jeszcze tak nie potrzebowałam odwagi, jak w tym akurat momencie, wiedząc jednocześnie, że mi jej brakuje. Wstrzymałam oddech, czekając na te słowa Roba, których tak bardzo nie chciałam usłyszeć: „Jess, żenię się”.

Ale wcale nie te słowa padły z jego ust. Z jego ust padło:

- Jess, musisz mi pomóc znaleźć siostrę.

Muszę co?! Opuścił wzrok. Najwyraźniej za trudno było mu patrzeć mi w oczy. Zamiast tego zaczął wpatrywać się w butelkę piwa.

- Znaleźć moją siostrę - powtórzył. - Ona zaginęła. Musisz mi pomóc ją odszukać. Wiesz, że bym cię o to nie prosił, Jess, gdybym naprawdę się o nią nie martwił. Doug powiedział mi, że ty nie... No cóż. Że już tego nie robisz. Powiedział mi, że ta wojna, że ona porządnie namieszała ci w głowie. I ja to totalnie rozumiem, Jess. Naprawdę.

Podniósł wzrok i wtedy z całą siłą uderzyło mnie spojrzenie tych jego błękitnych oczu.

- Ale jeśli jakoś można... Jeśli cokolwiek w ogóle się da... Gdybyś chociaż mogła mi udzielić jakiejś wskazówki co do miejsca jej pobytu... Naprawdę byłbym ci ogromnie wdzięczny. I przysięgam, że potem wyjadę i nie będę ci zawracał głowy.

Gapiałam się na niego w milczeniu.

Powinnam się była domyślić, że to nie o mnie mu chodziło. Nie żebym, no wiecie, odkąd otworzyłam drzwi i zobaczyłam go za nimi, chociaż przez chwilę wyobrażała sobie, że po to przyjechał. To znaczy, żeby próbować się ze mną pogodzić.

I przyznam, to była wielka ulga, że nie przyjechał tu po to, żeby mi opowiadać o swoim zbliżającym się ślubie z Karen Sue Hankey czy kimś takim. Chociaż wcale mnie nie obchodzi, co on robi ani z kim się ożeni.

Zwyczajnie nie mam ochoty tego wiedzieć.

Ale jechać taki kawał drogi, żeby mnie prosić, żebym kogoś odnalazła - i to mimo, że doskonale wie, jak cały ten szajs z odnajdywaniem ludzi namieszał mi w życiu...

No dobra, właściwie tego nie wiedział, ponieważ prawie z nim nie rozmawiałam od czasu, kiedy to wszystko się stało. To znaczy, o wojnie. I o tym, jaką rolę w niej odegrałam. No ale i tak musiał czytać o tym w gazetach. Ma sporo tupetu, że tak tu sobie przyjeżdża i prosi mnie, żebym...

Wtedy nagle coś mnie tknęło i spojrzałam na niego, zbita z tropu.

- Przecież ty nie masz siostry - powiedziałam.

- Owszem - odparł Rob spokojnie. - Tak się składa, że mam.

- Jak to możliwe, że masz siostrę - odezwałam się bardziej wściekła, niż zamierzałam to pokazać - i nic mi o tym nie powiedziałeś?

- Bo sam o tym nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero parę miesięcy temu.

- Co? - Nie mogłam w to uwierzyć. Naprawdę nie mogłam. No bo najpierw mój były chłopak pojawia się u mnie pod drzwiami i to wcale nie dlatego, że chce, żebyśmy się pogodzili. A potem wyciąga z rękawa widmo jakiejś siostry. Poważnie, takie rzeczy tylko mnie mogą się przytrafić. Zaczekajcie, aż dowiedzą się o tym producenci seriali telewizyjnych. - Twoja mama oddała ją do adopcji i nic ci o tym nie powiedziała, czy co?

- Ona nie jest córką mojej mamy - rzekł Rob.

- No to w jaki sposób może być twoją siostrą? - Co on mi tu wpiera? Myślał, że w czasie wojny straciłam nie tylko zdolności parapsychiczne, ale także rozum?

- Ona jest córką mojego ojca - wyjaśnił Rob. I wtedy sobie przypomniałam. No wiecie, że Rob ma też ojca. Nigdy go nie widziałam, bo zostawił matkę Roba, kiedy Rob był jeszcze małym dzieckiem. Rob nigdy nie chciał rozmawiać o swoim ojcu - nawet nie używał jego nazwiska, które brzmi Snyder, tylko nazwiska matki - aż do tego dnia, kiedy przypadkiem dostało mi się w ręce zdjęcie jego ojca i przyśniło mi się miejsce jego pobytu.

A tak się składa, że był to - z braku ładniejszego określenia - zakład karny.

Rob zrobił się jeszcze mniej chętny do rozmów o swoim ojcu, kiedy zdał sobie sprawę, że wiem, gdzie on jest.

Siedziałam tam i gapiłam się na niego. Bo naprawdę nie mogłam zrozumieć, co on do mnie mówi.

- A więc... twój tata wyszedł z więzienia? Tym razem to Rob się skrzywił.

- Nie - powiedział. A ja zdałam sobie sprawę, że nigdy przedtem go nie wymówiłam. To znaczy, tego słowa na W. To była taka niepisana umowa między nami z czasów, kiedy łączyło nas Jakies coś". - Nie, jeszcze siedzi. Ale zanim tam trafił, a po tym, jak rozwiódł się z moją mamą, poznał kogoś innego... Wreszcie zaczęło mi świtać, o co chodzi.

- Czyli to twoja siostra przyrodnia.

- Właśnie. - Rob sięgnął po chipsa,abrał nim sobie szczerą porcję guacamole, włożył do ust i przeżuł. Wątpiłam, czy w ogóle wie, co je. Jadł tylko po to, żeby mieć co zrobić z rękoma, które zawsze musiał mieć czymś zajęte od czasów, kiedy go poznałam. Albo babrał się w silniku, albo miął w dłoniach książkę w miękkich okładkach, albo gniótł jakąś szmatkę. - Nie wiedziałem o jej istnieniu, aż napisała do mnie teraz, wiosną. Rozumiesz, nie mogła się dogadać z matką, więc zaczęła pisać do ojca, a on jej powiedział... O mnie i o mojej mamie. Więc pewnego wieczoru zadzwoniła i... No cóż. To nie byle co, do wiedzieć się, że się ma młodszą siostrę, o której istnieniu nigdy się nie wiedziało.

- Mogę sobie wyobrazić - stwierdziłam. Chociaż naprawdę nie mogłam. Powiedziałam to tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Na imię ma Hannah - rzekł Rob. - Hannah Snyder. Prze miły dzieciak. Naprawdę zabawny i... Zdziorny. Właściwie bardzo cię przypomina.

Uśmiechnęłam się blado.

- Świetnie - mruknęłam. Bo, no wiecie, chciałabym, żeby facet, w którym się kocham, miał dokładnie taki obraz mnie. Zabaw na i zdziorna jak jego młodsza siostra. Akurat. Wielkie dzięki.

Nie żebym była zakochana w Robie. To znaczy, już nie., - Tylko że... Hannah mówiła, że nie bardzo jej się w domu układa. To znaczy z matką. Mama Hannah robi różne rzeczy, których robić nie powinna. Narkotyki i inne takie. I mężczyźni. - Rob odchrząknął i poświęcił uwagę kolejnemu chipsowi. - Mężczyźni, przy których Hannah czuła się nieswojo. No wiesz, hm. Bo już zrobiła się starsza, a oni...

- Zaczęli zwracać na nią większą uwagę, niżby chciała? - podsunęłam.

- Właśnie - przytaknął Rob. - I wydawało mi się, że nie powinna dorastać w takim nieciekawym środowisku. No więc zacząłem się dowiadywać, co musiałbym zrobić, żeby zostać jej prawnym opiekunem, dopóki nie ukończy osiemnastu lat. Ponieważ skończyła, matka Hannah powiedziała, że nie ma nic przeciwko, żeby siostra przyjechała do mnie w odwiedziny.

- Yhy - mruknęłam. Ale prawie go nie słuchałam. Zastana wiałam się, jak Rob mógł w ogóle wyobrażać sobie, że przekona sąd, żeby mu przekazali opiekę nad młodszą siostrą, skoro sam jest pod opieką kuratora.

A potem dotarło do mnie, że on już nie ma kuratora ze względu na to coś, co kiedyś zrobił. Bo kiedy to zrobił, był jeszcze niepełnoletni, a teraz skończył już dwadzieścia jeden lat. I sprawa pewnie leżała zapieczętowana w jakichś archiwach sądowych, a on był biznesmenem i właścicielem domu. Pożytecznym członkiem społeczeństwa, którego nie dotyczą już jakieś dawne wybryki.

A ja już pewnie nigdy, przenigdy nie dowiem się, co on właściwie takiego zrobił, że w ogóle dostał tego sądowego kuratora.

- No więc, jakiś tydzień temu zabrałem ją od matki z Indianapolis - ciągnął Rob. - I Hannah zamieszkała ze mną. I wszystko układało się znakomicie. To znaczy, był o zupełnie tak, jakbyśmy wspólnie dorastali i nigdy nie byli rozdzieleni, wiesz? Oboje lubimy te same rzeczy: samochody i motocykle, i *Simpsonów*, i *Spidermana*, i włoską kuchnię, i sztuczne ognie, i... No w sumie, było świetnie. Było naprawdę świetnie.

Po raz pierwszy od chwili kiedy usiedliśmy, dłonie Roba za marły w bezruchu. Położył je płasko na stole, spojrzał na mnie i dokończył:

- A potem przedwczoraj obudziłem się, a jej nie ma. Zwyczajnie znikła. Łóżko wyglądało, jakby nikt w nim nie spał. Wszystkie jej rzeczy zostały w pokoju. Do swojej mamy się nie odzywała. Gliniarze nie znaleźli żadnego śladu. Po prostu się rozplynęła.

- A ty pomyślałaś o mnie - stwierdziłam. - A ja pomyślałem o tobie - powiedział Rob.
- Ale ja już tego nie robię. To znaczy, już nie znajduję ludzi.

- Wiem - przyznał Rob. - A przynajmniej wiem, że tak mówisz prasie. Ale Jess... To znaczy, kiedyś też tak prasie mówiłaś. Żeby się ich pozbyć. Kiedy nie chcieli dać ci spokoju, a to wytrącało z równowagi Douga. I później, kiedy rząd chciał cię namówić, żebyś dla nich pracowała. Wtedy też udawałaś...

- Tak - przerwałam mu. Może troszkę za głośno, bo para, która właśnie weszła do restauracji, zerknęła na nas nieco dziwnym wzrokiem, który pytał: „A tym dwojgu co się niby stało?”. Ściszyłam głos. - Ale tym razem nie udaję. Ja naprawdę już tego nie robię. Nie umiem.

Rob bez zmruczenia oka obserwował mnie zza stolika.

- Doug powiedział mi coś innego.

- Douglas? - Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. - A co niby Douglas wie na ten temat? Myślisz, że mój brat Douglas zna się na tym lepiej niż te trzydzieści tysięcy psychiatrów, do których wysyłała mnie armia, chcąc, żebym odzyskała swoje zdolności? Uważasz, że Douglas jest jakimś ekspertem od stresu pourazowego? Rob, Douglas pracuje w sklepie z komiksami. Kocham go, ale na tej sprawie on się w ogóle nie zna.

- Możliwe, że wie o tobie więcej - rzekł Rob, zupełnie nie wzruszony moją dość żarliwą przemową - niż ci lekarze, do których wysyłała cię armia.

- Jasne - sarknęłam. - No to tu się mylisz. To się skończyło, rozumiesz? I tym razem naprawdę. To nie żadna sztuczka, żeby się wymigać od udziału w wojnie. Skończyło się. Przykro mi ze względu na twoją siostrę. Chciałabym móc coś dla niej zrobić. I bardzo mi przykro, że Douglas wprowadził cię w błąd. Szkoda, że się fatygowałaś taki kawał drogi. Gdybyś zamiast tego za dzwonił, mogłabym ci to samo powiedzieć przez telefon.

I oszczędziłabym sobie konieczności oglądania cię na oczy wtedy, kiedy już sądziłam, że się z ciebie wyleczyłam.

- Ale gdybym zadzwonił, zamiast przyjechać, nie mógłbym dać ci tego - oświadczył Rob i sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej portfel. Nawet nie zdziwiłam się, kiedy wyjął z niego zdjęcie - takie zdjęcie, jakie zwykle robi się w dniu fotografowania uczniów do szkolnej kroniki - młodej dziewczyny, która była bardzo do niego podobna. Tyle, że miała aparacik na zębach i różnokolorowe włosy. Poważnie. Ufarbowała sobie włosy chyba na

cztery różne odcienie: niebieski, odblaskoworóżowy, fioletowy i żółty - trochę taki jak u Barta Simpsona.

- To jest Hannah - rzekł Rob, kiedy wzięłam od niego to zdjęcie.

- Właśnie skończyła piętnaście lat. Spojrzałam na Hannah, dziewczynę, która sprawiła, że Rob do mnie przyjechał. Ale nie dlatego, oczywiście, że chciał tu przyjeżdżać. Wiedziałam, jaka jest sytuacja. Przyjechał tylko ze względu na nią.

I dlatego, że według niego jesteśmy nadal przyjaciółmi.

- Rob - powiedziałam. Chyba w tym momencie bardzo go nie lubiłam. - Tłumaczyłam ci. Nie mogę nic dla niej zrobić. Zrobić dla ciebie. Przykro mi.

- Jasne. - Rob pokiwał głową. - Mówiłaś już. Posłuchaj, Jess. Nie wiem, przez co przeszłaś podczas... - Ugryzł się w język i nie powiedział słowa „wojna”, a zamiast tego dokończył:

- ...tego poprzedniego roku. Wtedy, kiedy byłaś... za granicą. Nawet nie będę udawał, że umiem sobie wyobrazić, jak ci tam było. Z tego, co mówi Doug, kiedy już wróciłaś...

Spojrzałam na niego ostro. Postanowiłam, że zabiję Douglasa. Naprawdę zabiję. To, co się działo po moim powrocie do domu - te koszmary sennie, jak je nazywali lekarze - był o moją osobistą sprawą. Niczyją więcej. Douglas nie miał żadnego prawa tak o niej rozpowiadać. Czy ja omawiam stan psychiki Douglasa z jego byłymi dziewczynami? No cóż, nie, bo on nie ma żadnych byłych dziewczyn. Nadal chodzi z córką naszych sąsiadów, Tashą Thompkins, z którą widuje się już niemal od trzech lat, a ona uczy się na Uniwersytecie stanu Indiana i co weekend przyjeżdża do miasta, żeby się z nim spotkać.

Ale gdyby Douglas miał jakąś byłą dziewczynę, nie rozmawiałabym z nią o jego prywatnych zmartwieniach. Nie ma mowy.

Rob musiał zauważyć ten gniewny rumieniec, który na pewno wpełzał na moją twarz, bo odezwał się łagodnym tonem, kładąc dłoń na rękę, w której trzymałam zdjęcie jego siostry:

- Hej. Nie gniewaj się na Douga. Sam go pytałem, okay? Kiedy wróciłaś, byłaś taka... Byłaś... - Skinął głową w stronę małego kaktusika stojącego na parapecie okna w otoczeniu kolejnych wiązek światełek w kształcie strączków chilli. - Byłaś jak ten kaktus. Cała pokryta kolcami. Nie chciałaś nikomu pozwolić się do ciebie zbliżyć...

- A ty co niby wiesz na ten temat? - spytałam, ze złością wrywając mu rękę i upuszczając zdjęcie na blat stolika. - Byłeś tak zajęty Panną Dzięką - Wielkie - Za - Naprawę - Gaźnika, że dziwię się, że to w ogóle zauważyłeś.

- Hej - rzekł z urażoną miną. - Nie wściekaj się. Powiedziałem ci...

- Rob, prawda jest taka - przerwałam drżącym głosem. Wmawiałam sobie, że drży mi z gniewu - to mógł być jedyny powód. - Chcesz, żebym znalazła twoją siostrę. Świetnie. Ja nie mogę jej znaleźć. Ja już nikogo nie umiem znaleźć. Teraz już wiesz. To żadne kłamstwo. To nie sztuczka, która ma sprawić, że ludzie się ode mnie odczepią. Taka jest prawda. Nie jestem już „dziewczyną od pioruna”. Ale nie próbuj mnie bajerować na to udawane współczucie. Po pierwsze, to niepotrzebne, a po drugie, nic nie da.

Rob, wyraźnie urażony, popatrzył na mnie zza stolika., - Moje współczucie - powiedział - nie jest udawane. Nie wiem, jak możesz mnie o to posądzać, po tym wszystkim przez co razem przesz...

- Nawet nie zaczynaj. - Uniosłam w górę otwartą dłoń gestem, który we wszystkich językach znaczy: „Stop”. Albo: „Wmawiaj to mojej ręce”. - Wszystko, przez co razem przeszliśmy, przypomina ci się tylko wtedy, kiedy czegoś ode mnie chcesz. A przez resztę czasu jakoś bez problemu o tym zapominasz.

Rob otworzył usta, chcąc coś powiedzieć - prawdopodobnie zaprzeczyć - ale nie zdążył, bo Ann w tym momencie podeszła do stolika i zapytała nieco zatroskanym tonem:

- Kochani, wszystko w porządku? Zauważyłam, że jedyna poza nami para w restauracji patrzy na nas podejrzliwie zza swoich menu. Widocznie nasza rozmowa rzeczywiście zrobiła się głośna.

- Wszystko w porządku - oznajmiłam smętnie. - Możemy poprosić o rachunek?

- Jasne - rzekła Ann. - Zaraz wracam.

W tej samej chwili, w której odeszła, Rob pochylił się, opierając łokcie na stoliku - jego kolana pod stolikiem dotknęły moich, a palce dłoni znalazły się zaledwie o parę centymetrów od moich rąk, między którymi leżało zdjęcie jego siostry - i powie działa cicho:

- Jess, ja rozumiem, że przez tamten rok przeszłaś prawdziwe piekło. Ja rozumiem, że znalazłaś się pod niewiarygodną presją i że oglądałaś rzeczy, których żadna osoba w twoim wieku, w żadnym wieku, oglądać nie powinna. Moim zdaniem to niesamowite, że potrafiłaś wrócić i prowadzić życie, które chociaż trochę przypomina normalność. Podziwiam cię za to, że nie załamałaś się po tym wszystkim.

A potem powiedział jeszcze ciszej:

- Ale jest pewien podstawowy fakt dotyczący ciebie, Jess, którego usiłujesz nie zauważać, chociaż doskonale widzą go wszyscy poza tobą. Wróciłaś stamtąd psychicznie poharatana.

Ze świstem wciągnęłam powietrze, ale on mówił dalej, nie zwracając na mnie uwagi.

- Słyszałaś mnie. I ja wcale nie mówię o tym, że już nie potrafisz odnajdywać ludzi. Ja mówię o tobie. Cokolwiek tam widziałaś, poharatano cię to. Ci ludzie, ci z rządu, wykorzystywali cię, póki nie dostali od ciebie wszystkiego, czego chcieli, aż już nie miałaś nic więcej do zaoferowania, i wtedy cię zostawili samej sobie, powiedzieli tylko: dziękuję i do widzenia. A ty wróciłaś. Ale nie próbujmy się oszukiwać: wróciłaś poharatana. I nie chcesz pozwolić nikomu się do siebie zbliżyć. I wcale nie mam na myśli psychiatrów. Mówię o ludziach, którzy cię kochają..

Znów próbowałam mu przerwać, ale on znów mnie powstrzymał.

- I wiesz, co? - dodał. - Nie ma sprawy. Ocalałaś tylu ludzi, że wydaje ci się, że to nie do pomyślenia, żebyś miała pozwolić komuś innemu ocalić ciebie. No to sama siebie ocal... O ile potrafisz. Ale jedną rzecz powiedzmy sobie jasno: być może kiedyś potrafiłaś odszukiwać zaginionych ludzi, ale nigdy nie byłaś jasnowidzem. Więc nie próbuj mi wmawiać, co ja sam myślę i czuję, kiedy tak naprawdę nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje w mojej głowie.

Odchylił się na oparcie krzesła, a Ann podeszła z rachunkiem.

Wpatrywałam się w zdjęcie leżące między nami na stole, w zasadzie zupełnie go nie widząc, aż tak oślepiła mnie gniew. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. Że jestem wściekła. Jak on śmiał? Nie no, poważnie, co on sobie w ogóle wyobrażał? Psychicznie poharatana? Ja? Ja nie jestem psychicznie poharatana.

Pomyłona, tu zgoda. Komu nie pomieszałoby się w głowie po roku praktycznie bez snu? Bo za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, słyszałam i widziałam rzeczy, których nigdy już nie chciałam słyszeć ani oglądać.

Ale że ja nie pozwalam nikomu sobie pomóc? Nie. Nieprawda, pozwalałam ludziom sobie pomóc. A w każdym razie, tym ludziom, którym naprawdę na mnie zależy. Czy nie to właśnie robię, pracując z Ruth przy jej programie sztuki dla dzieci? Czy nie dlatego pozwalam, żeby Mike u nas pomieszkiwał? To te rzeczy mi pomagały. Znów zaczynam sypiać. Śpię przez większość nocy, od wieczoru do rana.

Nie, nie jestem poharatana. Może ulotniła się ta część mnie, która potrafiła znajdować zagubionych ludzi. Ale nie ja cała.

Bo gdyby to była prawda - to, co on mówił - to te ostatnie dwanaście miesięcy chłodu między nami - to znaczy, między Robem a mną - to był o... Niby co? Moja wina?

Nie, to niemożliwe.

Rob grzebał w portfelu, szukając banknotów, żeby zapłacić rachunek. Nie patrzył na mnie. Zamiast tego zapatrzył się przez okno na faceta w stroju Sherlocka Holmesa, który wyprowadzał na spacer swojego mopsa. Często widzujemy tego faceta na naszej ulicy.

Nazywamy go sobowtórem Sherlocka Holmesa. Hej, to w końcu Nowy Jork. Różne rzeczy się tu widzi.

Jeśli Rob zauważył tweedowy kapelusz z nausznikami i zakrzywioną drewnianą fajkę, nie wspominał o tym. Zaciskał mocno szczękę, tak jakby nie chciał już nic więcej powiedzieć. Siedział bez dżinsowej kurtki, bo w Blue Moon klimatyzacja nie działa za dobrze. Nie mogłam nie zauważyć tych zaokrąglonych bicepsów, które znikają w rękawkach jego czarnej tiszertki.

W Juilliard nikt nie ma takich bicepsów. Nawet ci, którzy grają na tubach.

- Muszę iść - powiedziałam zdławionym głosem i wstałam tak szybko, że przewróciłam swoje krzesło.

Rob zrobił zaskoczoną minę.

- Idziesz już? - zapytał. A potem zerknął na zdjęcie w mojej dłoni.

Tak. Wzięłam je. Nie pytajcie mnie, po co.

- Mam parę rzeczy do zrobienia - mruknęłam, kierując się do wyjścia. - Muszę ćwiczyć. To znaczy, jeśli jesienią nadal chcę mieć pierwsze krzesło we fletach.

Rob zmarszczył brwi.

- Ale... - A potem spojrzał na moją twarz. I też wstał. - Dobrze, Jess. Jak chcesz. Tylko... Posłuchaj. Nie chcę, żeby między nami zostały jakieś urazy, okay? To, co powiedziałem; nie mówiłem tego, żeby cię zranić.

Pokiwałam głową.

- Bez urazy - stwierdziłam. - I... Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. To znaczy, w sprawie siostry. Przykro mi, że nie mogę... - Że czego nie mogę? Być znów twoją dziewczyną? Widzicie, dokładnie o to chodzi. On mnie przecież nie prosił, żebym nią była.

Nigdy o to nie prosił.

- Po prostu mi przykro - dokończyłam.

A potem wyszłam z tej restauracji, jak mogłam najszybciej.

Żartujesz sobie ze mnie? - spytała mnie Ruth, kiedy w zaciszu naszej sypialni, bo nie chciałam, żeby Mike i Skip nas podsłuchali, powiedziałam jej, po co Rob przyjechał do Nowego Jorku. - Żeby odnaleźć swoją zaginioną siostrę? Ma tupet, po tym jak cię potraktował.

- A jak on mnie potraktował? - spytałam. Bo w tym momencie już taka byłam skołowana, że sama nie wiedziałam, co mam myśleć.

- Jak on ciebie potraktował?! - oburzyła się Ruth. - Jess, kiedy go po raz ostatni widziałas, obściskował się z jakąś inną kobietą.

- Nie kiedy go widziałam po raz ostatni - sprostowałam. - Po raz ostatni widziałam go wtedy, kiedy go szpiegowałam z tylnego siedzenia twojego samochodu.

- Ja mówię o tym poprzednim widzeniu - uściśliła Ruth.

- Przy poprzednim widzeniu powiedziałam mu, że powinniśmy sobie na jakiś czas dać spokój.

- I...? - dodała znaczącym tonem Ruth.

- I... - powtórzyłam jak echo. - I co? - I on ci na to pozwolił. - Przysiadła na skraju materaca. Jej jasne loki obramowane były fioletowym sari, które udrapowała nad wezłowiem swojego łóżka, żeby dodać pokojowi „elegancji”. Chociaż nie pytajcie mnie, jak można liczyć na to, że doda się elegancji pokojowi, który ma pojedyncze okno (z zainstalowaną przez nas metalową kratą, żeby nikt nie mógł włamać się do środka), powierzchnią dosłownie dwa metry na trzy i jest zdecydowanie za często odwiedzany przez karaluchy.

- Zrobił tylko to, o co sama go prosiłam - zauważyłam. - Posłuchaj, on wcale nie jest taki zły. To znaczy, w liceum kochałam się w nim na zabój. Mógł to wtedy wykorzystać. Ale nigdy tego nie zrobił.

- Bo nie chciał trafić do więzienia. Skrzywiłam się.

- Dzięki za tę uwagę.

- No cóż, bardzo mi przykro, Jess - stwierdziła Ruth. - Ale co chcesz ode mnie usłyszeć? Że to świetny gość? Wymarzona partia? Nie był nią. I nic mnie nie obchodzi, czy teraz ma własną firmę. To nadal facet, który pozwolił ci odejść wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałam.

- Mówi, że próbował - odezwałam się. - Mówi, że po powrocie byłam jak kaktus, cała pokryta kolcami, i że nie pozwalałam nikomu zbliżyć się do siebie. Poza tym, no wiesz... Chodziło jeszcze o mamę.

I to jest właśnie fajne, kiedy się ma najlepszą przyjaciółkę. Nie trzeba wszystkiego tłumaczyć. Ruth dokładnie zrozumiała, co mam na myśli.

- Gdyby naprawdę mu na tobie zależało - powiedziała - nie zwracałby uwagi na kolce. Ani na twoją mamę.

Zastanowiłam się nad tym. Ale naprawdę nie byłam pewna. I jedno, i drugie, moim zdaniem mogło się wydawać potężną przeszkodą - a już zwłaszcza takiemu facetowi jak Rob, któremu przez większość życia nie zbywało na niczym. Oprócz dumy.

I jestem pewna, że tak samo moja niezależność, jak i pogarda mamy tę dumę uraziły. W stopniu nie do naprawienia.

Chociaż...

- On mówi, że jestem psychicznie poharatana - mruknęłam. - Mówi, że sama będę musiała uporać się z tym wszystkim, skoro nie pozwalałam nikomu innemu sobie pomóc.

- Och, więc teraz jeszcze jest psychiatrą? Co on robił przez cały ostatni rok? - spytała Ruth z szyderyczym uśmiechem. - Oglądał *Oprah*?

Westchnęłam, a potem klapnęłam na własny materac, przy kryty nijaką brązową narzutą z bazaru na Trzeciej ulicy. Nic nie zrobiłam, żeby dodać elegancji temu pokojowi. Część ściany nad moim posłaniem była goła. Popatrzyłam na popękany, obłazący sufit.

- Myślałam po prostu - powiedziałam raczej w stronę szczelin w suficie niż do Ruth - że jak tu przyjadę, to będę szczęśliwa.

- A nie jesteś szczęśliwa? - spytała Ruth. - Dzisiaj wydawałaś się szczęśliwa, kiedy pokazywałaś temu dzieciakowi, jak powinien prawidłowo oddychać.

- Tak. To akurat mnie uszczęśliwia. Ale szkoła... - urwałam.

- Nikt nie lubi szkoły - stwierdziła Ruth.

- Ty lubisz.

- Owszem, ale ja jestem nietypowa. Spytaj Mike'a. No cóż, dobra, on też jest nietypowy.

Powstrzymałam się i nie wytknęłam jej, że mają ostatnio z Mikiem dziwnie wiele wspólnego. To znaczy, oboje są licealnymi supergeniuszkami, które dopiero na studiach się „odnalazły”. Byli tam wreszcie w swoim żywiole.

I musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć tych ukradkowych spojrzeń w stronę Ruth, na których rzucaniu czasem przyłapywałam Mike'a, kiedy akurat Ruth nosiła koszulkę bez rękawów i szorty, próbując jakoś się nie dać nowojorskim upałam. Nie wspominając już o spojrzeniach, które ona czasami rzuca w jego stronę, kiedy Mike wychodzi z łazienki owinięty wyłącz nie ręcznikiem.

Naprawdę, czasem robiło mi się od tego niedobrze. No bo mój brat i moja najlepsza przyjaciółka. Fúj.

Ale skoro ich to uszczęśliwia...

- Skip - rzuciła Ruth radośnie. - On nienawidzi szkoły.

- Bo szkoła to tylko coś, co musi po drodze zaliczyć, żeby zacząć wyciągać te sto tysięcy rocznie.

- Fakt. - Ruth westchnęła. - Ale mimo to mam rację. Większość ludzi nie lubi szkoły. To zło konieczne, które trzeba prze trwać, żeby robić w życiu to, na co ma się ochotę.

- Problem w tym, że ja nie wiem, co chcę robić w życiu. Coś mi tam wprawdzie chodzi po głowie... No cóż, mogę tylko powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z grą w orkiestrze.

- Ale lubisz uczyć. Wiem, że to lubisz, Jess. A dyplom Miliard wygląda o wiele lepiej niż żaden.

- Tak - zgodziłam się. Wiedziałam, że ona ma rację. I prawdę mówiąc, udało mi się to, o czym wielu muzyków tylko marzy. Mieszkałam w Nowym Jorku, uczyłam się w jednej z najlepszych akademii muzycznych na świecie. Moi nauczyciele cieszyli się międzynarodową sławą z racji swoich umiejętności. Całe dni spędzałam zanurzona w muzyce, którą kochałam, robiąc to, co najbardziej kochałam, grając na flecie.

Powinłam przecież być szczęśliwa. Chwyciłam okazję, kiedy się nadarzyła, bo wiedziałam, że to tego typu okazja, która powinna mnie uszczęśliwić.

No więc dlaczego nie byłam szczęśliwa?

Ktoś zapukał do drzwi i Ruth się odezwała:

- Proszę. Mike wsadził głowę do pokoju.

- Czy to prywatna impreza, czy można wejść z ulicy? - za pytał.

Ruth zerknęła na mnie. Rzuciłam:

- Włącz, wyłącz, jak sobie chcesz. Mnie tam wszystko jedno. Mike wszedł do środka.

Zobaczyłam, jak odwraca wzrok od pastelowego w kolorze stanika Ruth, udrapowanego na grzejniku. Ona też zauważyła jego reakcję i się zarumieniła.

Och, na miłość boską - miałam ochotę jęknąć - może wy dwoje wreszcie byście To Zrobili i dali nam wszystkim odetchnąć?

- No więc gadaliśmy właśnie ze Skipem - zaczął Mike, a ja zobaczyłam, że Skip też wsunął się do pokoju.

- Tak - wtrącił się Skip. - I jeśli będziesz chciała, Jess, to mu w twoim imieniu przywalimy.

Przyjrzałam im się, nie wstając z łóżka, na którym się rozłożyłam.

- Jestem pod wrażeniem, moi drodzy - oświadczyłam, wzruszona wbrew samej sobie.

- Czy wyście poszaleli? - spytała Ruth chłopaków. - On was obu spierze na kwaśne jabłko i to z jedną ręką przywiązaną za plecami.

- Daj spokój - zachnął się Skip. - Aż takim twardzielem to on nie jest.

Ruth powiedziała:

- Skip, kiedyś musieliśmy cię zabrać na ostry dyżur tylko dlatego, że pod mały palec u nogi weszła ci centymetrowa drzazga i nie chciałeś przestać płakać.

- Daj spokój - poprosił Skip z zażenowaną miną. - Miałem dwanaście lat.

- Pewnie - skwitowała Ruth. - Wiesz, co robili tacy faceci jak Rob Wilkins, kiedy mieli po dwanaście lat? Zgniatali sobie puszki po piwie na czołach, i tyle.

- Nikt nie musi w moim imieniu nikogo bić - powiedziałam, żeby zapobiec awanturze między bliźniakami. - Poradzę sobie. Naprawdę. Ale dzięki za troskę.

- No więc, co masz zamiar zrobić? - zapytał Mike.

- Z czym? Z Robem? Pokiwał głową. Wzruszyłam ramionami.

- Chyba nic. No bo nic nie mogę zrobić. Nie mogę odnaleźć mu siostry, mimo że on bardzo tego chce.

- Skąd wiesz? - spytał Mike.

I Ruth, i ja obróciłyśmy głowy w jego stronę i popatrzyłyśmy na niego, jakby stracił rozum.

- Mówię poważnie - odezwał się głosem, który nieco się łamał. Odchrząknął. - No bo przecież nie próbowałaś nikogo odnajdywać od jak dawna, od roku? Skąd wiesz, że to nie wróciło? Ostatnio przesypiasz całe noce.

Wszyscy, włącznie ze mną, opuścili wzrok na zniszczony drewniany parkiet. Do tej pory, na zasadzie niepisanej umowy, pomijało się u nas milczeniem fakt, że dość regularnie stawiałam na nogi całe mieszkanie krzykami bezbrzeżnego przerażenia.

- No cóż - upierał się Mike. - To prawda. Chyba ci się polepszyło, odkąd zaczęłaś pracować z...

- Nie mów tego - przerwałam mu szybko. Mike się stropił.

- Dlaczego nie? To prawda. Odkąd zaczęłaś...

- Zapieszysz, jeśli powiesz to głośno. Nie wiedziałam, czy z tym zapieszaniem to prawda. Ale nie zamierzałam ryzykować. Już od jakiegoś czasu nie miałam ani jednego koszmaru. Praktycznie przez całe lato. I chciałam, żeby tak zostało.

- Ale to, że ona lepiej sypia, jeszcze nie znaczy, że odzyskała, sami wiecie co - stwierdził Skip.

Ruth spojrzała na niego.

- Skip - powiedziała. - Zamknij się.

- Wiecie, o co mi chodzi - nie ustępował Skip. - Ojej umiejętności. No wiecie. Odnajdywania ludzi.

- Skip - powtórzyła Ruth.

- A co, jeśli to odzyskała? - dopytywał się Skip. - To zna czy, że oni znów będą chcieli, żeby wróciła do nich do pracy, prawda? Ci z rządu, czy z FBI, czy skądś tam. Racja? A co Ruth ma zrobić potem? Znaleźć sobie nową współlokatorkę?

- Skip!

- Ja tylko mówię, że jeśli ona znów odzyskała swoje zdolności, to po co miałyby sobie w ogóle zawracać głowę tą szkołą i innymi takimi. Przecież mogłyby zwyczajnie zbić fortunę, wynajmując się do...

- Zamknij się, Skip! - wrzasnęli Mike i Ruth jednym głosem.

Skip przymknął się, ale minę miał buntowniczą.

- Chodź - zwrócił się do niego Mike. - Lecą *Kryminalne zagadki Las Vegas*.

- Nie cierpię tego serialu - poskarżył się Skip. - Wystarczy, że wyjrzymy przez okno i mamy ten serial na żywo.

- No to obejrzymy sobie coś innego, dobra? ~ Mike pokręcił głową, wyprowadzając Skipa z pokoju. - Nie widzisz, że one chcą zostać same?

- Kto? Ruth i Jess? A po co? Drzwi zamknęły się za Mikiem usiłującym wytłumaczyć coś Skipowi, a Ruth tymczasem nie spuszczała ze mnie oczu.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - zapytała zmartwionym tonem.

- Jestem pewna. - Znów wzięłam do ręki zdjęcie Hannah i mu się przyjrzałam.

- W głowie mi się nie mieści, że przez cały ten czas on miał siostrę - powiedziała Ruth
- i nawet tego nie wiedział. I naprawdę chce... Co? Adoptować ją?

- Zostać jej prawnym opiekunem. Chyba jej mama jest jakąś ćpunką, czy coś.

Ruth westchnęła.

- Dzięki Bogu, że ze sobą zerwaliście. Prawda? Bo dla mnie to brzmi tak, jakby jego to wszystko przerosło. Z tą zaginioną nastoletnią siostrą i tak dalej. Wierz mi, Jess, nie chciałabyś mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- Sama nie wiem - powiedziałam. - Pewnie nie. Ruth przewróciła oczami.

- O mój Boże - jęknęła. - Nawet mi nie mów, że próbowałabyś mu pomóc. No wiesz, gdybyś jeszcze mogła. Po tym, jak cię potraktował.

- Nie pomagałabym mu. Pomagałabym jej. Hannah.

- No pewnie - skwitowała Ruth sarkastycznie. I wstała, żeby zacząć się szykować do łóżka.

No pewnie.

Dokładnie o ósmej rano następnego dnia zaczęłam się dobijać do drzwi pokoju 1520 w hotelu Hilton na Zachodniej Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy.

Rob otworzył drzwi. Oczy miał zapuchnięte od snu i owinał się kołdrą ze swojego hotelowego łóżka, a ciemne włosy sterczały mu na głowie szalenie interesującymi kępkami.

- Jess - mruknął półprzytomnie, kiedy zobaczył, że to ja. - Co ty tu... Skąd ty...?

- Fajna fryzura - powiedziałam. Wyciągnął rękę i spróbował trochę przygłodzić te sterczące kosmyki.

- Zaraz. Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Zadzwoiłam do ciebie do domu. A co? Chciałeś uniknąć rozgłosu? Bo Chick bez najmniejszych oporów powiedział mi, gdzie się zatrzymałeś.

- Nie - stwierdził Rob. - Nie, nie ma sprawy. Poprosiłem Chicka, żeby popilnował domu w razie, gdyby Hannah miała się tam pojawić, kiedy mnie nie będzie. Ja po prostu... Przepraszam. Jeszcze się nie obudziłem. Proszę, wejdz do środka.

Weszłam do pokoju. Nie był zbyt przestronny - żaden pokój hotelowy w Nowym Jorku przestronny nie jest (przynajmniej z tych, które widziałam). Ale był przyjemny. Rob najwyraźniej całkiem nieźle zarabiał ostatnimi czasy w tym swoim warsztacie, jeśli mógł sobie pozwolić na taki pokój w hotelu.

- Chcesz coś na śniadanie? - zapytał, nadal owinięty tą kołdrą, która przy chodzeniu ciągnęła się za nim jak tren ślubnej sukni. - Mogę zamówić nam na górę naleśniki, jeśli masz ochotę. A! Tu jest ekspres do kawy. Chcesz kawy?

- Pewnie - odpowiedziałam. - Ale prościej byłoby napić się jej już na lotnisku.

Rzucił mi zaskoczone spojrzenie.

- Na lotnisku? - powtórzył.

Trudno było nie zauważyć, jak cudownie wyglądał, taki prosto z łóżka. Nawet z tymi włosami. I utrzymywał pokój w całkiem witym porządku, mimo że to był tylko pokój hotelowy. Dżinsową kurtkę powiesił nawet na takim wieszaku, którego nie da się zdjąć z drążka.

- Na lotnisku - powtórzyłam. - Chcesz, żebym odnalazła twoją siostrę, czy nie?

- No cóż, tak. - Nadal miał zakłopotaną minę. - Ale myślałem, że...

- No to muszę wrócić z tobą do Indiany - dokończyłam. - Ale... - Z tego całego zmieszania przestał tak kurczowo przytrzymywać owijającą go kołdrę i w nagrodę mogłam sobie zerknąć na jego goły tors. Z ulgą zauważyłam, że chociaż jest teraz szanowanym

właścicielem firmy, nadal ma kaloryferek na brzuchu. - Ale wydawało mi się, że mówiłaś...
To znaczy, wczoraj powiedziałaś mi...

- Wiem, co powiedziałaś wczoraj - przerwałam mu. - Ale...

- Nie rozmawiajmy już o tym, dobra? - Zorientowałam się, że obejmuję się ramionami i mocno je przyciskam do klatki piersiowej. Opuściłam ręce luźno. - Po prostu jedźmy.

Ręką przeczesał swoje gęste ciemne włosy - co tylko pogorszyło stan sterczących kosmyków. I pozwoliło kołdrze zsunąć się jeszcze niżej, tak że zobaczyłam pasek jego slipów od Calvina.

- Dobra. Ale... - Przyjrzał mi się. Z trudem zniosłam spojrzenie jego błękitnych oczu, tak badawcze, tak przenikliwe. Musiałam wbić wzrok w podłogę, żeby nie patrzeć mu w oczy.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać - powtórzyłam.

- Możemy już jechać? Ale Rob nie chciał tego tak zostawić.

- Przysięgam na Boga, Jess. Ja nie miałem zamiaru... To znaczy, ja po prostu myślałem, że ta cała twoja gadanina, że już nie możesz nikogo odnaleźć, służyła tylko temu, żeby już nie musieć pracować dla tego typka, Cyrusa. Jak ostatnim razem.

Ja nie wiedziałem, że to naprawdę. Nie chcę, żebyś brała się do czegoś, do czego nie jesteś gotowa. Nie chcę... Burzyć tego nowego życia, które sobie stworzyłaś.

Trochę na to za późno, nieprawdaż? Właśnie to chciałam mu powiedzieć.

Ale co by mi to dało? Najwyraźniej już i tak źle się z tym wszystkim czułem. Nie trzeba mi było jeszcze dokładać.

I nie mam zamiaru twierdzić, że mnie to zmartwiło, że źle się z tym czułem. Powinien źle się czuć po tym, przez co przez nie go przeszedłem. Nie miałam zamiaru wspominać, jaki dreszczyk mnie ogarnął, kiedy obudziłam się godzinę wcześniej, wiedząc, gdzie jest jego siostra, po ponad roku, w ciągu którego nie bardzo u miałam odnaleźć własne buty, a co dopiero jakąś ludzką istotę. No bo to nie miało z nim nic wspólnego, naprawdę. To tylko znaczyło, że wreszcie zaczynam dochodzić do siebie po tym wszystkim, co mnie spotkało. I nic więcej.

I może Mike miał rację. Co do tego, że odkąd zaczęłam pracować z tymi dziećmi Ruth, znów miewam sny, a nie wierzę się całymi nocami, pogrążona w niekończących się koszmarach.

- Posłuchaj - powiedziałaś do Roba twardym tonem. Bo nie miałam zamiaru dzielić się z nim żadnymi takimi myślami. - Chcesz, żeby twoja siostra wróciła, czy nie?

- Chcę - oświadczył, gorliwie kiwając głową. - Oczywiście.

- To nie zadawaj pytań. Tylko działaj.

- Jasne. - Rob sięgnął po telefon. - Jasne, zadzwonię i za rezerwuję ci bilet na ten sam lot, na który kupiłem bilet sobie. Pojedziemy, jak tylko wezmę prysznic.

- Super - rzuciłam. I patrzyłam, jak on wybiera numer, zadając sobie pytanie (po raz tysięczny tego ranka), co ja do wszystkich diabłów niby wyprawiam. Czy naprawdę chcę się w to wszystko wplątywać? Przecież to już i tak był a niesamowita poprawa, sam fakt, że w ogóle udało mi się wyśnić miejsce pobytu Hannah. Psychiatrzy w Waszyngtonie skakaliby do nieba z radości, gdyby o tym wiedzieli, i okrzyknęliby to przełomową chwilą. Dlaczego usiłowałam kusić los, jadąc tam z nim, żeby ją odnaleźć? No bo mogłam przecież podać Robowi adres i mieć sprawę z głowy. Umyć od tego ręce. Wrócić do pracy z Ruth i nauczyć kolejnych kilka dzieciaków, że poza gramami wideo i pizzą sprzedawaną na kawałki jest jeszcze jakieś inne życie.

Ale ostatniej nocy, przed zaśnięciem, przez jakąś godzinę leżałam i zastanawiałam się nad tym, co on mi powiedział. To zna czy o tym, że jestem psychicznie poharatana. Bo co, jeśli miał rację? To znaczy, byłam prawie pewna, że ją miał. Wróciłam z tych dalekich stron... częściowo odmieniona. Pewnie można by nawet powiedzieć, że poharatana. I nie tylko jeśli chodzi o tę część, która umiała we śnie odnajdywać zaginionych ludzi.

I może rzeczywiście nieco za szybko potępiłam go w sprawie tej Panny - Z - Cyckami - Rozmiarów - Mojej - Głowy. Najwyraźniej Rob i ja nigdy się nie sprawdzaliśmy jako para. Najpierw dzieliła nas różnica wieku, potem różnica środowiska rodzinnego, a wreszcie fakt, że jestem jednym wielkim biologicznym dziwadłem.

Ale nadal możemy być przyjaciółmi, dokładnie jak to po wiedział.

A przyjaciele pomagają sobie nawzajem w potrzebie. Nieprawdaż?

Zauważyłam, że Rob nie zadawał mi żadnych pytań w drodze na lotnisko. Spełnił moją prośbę co do joty: nie pytał, tylko działał. Kiedy już przeszliśmy przez odprawę, kupił mi bułkę z jajkiem i kielbasą - śniadanie mistrzów - i sok pomarańczowy, a dla siebie jakieś wafle na gorąco. Zjedliśmy w milczeniu w zatłoczonej, hałaśliwej jadłodajni na LaGuardia.

Może, myślałam sobie, on się jeszcze do końca nie obudził. Może nie wie, jak ma zareagować na tę moją nagłą odmianę stosunku do niego i do jego problemu.

To nie był o wcale takie dziwne. Sama przecież nie wiedziałam, jak mam na to zareagować.

Ruth nie miała takich wątpliwości. Przewróciła się z boku na bok o szóstej, kiedy odezwał się nasz budzik, rzuciła mi jedno spojrzenie, kiedy tak leżałam, patrząc w sufit (a leżałam tak od chwili, kiedy się po piątej obudziłam), i powiedziała:

- O kurde. To wróciło, tak? Nie oderwałam wzroku od sufitu. Jest tam taka szczelina, która wygląda zupełnie jak królik, taki jak w tych książkach, które lubiłam czytać, kiedy byłam mała, o borsuku imieniem Frances.

- Wróciło - powiedziałam cicho, żeby nie budzić chłopaków.

- I co masz zamiar zrobić? Zadzwoń do Cyrusa Krantza?

- Hm - mruknęłam. - Może jednak nie.

- O mój Boże. - Ruth uniosła się na łokciu. - Jedziesz z nim do domu, prawda? To znaczy, z Robem.

Oderwałam wzrok od sufitu i wgapiałam się w Ruth.

- Skąd wiedziałaś?

- Bo cię znam. I wiem, jak działasz. Ty nigdy sobie tak na prawdę nie odpuścisz. Po prostu musisz ratować ten świat. Musisz dopilnować w najdrobniejszych szczegółach każdego aspektu tej akcji ratowniczej. I dlatego - dodała znużonym tonem, opuszczając nogi na ziemię i siadając na łóżku - marna z ciebie superbohaterka. Po wielkiej akcji ratowania świata zostałąbyś, żeby się upewnić, że wszystkim odpowiada to, co zrobiłaś, za miast odlecieć w stronę zachodzącego słońca, tak jak powinnaś.

Odparłam na to sarkastycznie, że dobrze jest wiedzieć, że ma się wsparcie przyjaciół. Na co Ruth powiedziała ze swoją zwykłą ranną pogodą ducha:

- Och, zamknij się już.

- Powiesz dzieciakom, że za parę dni wrócę? - spytałam ją.

- Nie wrócisz. Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Co ty wygadujesz? Oczywiście, że wrócę. Będę tu za kilka dni.

- Nie wrócisz - powtórzyła Ruth. - Ja nie mówię, że to coś złego. Dla ciebie pewnie nie jest. Ale spójrz prawdzie w oczy, Jess. Ty tu nie wrócisz.

- Co? Myślisz, że zginę, odszukując zaginioną młodszą siostrę Roba Wilkinsa?

- Nie zginiesz, skąd. Ale to możliwe, że przy okazji pozwolisz komuś uratować siebie.

- A co to niby ma znaczyć?

- Sama się przekonasz - powiedziała mrocznym tonem. Nie przejęłam się tym jej negatywnym nastawieniem. Prawdę mówiąc, Ruth nigdy nie lubiła rano wstawać.

Z LaGuardia w Nowym Jorku co parę godzin startuje jakiś samolot do Indianapolis. Robowi udało się zdobyć bilet dla mnie na ten, którym planował wracać do domu. To nie był

taki wielki odrzutowiec, jakimi przewożą ludzi z Nowego Jorku do Los Angeles. Po jedenastym wrześniu linie lotnicze odchudziły tabor i teraz, kiedy podróżujesz do Indiany z Nowego Jorku, lecisz jednym z tych małych samolotów, do których dostajesz się spacerem po płycie lotniska. W najlepszym razie zabierają ze trzydziestu pasażerów. A kabiny są, oględnie mówiąc, ciasne. Robowi udało się załatwić sąsiadujące fotele: chciałabym przy tym zauważyć, że nie zapytał mnie, czy sobie tego życzę. Samolot nie był zapełniony i za nami zostało sporo wolnych rzędów, gdzie mogłabym się nieco na siedzeniach wyciągnąć. No cóż, o tyle, o ile.

Ale powiedziałam sobie: jesteśmy teraz przecież przyjaciół mi, a przyjaciele trzymają się razem. Prawda?

To był krótki lot. Ledwie zdążyłam skończyć lekturę rozdawanego na pokładzie magazynu, a już lądowaliśmy. Rob miał tylko torbę podręczną tak samo jak ja, więc nie musieliśmy czekać, aż wylądują z samolotu bagaże. Poszliśmy prosto na parking.

I zobaczyłam, że na lotnisko przyjechał swoją indianą.

- Przepraszam - powiedział na widok mojej miny. - Nie sądziłem, że wrócisz ze mną. Jeśli chcesz, możemy wynająć samochód.

- Nie - zaprotestowałam. To głupie, żeby widok tego motocykla tak mnie wytrącał z równowagi. - Nie, nie ma sprawy. Dalej masz ten zapasowy kask?

Miał go, oczywiście. Ten sam, który mi kiedyś pożyczał... No cóż, w tych czasach, kiedy robiliśmy wspólnie różne rzeczy. Włożyłam go, a potem usiadłam na siodełku za plecami Roba, obejmując go ramieniem w talii i próbując nie zauważać tego ładnego zapachu - żelu pod prysznic z hotelu Hilton i jakiegoś płynu do płukania tkanin, którego jego mama - czy raczej on sam - używa ostatnio.

Dziwnie było znów znaleźć się w Indianie. Ostatnim razem byłam tu w czasie ferii wiosennych. Pączki, które wtedy ledwie się zaczynały rozwijać, teraz zamieniły się w pełni rozwinięte kwiaty. Wszędzie mnóstwo było bujnej roślinności. Gdziekolwiek człowiek spojrzał, widział zieleń. W Nowym Jorku też jest zieleń - niemal każda ulica jest wysadzana drzewami. Ale przeważa szary kolor, szare są chodniki, jezdnie i budynki.

A tu, gdziekolwiek spojrzałam, widziałam zieleń ciągnącą się hen, aż na spotkanie z bezchmurnym, boleśnie błękitnym niebem.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak bardzo za tym tęskniłam.

To znaczy za niebem. I za tą całą zielenią.

Kiedy dojechaliśmy na skraj naszego miasta - godzinę później - zobaczyłam, że od mojej ostatniej wizyty zmieniło się coś jeszcze poza pączkami. Zniknął Czekoladowy Łoś, wykupiony przez Dairy Queen. Ten sam budynek, nowy szyld.

Kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle przed gmachem sądu, Rob obejrzał się na mnie i zapytał:

- Dokąd?

- Do mnie do domu! - odkrzyknęłam ponad warkotem silnika. - Chcę zostawić rzeczy. Pokiwał głową i z rykiem silnika ruszył w stronę Lumbley Line.

A ja za chwilę przekonałam się, że nawet dom, w którym dorastałam, wygląda jakoś inaczej, chociaż jedyną rzeczą, która się zmieniła, był kolor drewnianych listew stolarki, które matka przemaalowała z dawnego kremowego na biały.

Ale sam dom wydawał się... Jakiś taki mniejszy.

Rob skręcił na podjazd i wyłączył silnik. Zeskoczyłam z siodełka, zdjęłam kask i oddałam mu go.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedziałam. - Będiesz w domu czy w warsztacie?

Zdjął własny kask. Teraz spojrzał na mnie dziwnie - jakby miał wrażenie, że coś zrobił nie tak, ale sam nie wiedział co. No to witaj w moim świecie. - A co z... - zaczął.

- Powiedziałam, zadzwonię do ciebie. - Nie wiedziałam, jak inaczej dać mu do zrozumienia, że następną częścią tej sprawy muszę się zająć sama.

Z nieco zagniewaną miną z powrotem włożył kask.

- Dobra. Dzwon do mnie do domu. Tam właśnie będę. Powinienem tam zajrzeć...No bo może ona już wróciła.

- Nie wróciła - powiedziałam. Przyjrzał mi się przez przejrzystą, plastikową osłonę kasku.

Chciał coś powiedzieć. To było ewidentne. Ale jednak się powstrzymał i zamiast tego rzucił tylko:

- Świetnie. To do zobaczenia później.

Odwrócił się i odjechał...

Dokładnie w tym samym momencie siatkowe drzwi wychodzące na werandę mojego domu otworzyły się ze skrzypieniem i na zewnątrz wyszedł tata.

- Jess? A co ty tutaj robisz?! - wykrzyknął. Nie powiedziałam im prawdy. To znaczy, mojej rodzinie. Że przyjechałam tu dla Roba ani że wróciły moje zdolności... Jak na razie.

Oczywiście, wystarczyłoby, żeby zadzwonili do Mike'a. Przesłuchiwany, wkrótce by się załamał - chociaż zostawiłam mu ściśle instrukcje, że ma nikomu nie mówić ani o wizycie Roba, ani o mojej najwyraźniej odzyskanej zdolności do normalnego spania.

Ale wiedziałam, że trochę to potrwa, zanim Mike ugnie się pod presją i wygada. Zwłaszcza jeśli chciał zachować dobre układy z Ruth. A mam wrażenie, że chciał.

Zamiast tego, kiedy już przywitałam się z naszym owczarkiem niemieckim, Chiggerem, i dałam mu buziaka, czego domagał się, skacząc na mnie z radości, powiedziałam tylko mamie i tacie, że stęskniłam się za nimi i zdecydowałam się wpaść na krótko w odwiedziny, wykorzystując trochę darmowych punktów, które mi się zebrały w linii lotniczej. To zadziwiające, w co są skłonni uwierzyć rodzice, jeśli tylko wystarczająco tego chcą. Wiedziałam, że moi nie daliby mi spokoju, gdyby wiedzieli, po co naprawdę przyjechałam do domu - żeby kogoś odnaleźć. I to, co gorsza, odnaleźć kogoś spokrewnionego z Robem Wilkinsem... Którego, w sumie, mój tata nawet lubił, dopóki nie popełniłam tego błędu i nie opowiedziałam mu o Pannie - Z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy. A nawet i wtedy powiedział tylko:

- Ale Jess, jesteś pewna, że wiesz, kto tam kogo całował? No bo jeśli Rob mówi, że to ona zaczęła, a on tylko niewinnie stał z boku, to nie powinnaś go za to oskarżać.

Ojcowie. Nie no, serio. Powinni ograniczyć się do wypłacania tygodniówki.

Mama była zachwycona moim widokiem, ale wściekła, że nie zadzwoniłam i nie uprzedziłam.

- Zaplanowałabym grilla z okazji powrotu do domu, i zaprosiłabym Abramowiczów, i Thompkinsów, i Blumenthalów, i...

- Jak sobie chcesz, mamó. Przyjechałam tu na parę dni. Jeszcze będzie czas coś zaplanować, jeśli naprawdę masz ochotę.

- Moglibyśmy zorganizować późne śniadanie. - Mama była zadowolona ze swojego pomysłu. - W sobotę. Ludzie lubią późne śniadania. A jeśli mają jakieś plany na resztę dnia, to zdążą je i tak zrealizować po śniadaniu.

- Douglas jest w pracy? - zapytałam, kiedy już rzuciłam wszystkie rzeczy w swoim pokoju i zauważyłam, że pokój Douglasa, po drugiej stronie korytarza, przerobili na gabinet dla taty. Przedtem siadywał nad księgami rachunkowymi swoich restauracji przy stole w jadalni.

- Pewnie tak - powiedziała mama i nadal wydziwiała, że na przykład zmiana pościeli nie jest wystarczająco świeża i że gdybym ją uprzedziła, to by mi tę pościel najpierw przeprała. - Albo na jednym z tych posiedzeń rady miasta.

- Co? - Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu. - Douglas teraz interesuje się polityką?

Mama przewróciła oczami.

- Najwyraźniej. No cóż, niezupełnie polityką. Wiesz, że zamykają Pine Heights... - Pine Heights to była podstawówka, do której wszyscy uczęszczaliśmy. Mieściła się trzy przecznice dalej - tak blisko, że chodziliśmy tam piechotą - w budynku postawionym w czasie wielkiego kryzysu w ramach robót publicznych i była tak staroświecka, że nadal miała dwa wejścia, osobno dla chłopców i osobno dla dziewczynek.

A przynajmniej tak informowały napisy nad drzwiami. Nie żeby ktokolwiek zwracał na nie uwagę, kiedy ja do niej chodziłam.

- Nie ma już tylu dzieci w okolicy, żeby starczyło na zapełnienie klas - tłumaczyła mama. - Więc rada szkoły postanowiła ją zamknąć. Miasto chce przerobić szkołę na luksusowy apartamentowiec. Ale Douglas i Tasha... - Tasha to dziewczyna Douglasa i córka sąsiadów, mieszkająca po przeciwnej stronie ulicy. - Maja jakieś wielkie plany. No cóż, on sam ci o tym opowie, kiedy się z nim zobaczysz, jestem pewna. Teraz nie mówi już o niczym innym.

- Może wstąpię do sklepu, zobaczyć się z nim. Jeśli twoim zdaniem jest teraz w pracy.

- Pewnie jest - rzekła mama, przewracając oczami. - On nic tylko pracuje. Chyba że się zajmuje tą sprawą Pine Heights.

Co jest o tyle zabawne, że jeszcze parę lat temu nikt z nas nie uwierzyłby, że Douglas kiedykolwiek będzie zdolny do czegoś tak normalnego jak stała praca. Przecież wcale nie tak dawno wszyscy zamartwialiśmy się, że nie wychodzi ze swojego pokoju, a co dopiero mówić o zarabianiu na własne utrzymanie.

- Zaproś go na obiad! - zawołała mama za mną, kiedy wypadałam z domu. - I Tashę też, jeśli gdzieś tam będzie. Każę twojemu ojcu usmażyć parę steków na grillu.

- Hej! - wrzasnął tata ze swojego gabinetu alias pokoju Douglasa. - Słyszałem to!

Pozwoliłam im kontynuować sprzeczkę, a sama poszłam do garażu. Kiedy otworzyłam te wielkie jak u stodoły drzwi - nasz dom był kiedyś wiejskim domem i ma prawie sto lat jak większość zabudowań w sąsiedztwie - weszłam do środka i znalazłam to, czego szukałam: błękitnego harleya z 1968 roku, którego tata dla mnie kupił, tak jak obiecał, w nagrodę za zdaną maturę.

Nie żebym jakoś dokładnie określała rocznik albo kolor. Każdy motor by mnie uszczęśliwił. Ale to, że kupił mi tak niesamowicie wypasioną maszynę, było prawdziwą wisienką na tym już skądinąd bardzo smacznym torcie.

No ale przez to wszystko - to znaczy wojnę i późniejszą decyzję, że idę do Juilliard – udało mi się przejechać tylko parę razy. Nie śmiałam zabierać motocykla do Nowego Jorku, gdzie ktoś by mi go ukradł w minutę. A był naprawdę piękny, w kolorze nieba w wielkanocną niedzielę - niezupełnie turkusowy, ale też nie szafirowy. Darzyłam ten motocykl uczuciem, które prawdopodobnie nie było normalne. No wiecie, jak na uczucie do przedmiotu nieożywionego.

Ale maszyna była po prostu idealna z tym siodełkiem z kremowej skóry i błyszczącymi, chromowanymi wykończeniami. Tata kupił mi do kompletu kremowy kask, który teraz włożyłam, wyciągnąwszy już motocykl zza puszek z farbą używaną przez mamę do stolarki.

Sekundę później dodawałam gazu. Maszyna mruczała jak idealnie wyregulowany mechanizm, którym przecież była. Cztery miesiące nieużywania w niczym nie zaszkodziły tej królowej piękności.

A potem znalazłam się na ulicy, czując, że napięcie zgromadzone w mięśniach karku - gdzieś tak od momentu, kiedy otworzyłam drzwi mieszkania i zastałam za nimi Roba - wreszcie zaczyna znikać.

Na stres nie ma to jak przejechać się na idealnie wyregulowanym motorze.

Ale zamiast skręcić w stronę śródmieścia, gdzie mieścił się sklep z komiksami, w którym pracował Douglas, skierowałam Błękitną Księżniczkę (Tak, no dobra, tak właśnie nazwałam swój motocykl. Chyba już ustaliliśmy, że nie jestem normalna) w stronę nowszej części miasta i wielkiego, zbudowanego za ładnych parę milionów dolarów szpitala, oddanego do użytku kilka lat temu. Wszędzie dokoła wyrosły nowe apartamentowce dla tych kilku tysięcy ludzi zatrudnionych w szpitalu.

Nie dla lekarzy, oczywiście. Ci zdomowili się w naszej dzielnicy. W tej mieszkali sanitariusze i pielęgniarki.

Hannah Snyder, jak wiedziałam z mojego snu, mieszkała kątem w mieszkaniu 2T w kompleksie Fountain Bleu za sklepem Kroger Sav - On, tuż obok szpitala. Zdziwiłam się, widząc, że przy kompleksie apartamentów Fountain Bleu rzeczywiście stała fontanna. Może i kiepsko to wyglądało, ale szemrała sobie przy osiedlu w dość uspokajający sposób. Naprawdę brakowało tylko paru łabędzi i wyglądałaby dokładnie jak ta Fountain Bleu we Francji, czy gdzieś tam, po której odziedziczyła nazwę.

Zaparkowałam motocykl i schowałam kask w schowku. A potem przeszłam przez parking i zastukałam do drzwi 2T.

- Kto tam? - odezwał się jakiś dziewczęcy głos.

- Ja - powiedziałam. - Otwórz, Hannah. Oczywiście, nie miała pojęcia, kim jestem. A przynajmniej jeszcze nie.

Ale przekonałam się wielokrotnie, że jeśli odpowie się: „Ja”, kiedy ktoś pyta, kto stoi za drzwiami, ludzie niemal zawsze otwierają, przekonani, że to im się coś pomyliło, skoro nie rozpoznają twojego głosu.

Młodsza siostra Roba gapiała się na mnie przez pełne pięć sekund, zanim się zorientowała, że nie jestem tym „ja”, którego się, spodziewała.

Ale wyraźnie mnie rozpoznała. Chociaż nigdy nie miałyśmy przyjemności zostać sobie nawzajem przedstawione. Widocznie był a na czasie, jeśli chodzi o miejscową historię najnowsza. Albo Rob miał gdzieś jakieś moje zdjęcie.

No dobra, pewnie widziała mnie kiedyś w telewizji.

Zmeła jakieś bardzo brzydkie słowo i ze spanikowaną miną spróbowała zatrzaskać mi drzwi przed nosem.

Ale ciężko jest zatrzaskać drzwi przed nosem komuś, kto właśnie wcisnął motocyklowy but w szczelinę między framugą a drzwiami.

Lepiej wpuść mnie do środka - powiedziałam. Hannah się skrzywiła. Ale puściła drzwi.

- W głowie mi się to nie mieści - mruknęła, kiedy pchnęłam drzwi do środka na oścież i wkroczyłam do idealnie białego, niezbyt dużego salonu połączonego z kuchnią i jadalnią. Nadal pachniało tu świeżą farbą, a wszystkie meble - w tym tani zestaw wypoczynkowy z imitacji skóry, na pewno kupiony na wyprzedazy - wyglądały na idealnie nowe. - Mówił, że ze sobą zerwaliście. - Zaczerwieniona Hannah spojrzała na mnie oskarżycielsko.

- Tak - potwierdziłam. - Zerwaliśmy. Pod ścianą zauważyłam szerokokątny telewizor. Oglądała najnowszy odcinek *Rodziny w kryzysie* doktora Phila. Zastana wiałam się, czy zauważała jakieś podobieństwa między opisywanymi rodzinami a własną. Na kanapie znalazłam pilota i wyłączyłam telewizor.

- Gdzie on jest? - spytałam. - Kto? Hannah zaczęła płakać. Ale raczej nie dlatego, że czuła się nieszczęśliwa. Chyba płakała ze złości. I może trochę ze strachu. To nie przelewki, kiedy znajdzie cię najbardziej znane medium Ameryki. Zwłaszcza medium noszące motocyklowe buty.

Hannah pewnie nie za często czytywała gazety, inaczej by wiedziała - no, sami wiecie. Że ostatnio nie jestem w szczytowej formie.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej, że powinna być mi wdzięczna za to, że ją w ogóle odszukałam. To pierwsza osoba, którą znalazłam od roku. Powinna to potraktować jako swe go rodzaju wyróżnienie.

Tyle że ona pewnie nie widziała w tym żadnego wyróżnienia.

- Wiesz, o kim mówię - powiedziałam do niej. - Gdzie on jest?

- Mój brat? - Hannah pociągnęła nosem. - A skąd mam to wiedzieć? Pewnie w tym głupim warsztacie.

- Nie twój brat - powiedziałam. - Twój chłopak. Hannah szeroko otworzyła oczy otoczone mocno utuszowanymi rzęsami, dość kiepsko udając niewiniątko.

- Jaki chłopak? - zapytała. - Ja nie mam...

- Hannah - przerwałam. - Nie przejechałam półtora tysiąca kilometrów, żeby wysłuchiwać kłamstw. Ktoś płaci czynsz za to mieszkanie. Więc powiedz mi, gdzie on jest, albo przysięgam na Boga, za dokładnie pięć minut będzie tu Towarzystwo Opieki nad Dziećmi.

Z kieszeni wyciągnęłam komórkę, żeby dowieść, że traktuję to poważnie. Choć prawdę mówiąc, nie miałam numeru do Towarzystwa Opieki nad Dziećmi w książce adresowej. Ale przyswoiłam sobie ten tekst z serialu *Sędzia Amy*, jednego z ulubionych Ruth; zmusza mnie przynajmniej pięć razy tygodniowo do wspólnego oglądania. Można się od tego zaskakująco uzależnić.

Hannah chyba zrozumiała, że natknęła się na osobowość silniejszą niż jej własna, bo powiedziała, pociągając nosem:

- Jest w pracy. To bardzo ważny człowiek, wiesz.

- Tak, na pewno - stwierdziłam z ironią. - A co on robi?

- Jego tata jest właścicielem tego domu. - Hannah wyraźnie chciała, żeby mi w piętę poszło. - To znaczy, całego tego osiedla. A on pomaga nim zarządzać.

No cóż, to przynajmniej wyjaśniało, skąd to mieszkanie. Ale nie całą resztę.

- No to naprawdę znalazłaś sobie prawdziwego człowieka sukcesu - oświadczyłam. Znów ironicznie. - A jeśli on jest taką świetną partią, to jak to się stało, że twoja mama go nie aprobuje? I nawet mi nie próbuj mówić, że jest inaczej. To dlatego, że jest dla ciebie za stary?

- Matka jest okropna. - Hannah skuliła się w kłębek na skórzanej kanapie. Miała na sobie dżinsy i nierównomiernie farbowaną tiszertkę. W tej koszulce i z włosami nadal ufarbowanymi jak różnokolorowe lody spumoni, stanowiła prawdziwą tęczę barw. - To znaczy, ona praktycznie co tydzień przyprowadza do domu jakiegoś nowego faceta. A kiedy ja jej mówię o Randym, dostaje szału!

Podeszłam do okna i rozsunęłam zasłony. Widziałam stąd drugą stronę osiedla. Składało się z kilkuset mieszkań, razem tworzących Luksusowe Apartamenty Fountain Bleu. Na środku dziedzińca widać było żałośnie mały basen w kształcie nerki. Obok niego siedziała jakaś młoda matka, a jej dzieciaki taplały się w płytkiej wodzie.

- Gdzie go poznałaś? - zapytałam, zasuwając zasłony i znów obracając się w stronę Hannah. - Przez Internet?

Pokiwała głową.

- Na czacie mangi - powiedziała. - Randy jest wielkim fanem mangi. Wiesz, co to jest manga? - Spojrzała na mnie wyniośle.

- Wiem. - Nie miałam zamiaru dodawać, że mój brat ma największą kolekcję mangi w południowej Indianie. - Mów dalej.

- No cóż, zaprosił mnie na rozmowę na priva i ja się zgodziłam. - Hannah skubała nitki przy rozdarciu na kolanie dżinsów. - I był taki... Dokładnie taki, jak zawsze marzyłam.

Zaprosił mnie do siebie na weekend, ale kiedy poprosiłam mamę, ona się normalnie nie zgodziła.

- Więc powiedziałaś swojemu nowo odnalezionemu starsze mu bratu, który nie ma pojęcia, jak daleko są gotowe posunąć się nastoletnie dziewczyny, żeby dostać to, czego chcą, że znajomi twojej matki się do ciebie dobierają. - Nie trzeba było o zdolności parapsychicznych, żeby dostrzec, że trafiłam w dziesiątkę. Prawdę miała wypisaną na twarzy. - A Rob ci uwierzył i zaprosił cię, żebyś z nim zamieszkała na próbę. A ty go puściłaś w trąbę dla tego całego Randy'ego przy pierwszej nadarzającej się okazji. Miała na tyle przyzwoitości, że się stropiła.

- Chciałam zawiadomić Roba, gdzie jestem. Naprawdę, chciałam. Ale Randy powiedział...

- Och, zaczekaj. - Gestem dłoni poprosiłam ją, żeby umilkła. - Niech sama zgadnę, co powiedział Randy. Randy powie dział, że twój starszy brat nie zrozumie. Randy powiedział, że twój starszy brat będzie chciał z tego zrobić jakąś aferę i może nawet zadzwoni na policję. - Choć to bardziej prawdopodobne, że Rob po prostu stłukłby gościa na kwaśne jabłko. - Randy powiedział, że miłość, jaka łączy was dwoje, jest czymś świętym, a my, zwyczajni śmiertelnicy, nie potrafimy takich rzeczy zrozumieć. Czy coś pominęłam?

Hannah wytrzeszczyła na mnie oczy. Minę miała urażoną.

- Nie musisz z tego kpić - powiedziała. - To, że między tobą a Robem się nie ułożyło i ty w efekcie zostałam starą panną, to jeszcze nie powód, żeby zakładać, że każdy facet to świnia.

- Och! - westchnęłam. - Rozumiem. Hannah, a ten Randy to ile ma lat?

- Powiedział, że o to zapytasz. - Hannah wstała nagle z kanapy i podeszła do kuchennej lady po szklankę wody. Ale wiem, że wstała tylko po to, żeby nie musieć patrzeć mi w oczy. - No cóż, nie konkretnie ty, bo nigdy nie sądziłam... To znaczy, Rob mówił, że jesteś psychicznie poharatana. Ale Randy uprzedzał, że ludzie będą próbowali robić z tego coś brzydkiego tylko dla tego, że on jest akurat o te parę lat ode mnie starszy...

- A o ile on jest starszy od ciebie, Hannah? - zapytałam spokojnie.

- Ma dwadzieścia siedem lat - zdradziła, odstawiając szklankę na blat z imitacji marmuru. - Ale Randy mówi, że wiek zupełnie się nie liczy! Randy mówi, że on i ja na pewno znaleźmy się w jakimś poprzednim wcieleniu. Mówi, że jest nam przeznaczone być razem...

- Hannah - przerwałam twardo. - Ty masz piętnaście lat. Facet jest od ciebie o dwanaście lat starszy. Zwyczajnie łamie prawo, utrzymując z tobą stosunki seksualne.

- Randy mówi, że prawa ludzkie nie stosują się do miłości tak głębokiej jak nasza...

- Hannah! Jeśli zacytujesz mi jeszcze jedną rzecz, którą mówi Randy, tak cię stłukę, że cofniesz się w czasie do zeszłego tygodnia. Rozumiesz?

Zagapiła się na mnie, nieco zbita z tropu, ale nadal buntowniczo nastawiona. Teraz przynajmniej patrzyła mi w oczy. Oparłam jedną dłoń na biodrze i powiedziałam:

- Posłuchaj. Nie jesteś głupia. Nie możesz być głupia, bo jesteś siostrą Roba. No więc, dlaczego zachowujesz się jak kompletna idiotka?

Otworzyła usta, chcąc mi na to coś odpalić, ale powstrzymałam ją ruchem ręki.

- Wiesz, że ta cała gadanina o waszej znajomości z poprzedniego wcielenia to stek bzdur. Wiesz, że temu całemu Randy'emu zależy na tobie tylko z jednego powodu. To dlatego twoja mama protestowała, bo ona też to wie. A ty lubisz Randy'ego tylko dlatego, że on ci kupuje różne rzeczy i zwraca na ciebie uwagę, i pozwala ci mieszkać w tym fajnym mieszkaniu, gdzie przez cały dzień możesz się gapić w telewizor. A skoro już o tym mowa, mamy dzisiaj piękny dzień. Dlaczego nie jesteś na basenie?

- Randy mówi...

- Randy powiedział ci, żebyś nie chodziła na basen, bo ktoś może cię zobaczyć i zacznie zadawać pytania, tak? Czy to ci nic nie mówi, Hannah? Gdyby ten cały Randy naprawdę cię kochał, próbowałby dogadać się jakoś z twoją mamą, a nie wykradać cię od niej. Poczekałby, aż będzie mógł spotykać się z tobą legalnie, a potem zacząłby cię zapraszać na randki, a nie ukrywał w jakimś mieszkaniu, za które płaci jego ojciec. Jasne, jak na razie wszystko układa się cudownie. Ale co ze szkołą od jesieni? Masz zamiar rzucić naukę? I przez resztę życia być utrzymanką i niewolnicą Randy'ego? Szczytne ambicje dla dziewczyny o twojej inteligencji.

Uniosła brodę, słysząc kpinę w moim głosie. Musiałam jej przyznać, miała przynajmniej trochę ikry.

- Nie cierpię szkoły - oświadczyła, nadąsana. - Tam wszyscy są tacy dęci. Randy powiedział, że pomoże mi zdać maturę przez Internet...

- Och, jasne. A potem co? Uniwersytet on - line?

- Randy mówi...

- Och, posłuchaj samej siebie! - burknęłam. - Randy mówi to, Randy mówi tamto. Nie masz żadnych własnych opinii? A może po prostu automatycznie robisz wszystko to, co powie Randy?

- Tak - potwierdziła Hannah. Teraz już otwarcie płakała. I to wcale nie ze strachu ani ze złości.

- Tak, masz własny rozum? Czy tak, automatycznie robisz wszystko to, co powie Randy?

- Tak, rozumiem już, czemu mój brat z tobą zerwał - warknęła Hannah. - Jesteś naprawdę wredna!

- Wow - powiedziałam z uśmiechem. - Sądzisz, że to było wredne? Ja jeszcze nawet nie zaczęłam być wredna. Zbieraj swoje rzeczy. Ale już. Wychodzimy.

Popatrzyła na mnie, osłupiała. - Co?

- Zabieraj swoje rzeczy - powtórzyłam. - Odwożę cię z powrotem do domu twojego brata. A potem zadzwonię do twojej matki i utniemy sobie małą pogawędkę o tym, co się faktycznie dzieje u niej w domu. A założę się, że powie, iż żaden z jej by łych facetów nigdy się do ciebie nie dostawiał. I wiesz co? Ja jej uwierzę.

Hannah rozejrzała się wkoło, zaszokowana tak, jak zaszokowana może być osoba przyzwyczajona, że zawsze stawia na swoim, kiedy nagle nie udaje jej się przeforsować własnej woli.

- Ja... Ja nigdzie nie jadę! - zawołała. - Spróbuj mnie stąd zabrać, a Randy... Randy cię zabije!

- Hannah! Pozwól, że ci coś powiem. Właśnie spędziłam cały rok wśród amerykańskich komandosów, których jedynym zadaniem był o odszukiwanie i zatrzymywanie ochotników trenujących w obozach dla terrorystów. W porównaniu z tym jakiś dwudziestosiedmioletni alfons imieniem Randy, który nawet nie ma własnego mieszkania, to mały pikuś. Rozumiesz? Pikuś.

Dolna warga Hannah zadrżała. Rozglądała się po mieszkaniu, jakby szukała jakiegoś przedmiotu, którym mogłaby we mnie rzucić. Ale ja przyglądałam jej się spokojnie od strony drzwi wejściowych, których strzegłam w razie, gdyby przypadkiem niespodziewanie pojawił się osławiony Randy.

- Randy nie jest alfonsiem. - Tylko na to się zdobyła.

- Jeszcze nie. Ale daj mu trochę czasu. Jestem pewna, że mając za sobą miłość takiej dziewczyny jak ty, w pełni rozwinię swoje możliwości.

- Ja... Ja cię nienawidzę! - wrzasnęła do mnie Hannah. - Ale z ciebie suka! Mój brat zupełnie się myli co do ciebie! Gada ciągle o tobie, jakbyś był a jakąś księżniczką. Czy ty masz pojęcie, że on ma album z pamiątkami po tobie? Tak, ma. Za każdym razem, kiedy coś na twój temat pojawia się w jakiejś gazecie albo miesięczniku, on to sobie wycina i chowa na pamiątkę. Ma chyba z dziesięć tysięcy twoich zdjęć. Boże, on nawet nigdy nie przegapi żadnego odcinka tego głupiego serialu telewizyjnego o tobie. Nawet mnie kazał go oglądać. I

wiecznie tylko gada, jaka to ty jesteś świetna i mądra, i zabawna. Ja się nie mogłam doczekać, aż któregoś dnia cię spotkam, chociaż ty mu totalnie zламаłaś serce, a potem jeszcze go zdeptałaś. A teraz wreszcie cię spotykam i okazuje się, że jesteś tylko wielką, wredną, paskudną suką!

Gapiłam się na nią bez słowa, oszołomiona nie tyle jej wybuchem (choć oszołomiona faktycznie byłam), co jego treścią. Rob ma albumy z pamiątkami po mnie? Rob ogląda serial telewizyjny o mnie? Rob uważa, że jestem dzielna, mądra i zabawna? Ona uważa, że to ja zламаłam serce Robowi?

Ludzie, no tu to już nie mogła się bardziej pomylić.

Ale czy to możliwe, że Hannah mówiła prawdę? Czy to możliwe, że chociaż część z tego, co powiedziała jest...

- Nienawidzę cię!!!

Uchyliłam się w sama porę przed lampą wycelowaną w moją głowę.

I dobrze, bo ta lampa była mosiężna i skończyło się na tym, że ukruszyła fragment taniej, tynkowanej ściany, a nie moją czaszkę.

Wyprostowałam się i spiorunowałam ją spojrzeniem przymrużonych oczu.

- Okay - powiedziałam. - Jak chcesz. Nie będziesz pakowała swoich rzeczy. Pójdiesz ze mną, jak stoisz.

Wyciągnęłam rękę i złapałam ją za ucho.

Jasne, to stara jak świat technika, stosowana przez matki chcące uspokoić marudne potomstwo. Ale wiedzieliście, że amerykańscy komandosi też ją czasami stosują do poskramiania krnąbrnych podejrzanych? Serio, tak robią. Bo to nie tylko działa, ale i nie zostawia śladów. To znaczy, na ofierze.

Och, owszem. Nauczyłam się mnóstwa takich użytecznych sztuczek, kiedy byłam za granicą.

Hannah najpierw nie chciała dać się wyprowadzić za ucho z wygodnego mieszkania swojego chłopaka w stronę mojego motocykla. Ale uświadomiłam jej, że jak nie, to ja dzwonię po policję, a na Randy'ego, kiedy już wróci wieczorem z pracy, będzie czekała przemiła niespodzianka w postaci aresztu za uwiedzenie nieletniej.

Wreszcie ustąpiła, chociaż trudno powiedzieć, że zrobiła to z wdziękiem. Właśnie zapinałam jej pod brodą mój kask - nie miałam zapasowego, więc musiałam zaryzykować całość swojej cennej czaszki, żeby odwieźć wstrętnego bachora do domu - kiedy nagle zeszywniała.

Nie musiałam oglądać się przez ramię, żeby wiedzieć, na kogo patrzy.

- Gdzie on jest? - spytałam spokojnie. - I nawet nie myśl o tym, żeby go wołać. Jeszcze nie widziałaś nikogo, kto szybciej ode mnie umie wybrać numer policji.

- Wsiada z samochodu - rzekła Hannah, pożerając wzrokiem obiekt swoich uczuć tak samo, jak Ruth pożera ekierki - czy pożerałaby, gdyby zrezygnowała ze swojej diety bez mąki i cukru. - Będzie mu naprawdę przykro, kiedy zobaczy, że mnie nie ma.

- Tak, jasne. Założę się o pięć dolarów, że już nigdy się z tobą nie skontaktuje.

- Żartujesz sobie? - Hannah pokręciła głową. - Będzie mnie szukał na końcu świata, jeżeli będzie musiał. Tak mi powiedział. Jesteśmy bratnimi duszami.

Wsiadając na motor, zerknęłam w stronę, gdzie patrzyła, i zobaczyłam wysokiego chudego faceta, który wysiadał z transama.

Dlaczego tacy jak on zawsze jeżdżą transamami?

Ale zamiast skierować się do mieszkania 2T, nasz poczciwy Randy poszedł prosto w stronę mieszkania 1S. Hannah i ja obserwowałyśmy w milczeniu, jak zapukał krótko do drzwi. Otworzyły się i wyjrzała zza nich ciemnowłosa dziewczyna, która wyglądała, jakby była jeszcze młodsza od Hannah. Pochylił się i pocałował ją, od czego najwyraźniej kolana jej zmiękły, bo mu siał ją wręcz zatargać w głąb mieszkania. Najwyraźniej nie był a już w stanie ustać na własnych nogach.

Za moimi plecami Hannah wyrwał się cichy pisk jak kociakowi, który właśnie przebudził się z długiego, mocnego snu.

- Ha - powiedziałam, odpalając silnik. - Wygląda na to, że Randy ma niejedną bratnią duszę, nieprawdaż?

A potem wywiozłam ją stamtąd najszybciej, jak się dało. Nie przekraczając limitu prędkości, oczywiście.

Rob gadał przez telefon, kiedy szarpnęłam siatkowe drzwi i wprowadziłam bardzo cichutką Hannah do jego salonu.

Szczęka mu opadła na jej widok. A potem się opamiętał i po wiedział do słuchawki:

- Gwen? Tak. Właśnie weszła. Nie wiem. Chyba nie, wygląda normalnie. Tak. - Wyciągnął słuchawkę w stronę Hannah. - Han, twoja matka chce z tobą porozmawiać.

Hannah wykrzywiła usta w podkówkę. A potem zawróciła na pięcie i w teatralny sposób rzuciła się biegiem po schodach na górę, cały czas szlochając. Sekundę później usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi sypialni.

Rob spojrział na mnie. Przewróciłam oczami. Powiedział do telefonu:

- Gwen? Tak. Jest trochę... zdenerwowana. Pójdę z nią porozmawiać. Później do ciebie oddzwonię. Na razie.

A potem rozłączył się i znów zaczął się gapić na mnie.

- Zakochała się - powiedziałam, ruchem brody wskazując miejsce, skąd dobiegały do nas szlochy Hannah.

- Ale nic jej nie jest? - zapytał nerwowo.

- Fizycznie? - odezwałam się. - Sądzę, że kontrolna wizyta u ginekologa będzie wskazana.

Wydało mi się, że pod Robem ugięły się nogi. Opadł na krzesło przy obiadowym stole.

- Dziękuję, Jess - rzekł słabym głosem, nie zwracając się do mnie, ale w stronę drewnianej, rzeźbionej miski na owoce stojącej na środku stołu.

Wzruszyłam ramionami. Wyrazy wdzięczności peszą mnie. A już zwłaszcza, kiedy słyszę je od kogoś, kto jest taki przystojny jak Rob w swoich dzinsach. To nie fair, że był jednocześnie tak przystojny i tak nieosiągalny.

Chyba że coś z tego, co naopowiadała mi Hannah w tam tym mieszkaniu, to prawda.

Ale jak to w ogóle możliwe, żeby on...

Nie chcąc się zapuszczać w myślach na to niebezpieczne terytorium, rozejrzałam się po domu Roba. Totalnie go odnowił od czasu, kiedy tu byłam po raz ostatni. Zniknął cały ten kwiecisty kreton, który tak lubiła jego mama, a zastąpiły go męskie w tonacji - ale i tak przyjemne - oliwkowe szarości i brązy. Zniknęła sofa w kwiatki, a na jej miejscu stała kryta brązowym zamszem kanapa. Zamiast starego dziewiętnastocalowego telewizora Sony na

ścianie nad szafką z ciemnego drewna pełną kompaktów i filmów DVD wisiał teraz plazmowy ekran.

Cokolwiek jeszcze porabiał Rob, odkąd widziałam go po raz ostatni, nie cierpiał na brak gotówki. Przerobił dom swojej matki na prawdziwą męską kawalerkę.

- Masz coś gazowanego do picia? - zapytałam. Bo na samą myśl o dziewczynach, które mógł w rzeczonyj kawalerce zabawiać, zrobiło mi się trochę słabo.

- W lodówce - powiedział. Wciąż nie odrywał oczu od miski na owoce. Leżały w niej trzy czerwone jabłka i dojrzały banan. O ile się nie myliłam, Rob Wilkins był w stanie szoku.

Poszłam do kuchni. Ona też została odnowiona, a stare białe wiejskie szafki zastąpiono eleganckimi meblami z surowego wiśniowego drewna. Blat z tworzywa zniknął, a na jego miejscu połyskiwał kontuar z czarnego granitu. Urządzenia kuchenne również były nowe, z nierdzewnej stali, a nie białe emaliowane.

W lodówce znalazłam dwie coli i zaniiosłam jedną dla niego, a potem usiadłam na krześle po drugiej stronie stołu. Widząc, że nie potrafi przestać się gapić na tę miskę z owocami, uznałam, że poziom elektrolitów obniżył mu się co najmniej tak samo jak mnie.

- Skąd wzięłeś pieniądze na to wszystko? - zapytałam, otwierając swoją puszkę coli i ruchem głowy wskazując plazmowy telewizor. Mama by mnie zamordowała, gdyby to usłyszała - to strasznie niegrzeczne pytać kogoś, skąd wziął pieniądze, żeby za coś zapłacić. Ale uznałam, że Rob się nie przejmie.

Nie przejął się.

- Dentyści - rzekł. I na chwilę oderwał spojrzenie od miski z owocami, żeby otworzyć sobie colę.

- Dentyści?

Wziął długi łyk coli, a potem odstawił puszkę na drogą plecioną podkładkę leżącą na stole.

- Przepraszam - powiedział. - Tak, dentyści. To chyba jedyni ludzie, których jeszcze stać na harleye. No cóż, i lekarze na emeryturze. I prawnicy.

Przypomniałam sobie motor, który składał kiedyś w stodole ze dwa święta Dziękczynienia temu. Wtedy, kiedy nie powie działał, że też mnie kocha.

- Rozumiem. Kupujesz stare motory, odnawiasz je i sprzedajesz?

- Właśnie. Rynek starych motocykli prezentuje się ostatnio bardzo ładnie.

Pomyślałam o swoim motorze, zaparkowanym na jego własnym zwirowanym podjeździe. Zastanowiłam się, skąd też tata go wziął. To niesamowite, że nigdy go o to nie zapytałam. Czyż by Rob...

Ale nie. To by był o już za bardzo dziwaczne.

- To super - powiedziała zamiast tego. - Ten dom wygląda... - Zupełnie, jakby można się tu być o natychmiast wprowadzić. Boże, co się ze mną dzieje? - Wygląda naprawdę ładnie.

- Nie wystarczająco ładnie, jak widać. - Rob skrzywił się i zerknął w stronę schodów.

- Tak - mruknęłam. - W tej sprawie. Okłamała cię, wiesz.

- Co do tego, co się dzieje u niej w domu? - Rob pokiwał głową. - Wiem. Teraz wiem. Gwen, to jej matka, rozmawiała ze mną. Wygląda na to, że Hannah nieźle nam obojgu nakłamała. Wmówiła Gwen, że mam nastroje samobójcze po zerwaniu z dziewczyną i że ją błagałam, żeby przyjechała do mnie na parę tygodni i dała mi jakiś bodziec do życia.

Wróciłam myślami do słów Hannah, jakoby złamała Robowi serce. Więc to widać nie była prawda. To był tylko taki jej sposób, żeby mi dowalić.

Ale te albumy? I to, że ją zmuszał do oglądania serialu o mnie?

- Poznała go przez Internet. - Przekazałam Robowi resztę informacji na temat Randy'ego.

- Ja go zabiję - oświadczył Rob, kiedy skończyłam.

- No cóż, może będziesz musiał ustawić się w kolejce - stwierdziłam i opowiedziałam mu o dziewczynie, którą widzieliśmy w mieszkaniu 1S. - Moim zdaniem nie będzie długo za martwiął się zniknięciem Hannah. Odniosłam wrażenie, że może przebierać w innych młodzieńskich niewiniątkach.

Rob spojrzał na mnie z troską ponad miską na owoce.

- Nie chcę, żeby Hannah miała do czynienia z policją, składaniem zeznań i tym wszystkim. Rozumiesz. Ona ma tylko pięć naście lat.

- Byłam pewna, że tak to odbierzesz - powiedziałam, bezmyślnie biorąc do ręki jakieś papiery, które leżały nieco dalej na stole, bo aż mnie bolało patrzenie w te jego błękitne oczy.

- Hej, a co to?

Uniosłam w górę trzymane w dłoni papiery. To był katalog kursów oferowanych na Wydziale Humanistycznym i Nauk Ścisłych Uniwersytetu stanu Indiana, i kartka papieru z wypisanymi różnymi liczbami.

- Plan moich zajęć na jesień - rzekł Rob jakby nigdy nic.

- Chodzę na kursy wieczorowe. Chcesz jeszcze coś do picia?

- Jasne. - Spojrzałam na kursy, które sobie wynotował: wstęp do literaturoznawstwa, wstęp do psychologii, biologia.

- O rany, Rob. Prowadzisz warsztat, naprawiasz stare motocykle i jeszcze chodzisz na studia wieczorowe? I myślałeś, że do tego wszystkiego dasz jeszcze radę dołożyć nastoletnią siostrę?

- Miałem wszystko pod kontrolą - powiedział Rob przez za ciśnięte zęby. - A przynajmniej...

- Dopóki rzezona młodsza siostra się nie pojawiła - dokończyłam. - No cóż. Jak ty to sobie wyobrażałeś?

- Nie myślałem, że ona będzie... No, taka jaka jest. - A myślałeś, że jaka będzie? - zapytałam, biorąc z jego rąk tę drugą colę.

- Myślałem, że będzie bardziej podobna do ciebie - powie dział, przez co o mały włos, a zakrztusiłabym się picciem.

- Ja? - wygulgotałam. - O mój Boże, ty na pewno żartujesz. Ja byłam najnieznośniejszą idiotką na świecie, kiedy miałam naście lat.

- Ja to inaczej wspominam - rzekł Rob. Ale trudno byłoby nazwać to ciepłą uwagą.

- Tak? No to możesz zapytać moich rodziców - powiedziałam.

- Nie byłaś taka jak Hannah - rzekł Rob, kręcąc głową. - To znaczy, owszem, pakowałaś się w kłopoty. Ale to było przez bójki, a nie pomieszkiwanie z facetami poznanymi przez Internet. Ty byś nigdy...

Jego głos ucichł. W domu słychać było jedynie szlochy Hannah, dochodzące głośno i wyraźnie z pokoju, który kiedyś mu miał być sypialnią Roba. Teraz przeniósł się pewnie do głównej sypialni, w której dawniej spała jego mama. Pewna byłam, że ona też już nie jest różowa.

- No cóż - mruknęłam, bo nie mogłam za nic w świecie znaleźć żadnych innych ludzkich słów. To znaczy, oczywiście, chciałam go zapytać: czy to, co powiedziała Hannah, to prawda - o tym, że ma album z pamiątkami po mnie i że mu podobno zламаłam serce...

Ale Hannah już zdążyła naopowiadać tyle bzdur, że wydało mi się mało prawdopodobne, żeby akurat te z jej słów, które najbardziej chciałam uznać za prawdę, były jedynymi jej prawdziwymi słowami.

Zwłaszcza że od Roba nie wyczuwałam żadnych wibracji typu: „Zacznijmy może od tego miejsca, w którym przerwaliśmy”.

Z drugiej strony, faktycznie dopiero co dowiedział się, że jego młodsza siostra została uwiedziona przez jakiegoś dwudziestosiedmioletniego właściciela transama, imieniem Randy.

- Lepiej już pójdę. Jestem pewna, że mama do tej pory już zrobiła obiad.

- Jasne. Odprowadzę cię. I zanim się zorientowałam, szliśmy już przez jego ładnie utrzymany trawnik w stronę mojego motocykla.

Chciałam go zapytać wtedy. No wiecie, czy to on go złożył. Ale prawdę mówiąc, w głębi duszy już wiedziałam.

- Ślicznotka - stwierdził Rob, ruchem brody wskazując motocykl.

- Błękitna Księżniczka - powiedziałam odruchowo, zanim zdałam sobie sprawę, jak kiczowato zabrzmiała ta nazwa, wypowiedziana na głos.

- Dobrze chodzi? - zapytał.

- Jak lala - odparłam.

- W głowie mi się nie mieści, że ktoś ci wreszcie dał prawko. - Bob zachichotał.

- Jedna z wielu dodatkowych korzyści z pracy dla rządu - oświadczyłam.

A potem pożałowałam tych słów. Bo uśmiech Roba zniknął.

- Jasne. No cóż. To dziękuję. To znaczy za to, że ją odszukałaś.

Poczułam się jak totalna, kompletna idiotka. Tyle chciałam powiedzieć - o tyle chciałam go zapytać. Ale zamiast tego wszystkiego udało mi się wykrztusić jedynie:

- Przepraszam.

Spojrzał na mnie w tym purpurowiejącym świetle zachodu, bo słońce chowało się już za szczyty drzew nad polami otaczającymi jego farmę.

- Przepraszasz? Za co?

- Za to... - powiedziałam zażenowana. Za wszystko, chciałam dodać. Za to, że jestem taka pokręcona. Za to, że posłuchałam swojej matki. Za to, że kiedykolwiek pozwoliłam ci zniknąć mi z oczu. - Za wszystko, co ci powiedziałam wczoraj wieczorem. - Tylko tyle wyszło w końcu z moich ust. - Za to, że zachowywałam się jak taka totalna, hm, wredna suka. Tak to chyba ujęła twoja siostra.

I wtedy coś się stało z jego twarzą. Drgnęła tak, jakbym go uderzyła w policzek.

Ale wcale nie wyglądał, jakby się na mnie pogniewał. Na jego twarzy wymalował się wyraz - no cóż, czegoś, czego nie potrafiłam nazwać. I zanim się połapałam, położył dłoń na ręce, którą opierałam na dźwigni zmiany biegów.

- Jess... - powiedział.

Kto wie, co by się stało później, gdyby nie przerwał mu jakiś hałas w sypialni na górze. Czyżby Hannah zabarykadowała się w środku? Po brzdęku rozległ się jakiś wrzask. Hannah dostała napadu złości.

Prawdę mówiąc, nawet gdyby go nie dostała... No cóż. I tak wątpię, czy coś by się potem stało.

- Lepiej się tym zajmij - powiedziałam głosem, który brzmiał trochę nieswojo. To dlatego, że bardzo mi zaschło w gardle mimo wypitych dwóch puszek coli.

- Tak. - Rob cofnął dłoń i obejrzał się na dom. - Chyba lepiej tam pójde. Posłuchaj, tym razem zadzwonisz do mnie? Przed powrotem do Nowego Jorku?

Wydawało mi się, że w półmroku jego oczy płoną.

- To znaczy, żebyśmy mogli pogadać, co zrobić w sprawie Randy'ego - dodał szybko, żebym czasem przez pomyłkę nie pomyślała sobie, że on naprawdę, no wiecie. Interesował się mną. Bardziej niż zwykłą przyjaciółką.

- Jasne - zgodziłam się. Chociaż totalnie kłamałam. Bo prawdę mówiąc, wiedziałam, że nigdy nie mogłabym być dla niego tylko przyjaciółką. To było pożegnanie - czy on o tym wiedział, czy nie. - To na razie.

- Na razie - odpowiedział. A potem zawrócił i powoli poszedł z powrotem do domu.

Włożyłam kask, zadowolona, że w razie gdyby tak się złożyło, że on się obróci i spojrzy na mnie - chociaż marne szanse, żeby coś takiego się stało - plastikowa osłona ukryje łzy, które nagle napłynęły mi do oczu.

Boże. Jestem taką idiotką. Najpierw nabieram się na te kłamstwa Hannah, a teraz w ogóle uwierzyłam, że...

Ale nieważne. No naprawdę, co to zmienia? Nic. To nadal tylko facet, z którym kiedyś łączyło mnie Jakies coś”.

No a poza tym... Hannah, pokręcona czy nie, przynajmniej próbowała być z facetem, w którym się zakochała. Jasne, to idiota, który najwyraźniej w ogóle o nią nie dbał. Ale miała z tego chociaż trochę przyjemności. A przynajmniej mam taką nadzieję.

A co mi przyszło ze znajomości z Robem? Nic poza bólem serca.

A najzabawniejsze w rym wszystkim? Że te rzeczy, które według Hannah Rob powiedział o mnie - one nie były prawdą. Wcale nie byłam dzielna. Nie, dzielna była Hannah. Och, jasne, wiele razy ryzykowałam życie. Ale Hannah zaryzykowała coś, co - jak się w końcu okazuje - o wiele boleśniej jest stracić: własne serce.

Nie oglądałam się za siebie, odjeżdżając. Bo nie chciałam patrzeć, jak on zamyka za mną drzwi.

Po raz kolejny.

Wróciłam do domu rodziców, gdzie zastałam imprezę w rozkwicie.

Kiedy moja mama się uprze, naprawdę umie zorganizować imprezę. Chciała w ten sposób uczcić mój (tymczasowy) powrót do domu.

Przyznaję jednak, że jak na moją mamę, spotkanie wypadło dość skromnie.

Ale z domu obok przyszli oboje rodzice Ruth i Skipa, a poza tym Douglas ze swoją dziewczyną, Tashą. Przyszli nawet rodzice Tashy, Thompkinsowie, mieszkający po drugiej stronie ulicy - doktor Thompkins był z tatą i panem Abramowiczem na tarasie za domem, gdzie wymieniali się przepisami na grillowanie (nie żeby mój tata, restaurator i jednocześnie rewelacyjny kucharz, słuchał tego, co mówili pozostali dwaj).

Zawsze czułam się dziwnie w towarzystwie Thompkinsów od czasu, kiedy ich jedyny syn i brat Tashy, Nate, zniknął trzy lata temu, a mnie się udało go znaleźć dopiero wtedy, kiedy było już za późno.

Ale muszę przyznać, że nikt z nich nie żywił do mnie żadnej urazy. Może dlatego, że na koniec przywiódłam przed oblicze sprawiedliwości zabójców ich syna.

Niemniej jednak moja obecność musiała im o tym wszystkim przypominać. Wielu ludzi - włącznie ze mną - dziwiło się, że Thompkinsowie w ogóle zostali na Lumbley Lane, biorąc pod uwagę, że to miejsce raczej nie mogło w nich budzić dobrych skojarzeń.

Ale zostali. I dość często przychodzili na obiad do moich rodziców. Wystarczająco często, jak się zdaje, żeby ich córka i mój brat Douglas nawiązali najtrwalszy - i prawdopodobnie najzdrowszy emocjonalnie - romantyczny związek, jaki do tej pory przytrafił się któremuś z dzieci Mastrianich.

- Cześć, Jess - powiedział Douglas na mój widok i powitał mnie, jak na samego siebie, w bardzo nietypowy sposób, to zna czy cmoknął mnie w policzek.

Jasne, to był nieśmiały cmok. Ale zawsze. Wiele się zmieniło od czasu, kiedy zaledwie trzy lata temu z trudem się zmuszałam, żeby w ogóle dotknąć jakiejś innej istoty ludzkiej.

- A więc Rob cię znalazł, tak?

Zapytał o to tak cicho, że w pierwszej chwili go nie dosłyszałam.

- Hm? - Zagapiłam się na niego. - Ach, tak. Znalazł. - I pomogłaś mu w tym jego kłopotcie?

- Tak. Ten kłopot już... Przestał być kłopotem. Bezpiecznie wróciłam do domu.

- Musiało mu ogromnie ulżyć. - Douglas miał minę, jakby i jemu ulżyło. - Naprawdę się zamartwiał.

Przyjrzałam się szczupłej twarzy mojego brata i meszkowi jego właśnie zapuszczanej bródki. I poczułam, że Douglas zaczyna mnie irytować.

- A przy okazji, dzięki za uprzedzenie mnie, co się szykuje - powiedziałam. - Mogłeś zadzwonić i dać mi znać.

- - Żebyś na weekend uciekła do Hamptons? - Douglas wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Prosił mnie, żeby ci nic nie mówić.

I najwyraźniej to, że Rob go prosił, żeby mi nic nie mówił, był o dla niego ważniejsze niż moja równowaga emocjonalna.

- Ty Rob bardzo się ostatnio przyjaźnicie - skomentowałam, nie bez pewnej gorzkości.

- To porządny facet. - Tylko tyle miał mi do powiedzenia Douglas, a potem zostawił mnie, żeby przynieść mamie z lodówki butelkę domowego sosu winegret.

- Cześć, Jessico - powiedziała jego dziewczyna, ściskając mnie. Lubię Tashę nie tylko dlatego, że posłuchała mojej rady i nie złamała serca Douglasowi. I dobrze, bo przecież jej obiecałam, że jeśli mu je złamię, to ja jej przestawię nos. - Jak tam Nowy Jork? - zapytała Tasha z odrobiną nostalgii jak ktoś, kto chciałby się przenieść do Wielkiego Jabłka, ale nie starcza mu odwagi.

- Stoi sobie - odpowiedziałam. Lubię Nowy Jork. Naprawdę. No wiecie. Dla mnie to tylko miasto. Może nieco większe niż to, do którego przywykłam, ale i tak tylko miasto.

- A Juilliard? - spytała pani Abramowitz. Pani Abramowitz zawsze bardzo przeżywała, że poszłam do Juilliard... Może dlatego, że w głębi ducha oczekiwała, że skończę w stanowym więzieniu dla kobiet, a nie w jednej z najślawniejszych akademii muzycznych w kraju. Nigdy nie zebrała się na odwagę, żeby po wiedzieć to głośno, ale i tak miałam swoje podejrzenia.

Zaczęłam już swoją zwykłą na to odpowiedź - że świetnie - lecz coś mnie powstrzymało. Nie wiem, co to był o. Może fakt, że znalazłam się w domu.

Nagle zrozumiałam, że jeśli jej powiem, że w szkole jest świetnie, to skłamię. W szkole nie był o świetnie. W Nowym Jorku nie było świetnie. Ja wcale nie miałam się świetnie.

Zdecydowanie nie miałam się świetnie.

Tylko jak ja jej miałam o tym powiedzieć? Jak ja jej miałam powiedzieć, że Juilliard jest inne, niż oczekiwałam? Że ile razy miałam chwilę wolnego czasu, musiałam ją spędzać w boksie do ćwiczeń i grać aż mi palce odpadały tylko po to, żeby nie odstawać od poziomu

innych flecistów z mojego rocznika? Że tego nie cierpiałam? Że chciałam to rzucić, ale nie wiedziałam, co mogłabym robić innego? Że Nowy Jork jest świetny, że to pasjonujące, mieszkać w mieście, które nigdy nie zasypia, ale że brak mi zapachu świeżo skoszonych trawników i cykania świerszczy, i cichego zawodzenia wiolonczeli Ruth dochodzącego nie z sąsiedniego pokoju, ale z domu obok?

Nie mogłam. Nie mogłam jej tego w żaden sposób wyjaśnić.

- Świetnie - oświadczyłam zamiast tego.

- A u Ruth wszystko był o w porządku, kiedy wyjeżdżałaś? - spytała pani Abramowitz, częstując się kolejną margaritą.

- Tak - mruknęłam. Zastanawiałam się, jak zareagowałyby pani Abramowitz, gdybym się z nią podzieliła swoimi podejrzeniami... Że coś się dzieje między jej córką a moim starszym bratem.

Pewnie byłaby zachwycona. Mike, tak jak Skip, ma wielkie szanse na karierę faceta ze stoma tysiącami dolarów rocznie, tyle że w informatyce, a nie w zarządzaniu.

Ale cokolwiek się działo między Mikiem a Ruth, nie było to jeszcze nic pewnego i mogło równie dobrze skończyć się na niczym. Więc nie wspomniałam o tym.

- A Skip? - spytała mama nieco przekornie. Bo oczywiście mama jest jak najbardziej za facetami od stu tysięcy dolarów rocznie. A przynajmniej podoba jej się pomysł, że ktoś za te sto tysięcy dolarów by mnie utrzymywał.

- Chrapie - stwierdziłam i złapałam miskę z dipem, żeby wystawić ją do ogrodu, gdzie mieliśmy jeść.

- To te jego zatoki - wyjaśniła pani Abramowitz mojej mamie. - I te jego alergie. Chciałabym, żeby pamiętał, że ma przyjmować claritin...

- Tu jest moja dziewczynka - przywitał mnie tata z szerokim uśmiechem, kiedy weszłam z dipem do ogrodu. Chigger nagle znów zaczął mnie obskakiwać, ale tym razem nie po to, żeby się przywitać, lecz dlatego, że trzymałam w rękach coś, co się nadawało do jedzenia.

- Spokój - powiedziałam do Chiggera, który posłusznie przestał podskakiwać, ale i tak z oddaniem ochroniarza nie odstępował mnie na krok po drodze do stołu.

- Co za pies. - Doktor Thompkins zachichotał.

- Ten pies - powiedział tata - zna co najmniej piętnaście komend. Popatrzcie tylko. Chigger, piłka.

Chigger zamiast pobiec po piłkę, co zwykle robił, słysząc to słowo, został tam, gdzie siedział, dysząc w ciepłym, wieczornym powietrzu i czekając, aż komuś spadnie trochę dipu.

- No cóż - mruknął tata z zażenowaniem.

- Pobiegłby po nią, gdyby w pobliżu nie było jedzenia. Usiadłam na tarasie, lekko drapiąc Chiggera po uszach i słuchając, jak tata gawędzi z sąsiadami, spoglądałam na szczyty drzew za naszym ogrodem. Dziwnie się czułam na myśl, że zaledwie dziś rano patrzyłem przez metalowe kraty schodków przeciwpożarowych w okna mieszkań innych ludzi, a teraz oglądam widok tak sielankowy i... No cóż, inny. Nie twierdzę, że jeden jest lepszy niż drugi. One są po prostu... odmienne.

Zastanawiałam się, co robi Rob i jego siostra. Zastanawiałam się, co robi Randy i ta dziewczyna, którą widziałam. Ech, do diabła. Dość dobrze się domyślałam, czym się zajmuje tych dwoje. Zamiast tego zaczęłam myśleć o tym, co powinnam w tej sprawie zrobić. Jeśli Rob nie chce, żeby jego siostra musiała zeznawać w sądzie przeciwko temu palantowi, możliwości miałam nieco ograniczone.

Ale co z tą ciemnowłosą dziewczyną, którą widziałam? Ona też na pewno była nieletnia. Gdybym tam pojechała i podzieliła się z nią informacją o pocziwym Randym, który miał inną na boku - a konkretnie piętro wyżej w 2T - czy wróciłby jej rozum?

Ale dlaczego miałabym to robić? Nie znałam tej ciemnowłosej dziewczyny. Nikt mnie nie prosił, żebym ją odszukała. Nie byłam za nią odpowiedzialna.

Może Ruth ma jednak rację. Może jestem rzeczywiście kiepską superbohaterką. Boja naprawdę nie potrafię ot tak, odjechać w stronę zachodzącego słońca.

Pani Thompkins wyszła z domu, niosąc sałatkę, a Douglas deptał jej po piętach, zupełnie jak Chigger deptał po piętach mnie.

- ...naprawdę powinien przejść - mówił Douglas, za którym z kolei snuła się Tasha, trzymając talerz kolb gotowanej kukurydzy. - To nasza społeczna własność. Musimy ją odebrać developerom i tym japiszonom z różnych korporacji.

- Aleja nie widzę konieczności istnienia szkoły podstawowej w okolicy, Douglas - powiedziała pani Thompkins nieco bezradnym tonem. - Ludzie, których stać tutaj na domy, mają dzieci na studiach, w waszym wieku, a nie w wieku przedszkolnym.

- I dlatego właśnie proponujemy otwarcie szkoły średniej - rzekła Tasha, której ciemne oczy błyszczały entuzjazmem. - A nie podstawówki.

Mama weszła do ogrodu, trzymając przez kuchenne rękawice półmisek swoich sławnych ziemniaków zapiekanych w sosie.

- Tylko nie znowu ta alternatywna szkoła średnia - powie działa ze znużeniem. - Czy moglibyśmy zjeść jeden wspólny posiłek bez przymusu rozmawiania o tej twojej alternatywnej szkole średniej, Douglas?

Co był o zdecydowanie sarkastyczne jak na osobę, która za ledwie parę lat temu dałaby sobie rękę obciąć, żeby tylko Douglas usiadł z nami przy obiadowym stole, zamiast chować się w swoim pokoju.

- Świetnie. - Douglas wcale się nie obraził. - Ale o ósmej jest posiedzenie rady dzielnicy. Mam nadzieję, że przynajmniej ktoś z was będzie mógł przyjść.

- Żadnej polityki przy stole - oświadczył tata, wywijając talerzem idealnie upieczonych steków. - Ani religii. Oba tematy psują apetyt.

Wszyscy zaczęli wydawać okrzyki zachwytu nad stekami, tak jak tata oczekiwał, a potem wzięli się do jedzenia. Mnie jedzenie smakowało bardziej niż zazwyczaj, bo przecież od porannej bułki z jajkiem i kielbasą nie miałam prawie nic w ustach.

Oczywiście, jak tylko obiad się skończył, Douglas zerknął na zegarek i powiedział, że już czas na posiedzenie rady dzielnicy i każdy, kto choć odrobinę troszczy się o najbliższe sąsiedztwo, powinien przespacerować się z nim i Tashą do auli Pine Heights, żeby wysłuchać, co rada ma do powiedzenia na temat przyszłości szkoły.

Nikt z dorosłych nie wrywał się na ochotnika. Co raczej nie dziwiło, biorąc pod uwagę ilość wołowiny i tequili dopiero co przez nich skonsumowanych.

- Znakomicie - powiedział w związku z tym Douglas. - A ja myślałem, że wy, pokolenie Woodstock, rzeczywiście przejmujecie się losami świata.

- Hej - odezwała się mama z pogroźką w głosie. - Ja na Woodstock byłam o wiele za młoda.

- Jess? - Tasha wstała i razem z moim bratem ruszyła do wyjścia. - Chcesz iść?

Nie chciałam. Co mnie obchodzi, co się stanie z moją starą podstawówką?

. - Jess przecież nawet tutaj nie mieszka. - Mama się uśmiechnęła. - Teraz jest już pozbawionym złudzeń nowojorczykiem.

Czy rzeczywiście tym jestem? Czy dlatego wszystko w moim mieście wydawało mi się teraz takie odrapane i małe? Bo jestem pozbawionym złudzeń nowojorczykiem?

- Chodź, Jess - powiedział Douglas, stojąc przy drzwiach. - Wszystkie małe lokalne firmy wykupywane są przez wielkie sieci. Widziałaś, co się stało z Czekoladowym Łosiem.

- Nie wszystkie lokalne małe firmy wykupywane są przez wielkie sieci, Douglas - zauważył tata suchym tonem, mając na myśli restauracje, których nadal był właścicielem.

- Naprawdę chcesz zobaczyć to miejsce, gdzie w trzeciej klasie grałaś myszkę w *Lwie i myszy*, obrócone w apartamenty na wynajem? - spytał mnie Douglas, zupełnie ignorując naszego ojca.

No cóż, przecież to nie tak, że miałam jakieś inne, lepsze propozycje. Nikt mi na dzisiejszy wieczór nie zaproponował żadnych wspólnych rozrywek. A gdybym została w domu, mama zagoniłaby mnie do zmywania naczyń.

Wzruszyło mnie, że Douglas w ogóle pamiętał, że w trzeciej klasie podstawówki grałam w szkolnym przedstawieniu mysz.

- Pójdę - zdecydowałam i podniosłam się, żeby towarzyszyć Douglasowi i jego dziewczynie.

Spacer przez trzy przecznice do szkoły podstawowej po święcili zaznajomieniu mnie z ich propozycją przekształcenia Pine Heights w szkołę średnią.

- Alternatywną szkołę średnią - tłumaczył Douglas. - Nie taką jak Ernie Pyle, która była taka wielka i bezosobowa. Tamto miejsce... przypominało edukacyjną fabrykę - dodał, otrząsając się.

Co było o tyle ciekawe, że sama nie dostrzegłam, żeby kładziono tam szczególnie nacisk na edukację.

- Alternatywna szkoła średnia umożliwiłaby dzieciakom naukę w ich własnym tempie - oświadczyła Tasha, która studiowała na Uniwersytecie stanu Indiana i specjalizowała się w pedagogice.

- Tak - potwierdził Douglas. - I zamiast standardowego programu stanowego, mamy zamiar kłaść nacisk na sztuki piękne: muzykę, rysunek, rzeźbę, teatr, taniec. I żadnych sportów.

- Żadnych sportów - potwierdziła stanowczo Tasha, a ja przypominałam sobie, że jej brat był kiedyś w drużynie futbolowej... I ile uwagi skupiał na sobie z tego powodu, podczas gdy ją, nieśmiałą, pilną uczennicę, rodzina ledwie zauważała.

- Wow - powiedziałam. - Super.

I mówiłam to szczerze. No bo gdybym chodziła do takiej szkoły, jaką oni opisywali, zamiast do tej, do której chodzić musiałam, to może wyrosłoby ze mnie coś lepszego niż taka... psychicznie poharatana osoba. Na pewno nie uderzyłby we mnie żaden piorun. Bo to mi się przydarzyło, kiedy wracałam do domu z Liceum Ernie Pyle. Gdybym wracała z Pine Heights, które jest o wiele bliżej, zdążyłabym do domu, na długo zanim rozpętała się burza.

Dziwnie się czułam w mojej dawnej szkole podstawowej po tych wszystkich latach. Wszystko wydawało się takie małe. No bo fontanny z wodą do picia, które kiedyś wydawały się takie wysokie, teraz sięgały mi do kolan.

Ale nadal pachniało tak samo pastą do podłóg i tym środkiem, którym posypują rzygowiny.

- Pamiętasz, jak kiedyś waliłaś głową Toma Boyesa o tę fontannę z wodą, Jess? - zapytał radośnie Douglas, kiedy przechodziliśmy obok zupełnie nierzucającego się w oczy urządzenia. - Za to, że mnie nazwał... Co to było? Ach, tak. Spastycznym dziwolągiem.

Nie pamiętałam tego. Ale nie mogę powiedzieć, żebym się zdziwiła.

Tasha jednak się zdziwiła.

- Dlaczego tak cię nazywał? - zapytała. - Tylko dlatego, że byłeś trochę inny?

Inny. Można to określić tym słowem. Douglas zawsze był inny. Jeśli można powiedzieć, że inny jest ktoś, kto słyszy w głowie głosy, które mówią mu, że ma robić dziwne rzeczy, na przykład nie jeść spaghetti ze szkolnej stołówki, bo zostało zatrute.

- Tak - powiedział Douglas. - Ale to nic takiego, bo miałem Jessikę za obrońcę. I to mimo że ja byłem wtedy w piątej klasie, a ona w pierwszej. Boże, Tom nie mógł wtedy przez rok spojrzeć ludziom w oczy. Stłuczony na kwaśne jabłko przez maleńką dziewczuszkę z pierwszej klasy.

Tasha uśmiechnęła się do mnie z podziwem, ale ja wiedziałam, że w tej całej sytuacji nie ma nic godnego podziwu. Mój pedagog szkolny i ja dużo i ciężko się napracowaliśmy, zanim udało się pokonać mój pozornie nieokiełznany temperament, przez który wiecznie pakowałam się w tarapaty. Wreszcie zdołałam nad nim zapanować, ale dopiero wtedy, gdy przekonałam się, co się może stać, kiedy ktoś obdarzony takim temperamentem zyska za wiele władzy - jak kilku z tych mężczyzn, których pomogłam złapać w Afganistanie.

Weszliśmy do auli szkolnej, pełniące trzy funkcje: auli, sali gimnastycznej (kosze do koszykówki) i stołówki (długie stoły, które składało się i ustawiało pod ścianami, żeby nie przeszkadzały w czasie WF - u albo apeli). Salka wydawała się śmiesznie mała w porównaniu z tym, co zapamiętałam. Mniej więcej dziesięć rzędów składanych krzesełek ustawiono naprzeciw długie go stołu, na którym stała makieta szkoły Pine Heights, tyle że z wymienionymi oknami i inaczej zaprojektowanym ogrodem, więc wyglądała bardziej jak luksusowy apartamentowiec niż szkoła.

Za modelem stał i ścisnął dłonie grupy miejskich pianistów i lokalnych polityków brzuchaty biznesmen w drogim nowym garniturze... Nie za wygodnie było mu w nim podczas letniego upału, zwłaszcza że w szkole nie był o klimatyzacji.

A obok faceta z piwnym brzuszkiem stał jeszcze jeden facet w garniturze, chociaż ten już lepiej nadawał się na tę pogodę, bo był jedwabny. Poza tym facet pod marynarką miał czarny T - shirt, a nie koszulę i krawat.

Pomijając zmianę ubrania, łatwo go było rozpoznać. Już go widziałam - chociaż z daleka - zaledwie parę godzin temu.

Chłopak Hannah, niewierny Randy.

Bardzo proszę o zajęcie miejsc. Człowiek z rady dzielnicy przywołał do porządku wszystkie osoby - włącznie z moim nagle uspołecznionym bratem - które kręciły się po sali, witając ze sobą. Zajęliśmy miejsca i siedzieliśmy tam w tym wieczornym upale, niektórzy wachlując się ulotkami, które tata Randy'ego porozkładał na siedzeniach naszych krzeseł. Ulotki opisywały apartamentowiec, w jaki Whitehead zamierzał przekształcić szkołę Pine Heights, oferując „doznanie luksusu”, z siłownią i kawiarenką na parterze. Najwyraźniej co raz więcej DINK - ów - młodych ludzi o podwójnych dochodach, ale bez dzieci - przenosiło się do naszego miasta, dojeżdżając stąd do pracy w Indianapolis. Takie luksusowe apartamenty z „doznaniami” na pewno odpowiadałyby ich gustom.

Ludzie wstawali i coś mówili, ale nie słyszałam ani jednego słowa z tego, co tam padło. Nie słuchałam. Zamiast tego gapiłam się na Randy'ego Whiteheada.

Chyba nie powinnam być zdziwiona. No bo mieszkamy w naprawdę małym mieście. Jeśli ojciec faceta jest właścicielem jakiegoś kompleksu apartamentów, to jest spora szansa, że ma ich więcej niż jeden. Zresztą, popatrzcie tylko na mojego tatę. Jest właścicielem nie jednej, ale trzech najpopularniejszych restauracji w mieście na tyle niedużym, że jest w nim tylko jeden McDonald's.

Mimo wszystko to był jednak szok, natknąć się na Randy'ego z bliska. Zdawało się, że występuje tu wyłącznie w roli „syna towarzyszącego ojcu”, bo nie mówił zbyt wiele i po prostu podsuwał panu Whiteheadowi różne papiery, kiedy przyszła kolej na jego wystąpienie. Nie dało się zaprzeczyć, że facet jest seksowny. To znaczy, Randy. O ile ktoś lubi takie typy z fryzurą za sto dolarów i w mokasynach na gołych stopach. Co pewnie takiej niedoświadczonej dziewczusce jak Hannah wydało się szalenie egzotyczne.

Ale dla mnie to wyglądało tak, jakby facet zalatywał. Nie chodzi mi tu o smrodek niemytego ciała, ale raczej o nadmiar wody kolońskiej. Nie cierpię, kiedy facet pachnie czymś poza mydłem. Randy Whitehead wyglądał, jakby zlewał się Calvinem Kleinem dla mężczyzn.

- Całkowity koszt każdego z tych mieszkań - mówił pan Whitehead - nie odbiegałby od rosnących cen nieruchomości w mieście, które staje się bardzo poszukiwanym lokum dla dobrze zarabiających osób zatrudnionych w firmach pobliskiego Indianapolis. Mówimy tu o kwotach rzędu pięciu do sześciu cyfr, w zależności od rodzaju wyposażenia. Nie ma żadnego

za grożenia, że społeczność Pine Heights ucierpi wskutek napływu niepożądanych mieszkańców o niskich dochodach.

Randy podczas przemowy ojca lekko postukiwał ołówkiem w stół. Nie wyglądał na człowieka, który zastanawia się, gdzie parę godzin wcześniej zniknęła miłość jego życia. Wyglądał jak człowiek, który ma ochotę wrócić do domu, pooglądać coś na HBO i wypić przy tym heinekę lub dwa.

Ludzie grzecznie wysłuchali gadki pana Whiteheada, a potem zadali jedno czy dwa pytania na temat parkingu i szkolnego boiska, z których nadal sporadycznie korzystały te rodziny, które w letnie wieczory nabierały ochoty na improwizowany w softballa. Boisko miało zniknąć, przekształcone w „park pełen bujnej zieleni, z bezpłatnym wstępem, wyposażony również w staw dla kaczek”. To z kolei wywołało pytania na temat koma rów i wirusa gorączki Zachodniego Nilu.

A ja pytałam samą siebie, co tu jeszcze robię. To znaczy, w Indianie. Spełniłam już prośbę Roba. Dlaczego jeszcze nie siedzę w samolocie, w drodze powrotnej do Nowego Jorku? To tam ostatnio toczyło się moje życie. Nie tutaj, na słuchaniu, jak ludzie denerwują się sprawą jakiegoś boiska futbolowego.

Oczywiście, w Nowym Jorku też nigdy nie miewam wrażenia, że naprawdę tam jest moje miejsce. Na przykład wszyscy w Nowym Jorku tak się ekscytują chodzeniem na broadwayowskie przedstawienia czy organizowaniem pikników w Central Parku. Wszyscy, tylko nie ja.

Może problem nie leży w Indianie ani w Nowym Jorku. Może problem leży we mnie. Może to ja nie jestem już zdolna do odczuwania zadowolenia. Może Rob miał rację, jestem psychicznie poharatana. Poharatana raz na zawsze i już nigdy nie będę szczęśliwa...

Rozmyślenia na temat stanu permanentnej obojętności wobec wszystkiego przerwał mi, zupełnie niespodziewanie, mój brat Douglas, który wstał i zagaił:

- Chciałbym zapytać, jakie postępy poczyniła rada dzielnicy w sprawie zapoznania się z naszym projektem przekształcenia Pine Heights w alternatywne liceum.

Sala zareagowała licznymi szeptami. Ale nie dlatego, że ludzie uważali, że to taki beznadziejny czy dziwaczny pomysł, co zwykle w przeszłości sygnalizowały ludzkie szepty, kiedy mój brat odzywał się publicznie. W tych szepciach zabrzmiała nuta ogólnej aprobaty. Ktoś z dalszych rzędów sali krzyknął:

- Tak!

A ktoś inny z drugiego jej końca powiedział:

- Nie chcemy, żeby nastolatki wałęsały się po naszej okolicy bez dozoru.

- Szkoła alternatywna nie oznacza tego, że młodzież będzie pozbawiona dozoru - szybko wyjaśnił Douglas. - Od nauczycieli ubiegających się o pracę w alternatywnym liceum Pine Heights wymagane będą stanowe uprawnienia, tak samo jak w każdej innej szkole. I jak w każdej innej szkole, nie będzie się tolerować wałęsania się po terenie po godzinach zajęć.

- Ale dzieci, które chodzą do tych tak zwanych szkół alternatywnych - wstała i powiedziała jakaś kobieta, której nie rozpoznawałam, ale która najwyraźniej mieszkała gdzieś w naszym sąsiedztwie - to zazwyczaj dzieci, które zostały wyrzucone z normalnych szkół. Te, które sprawiają kłopoty.

Tłum zaszemrał na znak zgody.

- Ale nie w naszej szkole - wstała i odparła Tasha Thompkins. - W naszej szkole będą obowiązywać surowe zasady dotyczące obecności na zajęciach. Kandydaci do szkoły będą musieli przedstawiać referencje.

W tę i z powrotem przerzucali się argumentami zwolennicy alternatywnej szkoły średniej i ci, którzy uważali, że ceny nieruchomości w okolicy spadną na łeb, na szyję po jej otwarciu. A ja siedziałam tam, nie tyle zainteresowana ich sporem, co tym, że mój brat - mój brat, Douglas - prowadzi tę dyskusję. Mój brat Douglas, który kilka lat temu interesował się tylko komiksami i pilnowaniem własnego nosa, w tej właśnie kolejności. A teraz przewodził - no serio, przewodził - akcji mającej na celu wprowadzenie zmian w społeczności, w której już nawet nie mieszkał.

A ludzie go słuchali. Ten chłopak, który codziennie wracał do domu ze szkoły z płaczem, bo jakiś większy dzieciak okradał go z pieniędzy na lunch i nazywał łamagą - ten chłopak przewodził grupie obywateli troszczących się o kierunek rozwoju własnego miasta.

I przewodził im, bo odnalazł w sobie wcześniej nieznaną - przynajmniej mnie - talent do publicznego przemawiania.

- Powodem, dla którego się zebraliśmy - mówił właśnie - jest fakt, że młodych ludzi w naszej okolicy nie stać już na to, żeby tutaj wychowywać dzieci. Ich domy wykupują osoby, które nawet nie są właścicielami żadnych okolicznych firm, a po prostu wolą mieszkać tutaj niż w Indianapolis, metropolii, gdzie prowadzą interesy. Niedługo to miasto będzie zupełnie powyżej możliwości finansowych ludzi w moim wieku. A naszą młodzież będziemy tracić na rzecz Nowego Jorku czy Chicago, bo tu nie ma dla nich pracy. Zdolni nauczyciele wymykają nam się z rąk, ponieważ nie ma dla nich etatów w naszych przepelnionych szkołach publicznych. Czemu nie mielibyśmy wykorzystać okazji, żeby paru takich młodych ludzi zatrudnić, a jednocześnie zaopiekować się młodzieżą i dać szansę zabłysnąć młodym, którzy

w przeciwnym razie mogliby się zagubić w tym monstrum, jakim jest nasze państwowe liceum?

Kilka osób zaklaskało. Oklaskiwali przemowę mojego brata, Douglasa. Łzy napłynęły mi do oczu. Naprawdę. Kiedy posiedzenie zamknięto, zapewnieniem ze strony przedstawiciela rady dzielnicy, że zarówno propozycja otwarcia alternatywnej szkoły średniej, jak i projekt osiedla pana Whiteheada zostaną gruntownie rozpatrzone, a decyzja podjęta do końca miesiąca, obróciłam się do Douglasa i powiedziałam, usiłując nie okazywać emocji:

- Dougie, to było dobre. Naprawdę dobre.

- Jasne. - Miał nadal rozzłoszczoną minę. - No cóż, nie wystarczająco dobre. Myślę, że przekonałem paru z nich, ale ten bydlak Whitehead naprawdę zbajerował ich opowiadaniem o wartości nieruchomości i przekształceniu okolicy w Beverly Hills stanu Indiana...

- Nie martw się. - Tasha pocieszająco poklepała mojego brata po plecach. - Mój tata zna burmistrza. Obiecał, że wstawi się za nami. No bo w końcu to też i jego dzielnica. A w rym roku są wybory.

- Byłoby tak wspaniale - powiedział Douglas - gdybyś my mogli tutaj znów zrobić szkołę... To znaczy, szkołę taką, jak trzeba. Taką szkołę, której byś nie musiała nienawidzić, Jess.

Roześmiałam się - z lekkim przymusem - a potem stanęłam z boku, ponieważ ludzie zaczęli podchodzić do Douglasa, żeby mu pogratulować wystąpienia i dyskutować, jak powinien wyglądać następny krok w tej sprawie.

A ja zauważyłam, że stoję niecałe półtora metra od Randy'ego Whiteheada, który pakował model apartamentowca ojca do wielkiego białego pudła.

Zanim zdążyłam się zastanowić, co robię, podeszłam do niego, pochyliłam się i zagaiłam:

- Ładny model. Randy spojrzał na mnie i obdarzył szerokim, połyskującym porcelaną koronek uśmiechem.

- Dzięki - powiedział. - Jesteś tu nowa? Nigdy wcześniej nie widziałem cię na żadnym z tych spotkań rady.

- Można powiedzieć, że jestem w okolicy od niedawna. - Zrewanżowałam się uśmiechem. - A ty?

- Dopiero co przeniosłem się tu z Indy. W zeszłym roku.

- To musiała być spora odmiana. Mieszkanie w małym mieście zamiast w metropolii.

- Dziwne, ale to prawie to samo - rzekł. - To znaczy, masa pracy, mało rozrywek.

Uśmiechnęłam się do niego jeszcze szerzej.

- Daj spokój - zaprotestowałam. - Taki przystojny facet jak ty? Na pewno bawisz się bez przerwy.

Skromnie pochylił głowę, pozwalając, żeby przystrzyżona za stowę grzywka lekko opadła mu na oczy.

- No cóż - bąknął. - Może od czasu do czasu. A ty? Postarałam się o zdziwioną minę.

- Ja? Och, ja nie mam zbyt wiele czasu na zabawę.

- Naprawdę? - Udało mu się wreszcie wpakować model do pudła. - A czemu nie?

- Zwykle jestem za bardzo zajęta poszukiwaniem ludzi - odparłam.

- Poszukiwaniem ludzi? - Spojrzał na mnie oczami w tym samym kolorze, co oczy Roba. Ale jakoś podejrzewałam, że szaroniebieskie tęczęwki Randy'ego to zasługa szkielek kontaktowych. - To kim ty jesteś? Urzędniczką od ścigania wagarowiczów?

- Nie. Nazywam się Jess Mastriani. Może o mnie jeszcze nie słyszałeś. Jestem tą dziewczyną, w którą parę lat temu uderzył piorun i która odkryła w sobie ponadmysłowe zdolności odnajdywania zagubionych osób.

Przez dobrą chwilę gapił się na mnie bez słowa. A potem się połapał.

- Żartujesz chyba? - Zrobił zachwyconą minę. - Hej, ja czasem oglądam ten serial o tobie. Ten na kablówce.

- Ha - powiedziałałam tonem: „Jaki ten świat mały”.

- Wow! - zawołał Randy. - Świetnie, że cię poznałem. Nie miałem pojęcia, że jesteś taka młoda. To znaczy, w prawdziwym życiu.

- Ha - powiedziałałam znowu, tym razem tonem: „Ojeja, jak mi przyjemnie”.

- To prawdziwy zaszczyt, poznać cię. - Randy wyciągnął prawą dłoń i uściśnął moją rękę. - Ja się nazywam Randall Whitehead Junior.

- Wiem. - Energicznie odwzajemniłam uścisk dłoni.

- Poważnie? - Zrobił zachwyconą minę. - Och, jasne. No cóż, to znaczy, oczywiście, że wiesz. Jesteś przecież medium.

- Ale nie tego typu medium. Naprawdę znam cię dzięki twojej znajomej. Hannah Snyder.

Trzeba przyznać, że Randy był niezły. Nie przestał ścisnąć mojej ręki. Ale poczułam, że jego dłoń w tym uścisku robi się nieco chłodniejsza. I raz czy drugi zamrugnął oczami, słysząc to nazwisko.

A potem powiedział:

- Snyder? Nie wydaje mi się, żebym kogoś takiego znał.

- Och, jasne, że znasz, Randy - powiedziałam takim samym serdecznym tonem. - To ta nieletnia, która uciekła z domu i ukrywała się w mieszkaniu 2T w tym kompleksie mieszkalnym Fountain Bleu koło szpitala. Sama ją tam dzisiaj znalazłam.

Randy puścił moją rękę, jakby go nagle sparzyła.

- Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Oczywiście, że masz pojęcie, Randy. - W tym momencie pomyślałam, co ja właściwie robię najlepszego. Moje zadanie już się skończyło. Dlaczego nie ruszałam w stronę zachodzącego słońca?

Ale jest we mnie coś takiego, co nie pozwalało mi odpuścić. Podejrzewam, że to jedyna część mnie, która wróciła z tej wojny niepokoharowana.

- Powiedz mi coś, Randy. Tak tylko między nami. Ile dziewczyn mieszka tam i nie płaci czynszu? Dwie? Trzy? A może więcej? I w jaki sposób udaje ci się nie dopuścić, żeby się nawzajem o sobie dowiedziały?

- Ja naprawdę... - Randy kręcił głową. - Ja serio nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Obawiam się, że jednak masz, Randy. Widzisz, ja wiem o...

- Hannah Snyder to głęboko zaburzona dziewczyna - prze rwał mi Randy. - Jeśli będziesz próbowała zgłosić sprawę glinom, powiem po prostu, że okłamała mnie co do swojego wieku.

I że to ona mnie podrywała.

- Nie znajomość prawa nie jest żadnym usprawiedliwieniem, Randy - stwierdziłam. - Jeśli osoba w wieku lat osiemnastu lub powyżej podejmuje współżycie seksualne z osobą w wieku lat szesnastu lub mniej, jest to w stanie Indiana przestępstwo karane z reguły wyrokiem dziesięciu lat więzienia, do których dodaje się kolejne dziesięć lat lub odejmuje cztery, w przypadku wystąpienia innych obciążających lub łagodzących okoliczności.

Randy wytrzeszczył na mnie oczy.

- Ale nie ma ż - żadnych d - dowodów - wyjąkał. - Że n - na tych kasetach jestem ja. N - nie zdołasz dowieść, że to ja.

Zaraz. Co takiego?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Myślę, że jednak uda nam się dowieść, że to ty. O czym on, u diabła, mówi?

- Ja... Ja muszę już iść - wyjąkał Randy. Zbladł pod kolor białego modelu Apartamentów Pine Heights swojego taty. A potem naprawdę o mało nóg nie pogubił, usiłując przede mną uciec.

Kilka minut później Douglas i Tasha znaleźli mnie siedzącą samotnie na jednym ze składanych krzesełek i bezskutecznie usiłującą przypomnieć sobie tekst *Lwa i myszy*.

- Gotowa do wyjścia? - spytał mnie Douglas. - Tasha i ja zwykle po posiedzeniach chodzimy na filiżankę bezkofeinowej. Chcesz iść z nami?

- Nie - powiedziałam, wstając. - Ale może mnie podwieziecie.

- Och! - Douglas się uśmiechnął. - Jasne. W Nowym Jorku na pewno ci tego brakuje.

- Nawet nie masz pojęcia jak - I wcale nie myślałam o swoim motorze.

- No cóż, dzięki, że z nami przyszedłaś - rzekł Douglas. - Pewnie okropnie się wynudziłaś, ale wiesz. Myślę, że na paru osobach zrobiło wrażenie to, że po naszej stronie siedzi „dziewczyna od pioruna”.

- Tak - potwierdziła Tasha. - Randy Junior miał taką minę, jakby zbierało mu się na rzyganie po tej rozmowie z tobą.

- No cóż, sami rozumiecie. Ludzie tak zwykle reagują na moją obecność przy stole.

- Przestań - powiedział Douglas. Ale się roześmiał. Odkryłam, że fajnie jest słuchać śmiechu Douglasa. Mogłabym się do słuchania tego śmiechu przyzwyczaić.

Ale teraz chciałam już zostać sama. Czułam, że jak na jeden wieczór narobiłam dość szkód. Czas wracać do domu... i do mojego motocykla.

Nie wiem, co ja sobie myślałam. To znaczy, może po prostu - N nie myślałam.

Mój motocykl tak jakoś z własnej woli skierował się w stronę apartamentów Fountain Bleu. Wcale nie podjęłam żadnej świadomej decyzji, że pojadę akurat w tę stronę miasta. Miałam wrażenie, że uniosłam głowę i nagle okazało się, że jestem tam i zatrzymuję motor na tym samym parkingu, z którego odjechałam kilka godzin wcześniej.

Tyle że tym razem było tam coś, czego nie widziałam wcześniej. I nie chodzi mi wyłącznie o to, że na parkingu stało więcej samochodów, bo większość mieszkańców kompleksu pewnie zdążyła wrócić do domu z pracy, a teraz zajadali się obiadem i/lub zabawiali komediowym serialem na którejś z głównych stacji (niektórzy może nawet oglądali odcinek serialu rzekomo opowiadającego o mojej o sobie. To znaczy, o ile mają kablówkę).

Nie, chodziło mi o jeden konkretny samochód. A był a to nowiutka czarna furgonetka zaparkowana na skraju parkingu, żeby nie rzucać się w oczy, bo tak się składa, że sama wybrałabym to miejsce, gdybym chciała zrobić jakiś rekonesans w okolicy.

A ponieważ właśnie tak zamierzałam spędzić ten wieczór, furgonetka nieco mi pokrzyżowała plany.

Aż zauważyłam, kto siedzi za jej kierownicą.

I wtedy, dyskretnie zaparkowawszy motocykl na sąsiednim miejscu, zdecydowałam się zapukać w okno od strony kierowcy.

Rob, nieco przestraszony, opuścił szybę.

- Co ty tu robisz? - spytał zaskoczony. Ale nie mógłby się zdziwić bardziej niż ja. Bo usłyszałam, jakiej muzyki słuchał, siedząc w środku tej furgonetki. Był to Czajkowski.

- Pomyślałam, że odwiedzę tę młodą damę z mieszkania 1S - oznajmiłam. Dlaczego on słucha muzyki klasycznej? Lubi ją?

Widocznie tak. A ja przez cały ten czas nie miałam o tym zielonego pojęcia. Czego jeszcze o nim nie wiem? - A ty?

- Czekam, aż wróci do domu młody pan Whitehead - odparł Rob miłym tonem. - A wtedy skopię go do nieprzytomności.

- Hannah powiedziała ci, jak on się nazywa? - Zdziwiłam się. Nie sądziłam, że będzie tak wylewna wobec swojego przyrodniego brata, skoro na pewno orientuje się, że Rob nie będzie się kierował najlepiej pojętym interesem Randy'ego.

- Nie - powiedział. - Sprawdziłem w Google, kto jest właścicielem kompleksu apartamentów Fountain Bleu i znalazłem zdjęcie Randy'ego juniora. Miałem zamiar skopać mu tyłek jutro, kiedy już mama Hannah zabierze ją do domu. Ale Chick zaproponował, że jej popilnuje, kiedy mnie nie będzie, więc mogłem zmienić plany.

- Nie zamierzasz pozwolić Hannah zostać? - spytałam. Rob parsknął kpiąco. - Żartujesz sobie? Jestem najwyraźniej ostatnim facetem, który powinien brać się do wychowywania nastoletniej dziewczyny. Nabrała mnie z taką łatwością... No cóż, z jaką ty kiedyś nabierałaś swoich rodziców.

Zdecydowałam się puścić to mimo uszu.

- No więc, jaki mamy plan? - spytałam. - Masz zamiar po prostu czekać, aż on tu podjedzie, a potem zrobić mu kocówkę? - Chodziło mi o tradycyjną rozrywkę wieśniaków z Indiany, po legającej na zarzuceniu koca na głowę ofiary, a potem zbiciu jej kijem do bejsbola lub kostkami mydła wsuniętymi w palce długich skarpet.

- Nie - odparł pogodnie Rob. - Koc pominę. Pomyślałem, że miło będzie popatrzeć na jego pysk, kiedy będę mu go wcierał w cement.

- Słusznie - stwierdziłam. - No cóż, życzę powodzenia. Właśnie widziałam go na posiedzeniu rady dzielnicy, gdzie powiedziałam mu, że się nim interesuję. Więc albo już tu zdążył przyjechać, zabrać swoją drugą dziewczynę i zwiać, albo ma za miar na razie nie zbliżać się do tego miejsca.

Rob był zdruzgotany.

- Nie mówisz poważnie?

- Niestety - potwierdziłam. - Przykro mi. Ale mógłbyś się jeszcze na coś przydać.

Uniósł brew pytająco.

- Doprawdy? Na co?

- Zatrąb klaksonem, jeśli tu się zjawią gliny - powiedziałam i zrobiłam do niego oko.

A potem zawróciłam i poszłam w stronę apartamentowca.

Tak jak się spodziewałam, drzwi furgonetki otworzyły się, a potem znów zatrasnęły. Sekundę później głos Roba rozległ się tuż za moimi plecami.

- Mastriani - odezwał się nieco podejrzliwym tonem. - Co ty kombinujesz?

- Ach! - Wzruszyłam ramionami. - Randy powiedział coś takiego, że postanowiłam przyjechać tu i się rozejrzeć. To wszystko.

- Rozejrzeć się? Co ci chodzi po głowie? - spytał ostro Rob. W kompleksie apartamentów Fountain Bleu było całkiem cicho, To znaczy, pomijając szmer fontanny i

cykanie świerszczy. Nawet basen był wyludniony. Słysząc było poza tym tylko nasze kroki, kiedy szliśmy w stronę mieszkania 1S.

- Tylko to coś, o czym wspomniał Randy. To może nic nie znaczyć. Ale może też być inaczej. Jestem jednak pewna, że nie będziesz chciał brać udziału w tym, co zamierzam, bo w grę wchodzi włamanie z wtargnięciem. A przy twojej kartotece policyjnej...

- Nie mam żadnej kartoteki policyjnej - wyjaśnił Rob. - Miałem kartotekę jako młodociany. Ale została już wyczyszczona.

Nie wiem, dlaczego dodał to ostatnie zdanie. Czy ja jego zdaniem zamierzałam załogować się do jakiegoś rządowego komputera, żeby sprawdzać, co on takiego zrobił dawno temu? Bo faktycznie, próbowałam, ale nic nie znalazłam.

- Świetnie - powiedziałam. - Więc możesz stać na czujce.

- Na czujce i co jeszcze? - spytał Rob. - To też i moja sprawa, Mastriani. Nie wykluczysz mnie z tego. Nie tym razem.

Ukradkiem zerknęłam na jego twarz. Zaciśnął szczękę i ściągnął brwi w wyrazie irytacji. Ja wykluczam jego? Czy to czasem nie jest odwrotnie?

Ale nie zadałam tego pytania na głos. Zamiast tego powie działałam:

- Świetnie. Ale jeśli chcesz wlec się za mną, masz robić to, co ci powiem. W moim planie nie ma miejsca na żadne ręko czyny.

Rob zrobił naprawdę zdziwioną minę.

- Teraz to już naprawdę ze mnie żartujesz.

- Wyobraź sobie, że nie. Już nie korzystam z argumentów siłowych. - Bardzo się starałam nie patrzeć na niego, kiedy szliśmy w stronę drzwi oznaczonych numerem 1S. - Nauczyłam się, że istnieją skuteczniejsze sposoby rozwiązywania problemów niż walenie przeciwnika pięścią w gębę.

- Jestem pod wrażeniem. - Spojrzawszy na niego, zobaczyłam, że wcale nie mówił tego ironicznie. Uśmiechał się tylko lekko. - Pan Goodhart byłby dumny.

Pomyślałam o swoim pedagogu z liceum i o jego wysiłkach, by utrzymać na wodzy mój wybuchowy temperament - i prędkie pięści. Żadna z jego uwag nie podziałała tak skutecznie jak prze konanie się na własne oczy, jakie szkody może przynieść zbyt szybkie działanie i zadawanie pytań po fakcie.

- Tak - powiedziałam, myśląc z sympatią o panu Goodharcie. - Rzeczywiście, byłby dumny.

A potem wyciągnęłam rękę i zastukałam do drzwi mieszkania, które Randy najwyraźniej dzielił z tą ciemnowłosą dziewczyną, którą całował parę godzin temu. Kiedy, ku

mojemu zdziwieniu, nikt nie otworzył, sięgnęłam do klamki. Hej, przecież nigdy nic nie wiadomo.

Ale drzwi były zamknięte.

- To tu znalazłaś Hannah? - spytał Rob.

- Nie. Hannah była w 2T. - Aha. No to co teraz? - zapytał Rob, kiedy sięgnęłam ręką do tylnej kieszeni, szukając portfela.

- Teraz pora na małe włamanko - oświadczyłam. - Spróbuj wyglądać jakby nigdy nic. Hej, masz przy sobie jakąś kartę kredytową?

- Którą mogłabyś zniszczyć, próbując otworzyć te drzwi? Nie.

- Nieważne. - Znalazłam w portfelu kartę, którą mogłam się posłużyć. - Poradzę sobie. - I wsunęłam kartę między ościeżnicę drzwi a klamkę. To sztuczka, która nigdy by się nie powiodła w naszym mieszkaniu w Nowym Jorku, gdzie mamy zamek z rygłem.

Ale komu potrzebny jest rygiel w takim sennym miasteczku jak nasze?

No chyba że jest się Randym Whiteheadem i ma się na sumieniu takie sprawki, o jakie właśnie go podejrzewałam.

- Hej - powiedział Rob, kiedy zobaczył, jakiej karty używam, usiłując otworzyć zamek. - A nie będziesz tego potrzebowała jesienią?

Zerknęłam na swoje własne zdjęcie patrzące na mnie z legitymacji studenckiej z Juilliard. Tego dnia, kiedy robiłam to zdjęcie, miałam wrażenie, że zaczynam zupełnie nowy etap życia, w szkole, do której zawsze chciałam chodzić, gdzie mogłam jak dzień długi robić to, co kochałam najbardziej. Powinnam na nim wyglądać, jakbym to wszystko czuła.

Zamiast tego miałam spiętą i rozszłoszczoną minę. Tego dnia, jadąc do fotografa zgubiłam się w metrze, byłam zmęczona i zgrzana, i zupełnie bez powodu jakiś bezdomny opluł mnie na ulicy.

Tak, jasne, uwielbiam Nowy Jork.

- Zawsze mogę wyrobić sobie nową - stwierdziłam, wzruszając ramionami i nie wspominając o czterdziestodolarowej opłacie za zgubioną legitymację studencką. Ani o tym, że na myśl o powrocie jesienią na uczelnię chciało mi się rzygać.

W chwili, kiedy już prawie całe zdjęcie starło mi się z karty, drzwi uchyliły się odrobinę.

Przyłożyłam palec do ust i spojrzałam znacząco na Roba. A potem otworzyłam drzwi szeroko i zawołałam w stronę wnętrza mieszkania:

- Randy?! Jesteś tam?! Ale wszystkie światła były zgaszone, więc wiedziałam, że nikogo nie ma.

Sięgnęłam za framugę i zapaliłam światła. Mieszkanie wyglądało podobnie jak tamto piętro wyżej, gdzie znalazłam Hannah, włącznie z takim samym ohydny zestawem wypoczynkowym.

Dałam Robowi znać, że ma za mną wejść do środka, a potem zatrzęsnęłam za nami drzwi.

- A więc - powiedział, rozglądając się po nijakim, i prawdę mówiąc, przygnębiającym, salonie. - Co teraz? Czekamy i rzucamy się na niego, kiedy wróci do domu?

- Nie. Mówiłam ci, że już takich rzeczy nie robię. I jeśli chcesz zostać tu ze mną, weź to pod uwagę. Są lepsze sposoby, żeby zmusić kogoś, żeby pożałował tego, co zrobił, niż bicie go.

- Naprawdę? - Rob pochylił się, wziął do ręki pismo, które ktoś zostawił na szklanym blacie stolika do kawy stojącego naprzeciwko telewizora z płaskim ekranem. „Teen People”.

- Chętnie o tym posłucham.

- Patrz i ucz się, przyjacielu - oświadczyłam, kierując się do sypialni. - Patrz i ucz się.

Sypialnia była a równie przygnębiająca jak salon. Nie dlatego, że była ponura albo źle umeblowana. Wręcz przeciwnie. Ogromne łóżko przykryte gustowną beżową narzutą, ściany ozdobiono ładnie oprawionymi kopiami Moneta. Nad długą, nowoczesnie zaprojektowaną komodą wisiało lustro w drogich, złożonych ramach, a łazienka wyposażona była super.

Problem jednak w tym, że w pokoju nie było żadnych śladów osobowości tego, kto tu mieszkał. Na toalecie leżała szczotka do włosów i wałyły się kosmetyki. W szafie wisiało kilka sukienek i bluzek, których styl wskazywał, że ich właścicielka jest młoda i w miarę atrakcyjna - a przynajmniej przekonana o własnej urodzie, bo wszystkie były dosyć kuse.

Ale nie było żadnych zdjęć, żadnych książek, żadnych płyt - w sumie niczego, co zdradzałoby, kim naprawdę jest ta ciemnowłosa dziewczyna.

- Czego szukamy? - spytał Rob, wysuwając szuflady komody i znajdując w nich tylko dzinsy i - nieco prowokującą - bieliznę.

- Powiem ci, kiedy sama to zobaczę - odpowiedziałam, rozglądając się po pokoju. Pod sufitem był czujnik dymu, dokładnie nad środkiem łóżka.

- Może pojechał do domu do rodziców - powiedział Rob, myśląc o Randym. - Wiesz, mieszkają tu, w mieście. Na tym nowym osiedlu koło centrum handlowego.

- Jakim osiedlu koło centrum handlowego? - zapytałam, zaskoczona.

- Tym, które zbudował Randy Whitehead Senior - wyjaśnił Rob, zdziwiony, że nie wiedziałam. A potem dodał: - No ale racja. To było już po twoim wyjeździe. No cóż, postawił

takie nowe osiedle. Pełno w nim domów z pięcioma czy sześcioma sypialniami, garażami na trzy samochody i basenami w ogrodach.

- McRezydencje - powiedziałam.

- Dokładnie tak. Założę się, że tam właśnie znajdziemy Randy'ego. Przycupnął u mamusi i tatusia. Pewnie mają ochronę, osiedle jest zamknięte.

Uniosłam brwi.

- Zamknięte osiedle? W naszym mieście? Poważnie?

- Hołota do środka się nie dostanie - tłumaczył Rob. - Ani rozwścieczeni starsi bracia, którzy chcą skopać Randy'ego do nieprzytomności.

- Nie szukamy Randy'ego - powiedziałam, wpatrując się we własne odbicie w lustro o złożonych ramach wiszącym nad komodą. Wielkie łóżko znajdowało się dokładnie za mną.

- A czego konkretnie szukamy?

- Powiem ci, kiedy sama to znajdę. Pomóż mi zdjąć to lustro.

Rob spojrzał na lustro, które wcale nie było małe.

- Wykluczone. Na pewno jest przymocowane do ściany.

- Nie jest - powiedziałam i wsunęłam dłonie pod jego ramę. - Unieś je.

Rob stanął przy drugiej krawędzi lustra i wspólnie zdjęliśmy je ze ściany. Nie był o to łatwe - ważyło chyba z tonę. A komoda nam przeszkadzała i utrudniała zachowanie równowagi.

Ale udało nam się wreszcie lustro zdjąć i postawić, opierając je o łóżko.

I wtedy oboje wbiliśmy wzrok w miejsce pośrodku tego kawałka ściany, który zasłaniało lustro. Miejsce, gdzie fragment ściany został usunięty, a ukryta w środku kamera wideo najwyraźniej służyła do filmowania pokoju przez tafłę lustra, które nie było zwykłym lustrem, ale weneckim.

Rob na widok tej kamery zmełł jakieś brzydkie słowo.

- Pamiętasz, jak prosiłeś, żeby ci powiedzieć, czego szuka my? - odezwałam się. - A ja mówiłam, że powiem ci, jak to znajdziemy? No cóż, znaleźliśmy.

Nie no, poważnie, Jess - powiedział Rob. - Skąd wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. Siedzieliśmy na podłodze garderoby w mieszkaniu 1S, do której wchodziło się przez sypialnię. Wokół nas wały się stopy męskich butów. Zdjęliśmy je z półki, na której stała kamera, wycelowana przez dziurę w ścianie w stronę sypialni. Randy najzwyczajniej w świecie schował kamerę za pudełkami adidasów i mokasynów do prowadzenia samochodu JP Tod's.

- Po prostu zgadłam - dodałam. - Coś mu się wymknęło.

Rob spojrzął na kasety wideo, które zdjęliśmy z półki wysoko nad naszymi głowami - trzeba mnie było podnieść, żebym mogła tam sięgnąć. Randy najwyraźniej korzystał z drabinki. Każdą taśmę opatrzono naklejką ze schludnie wypisanym imieniem: Carly, Jasmine, Allison, Rachel, Beth.

Każda kaseeta była w wielu kopiach. Niestety, wyglądało na to, że będziemy musieli je obejrzeć, żeby się przekonać, czy to tylko kopie tej samej kasety, czy różne filmy z tą samą dziewczyną.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Poza tym, że gdyby to były kopie tego samego filmu, to by znaczyło, że nie są przeznaczone wyłącznie do prywatnego użytku, ale do dystrybucji.

Nie byłam pewna, czy Robowi już to przyszło do głowy, a sama nie zamierzałam tego tematu poruszać. Już i tak wyglądał dość blado.

- On je filmuje - powiedział, oszołomiony, z miejsca, gdzie siedział na podłodze garderoby, wyłożonej (oczywiście) beżową wykładziną.

- Niektóre tak. - Ulżyło mi, że nie znalazłam żadnych kaset z napisem Hannah. Miałam tylko nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy, dlaczego - bo kasety z Hannah, jeśli jakieś są, leżą na górze w 2T.

- Nie wydaje ci się, że gdzieś ma też kasety z Hannah? - spytał ostro Rob.

Ups. A więc jednak przyszło mu to do głowy.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków - oświadczyłam. Ale było za późno. Rob już poderwał się na nogi. Cholera.

Szamotałam się z kasetami, usiłując wpakować je z powrotem do pudła, z którego je wyciągnęliśmy.

- Rob. Zaczekaj. Nie rób niczego...

- Czego niby mam nie robić? - spytał Rob, obracając się na pięcie, żeby spiorunować mnie wzrokiem od strony drzwi garderoby. - Mam nie postępować zbyt pochopnie? Ani agresywnie? Przecież to moja siostra!

A potem odwrócił się i zamasztył krokiem wyszedł z pokoju.

Cholera i to jasna. Wrzuciłam wszystkie kasety, które udało mi się zgarnąć, do trzymanego w rękach pudła i ruszyłam za nim chwiejnym krokiem. Nie żartuję, pudło naprawdę mi ciążyło. Było w nim mnóstwo kaset.

- Rob! - zawołałam. - Rob, nie... Za późno. Już wybiegł z mieszkania. Ale wiedziałam, gdzie go znajdzie i pośpieszyłam za nim, dźwigając pudło kaset.

- Rob - powiedziałam, wychodząc na ciepłe wieczorne po wietrze i idąc za nim po zewnętrznych cementowych schodach na pierwsze piętro kompleksu. - Nie chcesz tego robić.

- Jesteś pewna? - spytał, mijając szybkim krokiem 2S i za trzymując się przy drzwiach 2T. - Owszem, chcę.

- No cóż, przynajmniej pozwól mi... Niestety, nie zdążyłam. Zanim wyjęłam swoją legitymację studencką, jednym potężnym wykopem z obcasa motocyklowe go buta wyważył drzwi.

- No cóż - stwierdziłam, stawiając na ziemi pudło kaset i wchodząc za nim do środka. - To był o subtelne. Na pewno nikt nie zauważył.

Mieszkanie 2T wyglądało tak samo jak kilka godzin wcześniej, kiedy stamtąd wychodziłam. A rozkład miało ten sam, co mieszkanie poniżej. Kamera stała w garderobie za sypialnią, ukryta za lustrem. Tylko imiona na kasetach były inne. Niestety, na kilku z nich widniało imię Hannah.

- No to po sprawie - oświadczył Rob. - Facet już nie żyje.

- Nic podobnego - powiedziałam cierpko, wyjmując mu kasety z rąk i odkładając je z powrotem do pudła, z którego je wyjął. - Rob, nic mu nie zrobisz. Mówię serio. Policja się tym zajmie.

Rob oddychał z niejakim trudem. Wydawało się, że próbuje coś w sobie zdusić i nijak mu się nie udaje.

- Właśnie to masz zamiar zrobić z tym wszystkim? - spytał, ruchem brody wskazując trzymane przeze mnie pudło. - Przekazać je policji?

- W końcu, owszem. Ale najpierw zamierzam je obejrzeć. Rob spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Masz zamiar...?. - - Muszę - wyjaśniłam szybko. - Ktoś powinien sprawdzić, co się stało z pozostałymi dziewczynami, nie sądzisz?

Rob zmienił się na twarzy. - Myślisz, że on...? Znów mu przerwałam.

- Nie wiem. Ale zamierzam się dowiedzieć. A potem... No cóż, planuję wykorzystać kasety jako argument.

- Argument? - Tym razem to Rob ruszył za mną, kiedy opuszczałam 2T, postawiwszy pudło, które trzymałam w rękach, na pudle wyniesionym z 1S. - Jaki argument?

- Nie jestem jeszcze pewna - powiedziałam, prostując się. - Ale wiem jedno, tu chodzi o znacznie więcej niż tylko o to, że jakiś jeden facet pomieszkuje sobie z paroma dziewczynami na zmianę. Wygląda to tak, jakby Randy prowadził na boku mały interes, a nie tylko o jego seksualne upodobanie do uciekających z domu nastolatek. Rozumiesz to, prawda?

Rob nadal oddychał z pewnym trudem. W wieczornej ciszy tylko ten jeden odgłos słyszałam, pomijając świerszcze i czasem wybuchy śmiechu z telewizora w czyimś mieszkaniu.

Przyjrzał mi się uważniej w świetle jasnej jak promień lasera ulicznej lampy.

- Jess, co ty chcesz zrobić?

- Nie rozmawiajmy o tym tutaj - zdecydowałam, widząc, że jakaś kobieta wyszła z 2L ze złotym retrieverem na smyczy i spojrzała na nas pytająco, zanim zeszła po schodach. - Chodź. Łap za pudło.

Rob, ku mojemu zdziwieniu, zrobił to, co mu powiedziałam... Tyle że wziął od razu oba pudła i uginając się pod nimi, zszedł po schodach.

- Wyprowadzka? - spytała mnie kobieta miłym głosem, kiedy mijaliśmy ją w drodze na parking.

- Tak - potwierdziłam.

- Jest o wiele przystojniejszy niż twój poprzedni chłopak. - Kobieta mrugnęła do mnie z aprobatą, ruchem głowy wskazując plecy oddalającego się Roba.

- To nie był... - zająknęłam się. Zdałam sobie sprawę, że ona sądzi, iż to ja mieszkałam w 2T z Randym. - On nie jest... - A potem, czerwieniąc się strasznie, powiedziałam tylko: - Dzięki. - I szybko dogoniłam Roba.

- Co ona ci mówiła? - spytał, kierując się w stronę swojej furgonetki.

- Nic - burknęłam. Miałam nadzieję, że w świetle lamp ulicznych nie zauważy, jaka byłam czerwona. - Podjedziesz ze mną do domu i wezmiesz te kasety? Nie dam rady zabrać się z nimi na motorze.

Rob miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale ograniczył się do skinięcia głową i wsiadł do swojej furgonetki, przedtem wrzuciwszy tylko pudła z kasetami na tył.

Poszłam na sąsiednie miejsce parkingowe i uruchomiłam motor, próbując nie myśleć o tym, jak świetnie wyglądał tyłek Roba w tych wy tartych dżinsach, kiedy wsiadał do samochodu - a potem podjechałam do miejsca, gdzie na mnie czekał.

I oboje wyjechaliśmy z kompleksu apartamentów Fountain Bleu w stronę mojego domu na Lumbley Lane.

To była ciepła, letnia noc, typowa dla południowej Indiany. W centrum dzieciaki w wieku licealnym szalały, ile wlezie, jeżdżąc w tę i z powrotem po Main Street samochodami swoich rodziców i zbierały się grupkami pod lodziarnią, która kiedyś nazywała się Czekoladowy Łoś, a teraz Dairy Queen. Kiedy stanęłam na czerwonych światłach - czy w tym miejscu zawsze były światła, czy to też coś nowego? - i spojrzałam na dzieciaki ściskające w dłoniach różki z Peanut Buster Parfait, trudno było nie pomyśleć, że wyglądają bardzo młodo, chociaż przecież wcale nie tak dawno temu sama należałam do jednej z takich grupiek...

Chociaż teraz, po namyśle, przyznam, że wcale nie. To zna czy, nie włączyłam się aż tak często po centrum. W liceum nie miałam zbyt wielu przyjaciół poza Ruth, która i tak zawsze była na diecie. Wiem, jak bardzo moja mama chciała, żebym przypominała te dziewczyny, które obserwowałam teraz, potrząsające długimi włosami i śmiejące się do przystojnych chłopaków, którzy je tu przywieźli.

Ale ja zawsze obcinałam włosy krótko, a jedyne go chłopaka, którym się interesowałam, nie zaaprobowałaby moja mama. - Jess?

Obróciłam głowę. Czy ktoś faktycznie zawołał mnie po imieniu?

- Jess Mastriani? No i znów to samo. Rozejrzałam się i zobaczyłam kobietę stojącą przy krawężniku i trzymającą pod ramię ciemnowłosego faceta w koszulce IZOD i dżinsach.

- O mój Boże, to naprawdę ty! - zawołała ta kobieta, kiedy uniosłam plastikową osłonę kasku, żeby lepiej jej się przyjrzeć. - Jess, nie poznajesz mnie? To ja, Karen Sue Hankey!

Zagapiłam się na nią. To rzeczywiście była Karen Sue Hankey. Tylko że wyglądała zupełnie inaczej niż ostatnim razem, kiedy ją widziałam.

No ale z drugiej strony, trudno się aż tak bardzo dziwić, skoro gdy ostatnim razem ją widziałam, na nosie nadal jeszcze miała opatrunek po tym, jak go jej złamałam.

Ale i tak wyglądała zupełnie inaczej niż w licealnych czasach. Jakoś udało jej się rozprostować włosy i pozbyła się falbanek na rzecz jakiejś eleganckiej kremowej sukienki - tuby.

I najwyraźniej zrobiła sobie operację plastyczną nosa.

- Boże, w głowie mi się nie mieści, że to ty! - entuzjasmowała się Karen Sue. - Scott, popatrz tylko! To Jessica Mastriani. Pamiętasz, mówiłam ci, że chodziłam z nią do liceum? „Dziewczyna od pioruna”! To ta, o której zrobili serial telewizyjny.

Scott - który wyglądał na faceta należącego do korporacji studenckiej (Karen Sue przywiozła go pewnie do domu z tej uczelni z Ligi Bluszczowej, na której studiowała, żeby go przed stawić rodzicom), powiedział, przeciągając samogłoski:

- Och, jasne. Jessica Mastriani. Oczywiście mnóstwo czytałem o tobie i tych niesamowitych rzeczach, które robiłaś dla kraju. Bardzo miło cię poznać.

Ja się tylko gapiłam na nich w milczeniu. Kiedy ostatni raz widziałam Karen Sue - no cóż, to był prawie ostatni raz - przywaliłam jej pięścią w twarz. A teraz ona się zachowuje tak, jak byśmy byli najlepszymi przyjaciółkami?

Takie rzeczy dzieją się właśnie, kiedy człowiek zyska choć odrobinę sławy. Wszyscy - nawet twoi zaprzysiężeni wrogowie - próbują ci się podlizywać.

- Pamiętasz mnie, prawda, Jess? - Karen Sue nie miała za niepokojonej miny. Wydała z siebie jeden z tych swoich denerwujących, dźwięczących śmiezków. - Słyszałam, że straciłaś te swoje moce i tak dalej, ale nikt nie mówił, że straciłaś też pa mić! Posłuchaj, co robisz jutro rano? Chcesz iść na późne śniadanie? A potem mogłybyśmy wybrać się na zakupy. Zadzwoni do mnie. Do końca tygodnia jestem u rodziców. Przyjechałam z Vassar tylko w odwiedziny.

Światło zmieniło się na zielone. Opuściłam osłonę kasku.

- A może sama do ciebie zadzwonię! - wrzasnęła Karen Sue. Teraz już zaczynała się niepokoić. - Mieszkasz u rodziców, prawda? Jessico? Jess?

Dodałam gazu i ruszyłam. Jeśli Karen Sue mówiła coś jeszcze, to zagłuszył to ryk silnika.

Zwolniłam dopiero wtedy, gdy znalazłam się na naszym podjeździe. Wyłączyłam silnik i zdejmowałam kask, kiedy obok mnie zatrzymał się Rob.

- Co to było? - zapytał. - Kim była ta dziewczyna?

- Nikim - mruknęłam. - Kimś, kogo kiedyś znałam. Rob przyjrzał mi się przez otwarte okno od strony kierowcy.

- Kimś, kogo kiedyś znałaś, tak? - powtórzył głosem pozbawionym wyrazu. - Coś mi się zdaje, że jest tu w okolicy wielu ludzi, o których mogłabyś coś podobnego powiedzieć.

- Pewnie tak - przytaknęłam, nie łapiąc się na haczyk... Czymkolwiek ten haczyk był. - Możesz mi dać moje pudła, proszę?

Rob pokręcił głową. Ale wysiadł z furgonetki i podszedł do tylnych drzwi, żeby wydostać pudła z kasetami, które potem ostrożnie postawił na trawniku.

Na Lumbley Lane, która raczej nie jest żadną główną ulicą, było cicho. W domu rodziców Tashy po drugiej stronie ulicy paliło się tylko kilka świateł, w moim też niewiele. Ludzie w południowej Indianie wczesnie się kładą spać - najpóźniej po wiadomościach o jedenastej. Nie tak jak w Nowym Jorku, gdzie czasem imprezy w ogóle nie zaczynają się przed północą albo jakąś drugą czy trzecią rano. W tym mieście o drugiej czy trzeciej rano nie śpią jedynie świerszcze.

- Wprowadzisz mnie w swój plan? - zapytał Rob, przerywając wieczorną ciszę. - Czy nadal zamierzasz mnie od tego wszystkiego odsuwać?

Poczułam, że zaciskam zęby.

- Ja nikogo od niczego nie odsuwam - stwierdziłam.

- Tak, oczywiście. - Rob ni mniej, ni więcej tylko roześmiał się w odpowiedzi.

- Nie robię tego - upierałam się. Jak on może się śmiać? To on nie chciał być ze mną szczerzy w sprawie tej całej Panny - z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy. Nie, żebym jakoś ostatnio poruszała ten temat. Ale mimo wszystko.

- Nie mogę siedzieć i nic nie robić w sprawie tego faceta, Jess - powiedział Rob.

- Wiem o tym. I to nie tak, że nic nie zrobimy. Po prostu nie będziemy go krzywdzić. A w każdym razie nie fizycznie. Posłuchaj. Musisz mi w tej sprawie zaufać.

To wtedy spojrzał na mnie i rzekł, z wyrazem niedowierzania malującym się na twarzy:

- Ach, jasne. Zaufać tak, jak ty ufasz mnie? Zrozumiałam, co zaraz nadejdzie.

I wiedziałam też, że w żaden sposób nie czuję się na to gotowa.

- Muszę iść - burknęłam i zawróciłam na pięcie, chwytając jedno z pudeł i kierując się w stronę werandy domu rodziców.

Ale Rob - dokładnie tak, jak się obawiałam - chwycił mnie za ramię i zatrzymał.

- Jess. Jego głos w tym cichym wieczornym powietrzu zabrzmiał łagodnie. Chociaż uchwyt, z którego usiłowałam wyrwać rękę, wcale łagodny nie był.

- Ja naprawdę nie chcę o tym w tej chwili rozmawiać - wycedziłam przez zaciśnięte zęby, nie odrywając wzroku od drzwi wejściowych do domu rodziców. Za nic nie spojrzalabym mu w oczy. Za nic. Rozkleiłabym się, gdybym to zrobiła. Zamieniłabym się w kałużę łez na samym środku trawnika.

- Kiedyś będziemy musieli o tym porozmawiać - powiedział Rob tym samym, łagodnym tonem. Ale jego chwyt nie zelżał ani na jotę. - I nie pozwolę ci wyjechać, dopóki nie porozmawiamy. Nie tym razem.

- Musisz mnie puścić - syknęłam, nadal nie odrywając spojrzenia od frontowych drzwi. Matka pomalowała je na niebiesko. Kiedy ona to zrobiła? Przedtem były czerwone. - Rano gazeciarz zadzwoni na policję, kiedy tu przyjedzie i tak nas zastanie.

- Nie twierdzę, że musimy porozmawiać dzisiaj. - Rob rozluźnił przytrzymujący mnie chwyt. Wyszarpnęłam rękę, obróciłam się i spiorunowałam go wzrokiem. Wiedziałam, że mogę na niego bezpiecznie patrzeć, o ile tylko mnie nie dotykał. - Ale będziemy musieli o tym porozmawiać jeszcze przed twoim powrotem do Nowego Jorku - ciągnął Rob. Jego twarz, oświetlona promieniami księżycy, który właśnie zaczynał wschodzić, była tak poważna, jak jeszcze nigdy przedtem. - Wiem, że tego nie chcesz, ale ja chcę. Wydaje mi się, że oboje nie dojdziemy do ładu ze sobą, jeśli tego nie zrobimy.

Musiałam się na to roześmiać.

- Och! - zdziwiłam się. - To ty nie doszedłeś do ładu ze sobą?

Zmarszczył brwi.

- Nie. Skąd ci przyszło do głowy, że jest inaczej?

- Kurczę, no sama nie wiem - zakpiłam. - Może dlatego, że cię zobaczyłam całującego się z tą blondynką?

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

- Jess. Mówiłem ci. Tamto... - Jessica! Tu jesteś! Głos mojej mamy poniósł się nad trawnikiem.

Obróciłam się i zobaczyłam mamę na frontowej werandzie, patrzącą w naszą stronę.

- Nie zaprosisz swojego kolegi do środka? - zapytała mama.

A potem zapaliła światło na werandzie i zobaczyła, kim jest ten mój „kolega”.

- Och - powiedziała, zaskoczona. - Witaj, Robercie.

Rob miał taką minę, jakby zjadł coś niesmacznego. Ale ode zwał się w miarę sympatycznym głosem:

- Dobry wieczór, pani Mastriani.

- No cóż - mruknęła mama. - Przepraszam. Nie miałam pojęcia... Nie chciałam przeszkodzić...

- Nie ma sprawy - podsumowałam, schylając się, żeby pod nieść pudła. Uniosłam je oba bez trudu. Byłam tak wytrącona z równowagi, że nawet nie czułam ich ciężaru. - W niczym nie przeszkodziłaś. Mówiliśmy sobie tylko dobranoc.

- Właśnie. - Idąc pośpiesznie przez trawnik, usłyszałam za sobą Roba. - Tylko sobie mówiliśmy dobranoc.

- Zadzwoń do mnie rano, Rob - zaproponowałam, wchodząc po schodkach na werandę. - I wtedy porozmawiamy, co zrobić z tym wszystkim.

- Dobra - rzucił Rob w stronę moich pleców. - To dobranoc. - Dobranoc, Robercie - zawołała do niego moja mama.

A potem do mnie, kiedy szłam przez werandę, dodała: - Co ty tam masz, Jessico?

- Zwykle kasety wideo - wyjaśniłam, mijając ją i wchodząc do domu z nadzieją, że uda mi się uciec przed nią i ukryć rumieniec... I to, jak wali mi serce.

Na szczęście mama chyba nie zauważyła, jak bardzo jestem zmieszana. Nie zainteresowała się też zawartością niesionych przeze mnie pudeł. Bardziej interesowała się tym, co się dzieje między Robem a mną.

- Kasety wideo? - powtórzyła, zamykając za nami drzwi frontowe. Usłyszałam, że przed domem Rob uruchamia silnik samochodu. - Rozumiem. No cóż, nie wiedziałam, że ty i Rob Wilkins znów utrzymujecie kontakty.

- Nie utrzymujemy. To znaczy, niezupełnie. My tylko... Pracujemy razem przy pewnym projekcie, to wszystko. Chodzi o coś związanego z jego siostrą. - Ruszyłam w stronę schodów do piwnicy, tata urządził tam sobie kącik, gdzie mógł oglądać programy sportowe, tak żeby mu nikt nie przeszkadzał.

- Nie wiedziałam, że Rob ma siostrę - stwierdziła mama.

- Tak. No cóż, Rob też nie wiedział.

- Aha. - Mama zawsze umiała wyrazić więcej za pomocą pojedynczego słowa niż jakakolwiek inna znana mi osoba. Wiedziałam, że w tym „aha” kryło się mnóstwo treści - głównie to, że wcale nie jest zdziwiona, że ktoś taki jak Rob ma nieślubne rodzeństwo. - A co z tą dziewczyną? - spytała. - Tą, z którą się kiedyś całował, a ty go na tym przyłapałaś?

Jeszcze bardziej niż zwykle żałowałam, że nie utrzymałam języka za zębami w sprawie Panny - Z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy. A przynajmniej wobec moich rodziców.

- Czy to była jego siostra?

- Boże, mam o. Nie!

- Aha - powiedziała mama. - Co zatem? Masz zamiar tak po prostu mu to wybaczyć? Ty byłaś poza krajem, ryzykowałaś życie, byłaś na wojnie, a on...

- Mamo - jęknęłam. - Daj spokój, dobrze?

- No cóż, ja tylko mówię - ciągnęła mama - że co się zdarzyło raz, zdarzy się po raz drugi. To właśnie problem z takimi chłopakami.

Zatrzymałam się w drzwiach piwnicy i obejrzałam przez ramię.

- Jakimi chłopakami, mamo? - spytałam bardzo spokojnie.

- No cóż, sama wiesz. Chłopakami, którzy dorastając, nie mieli takich samych możliwości jak ty.

- To znaczy, wieśniakami - wypaliłam, nie mogąc się nadziwić, że udaje mi się wcale nie podnieść głosu.

- Wcale nie to mam na myśli. - Mama zrobiła urażoną minę.

- Jestem pewna, że Rob to bardzo miły, sympatyczny człowiek, pomijając jego skłonności do całowania się z innymi dziewczynami, kiedy ty tego nie widzisz. Ale doskonale wiesz, że on nigdy z tego miasta nie wyjedzie.

- Czy to coś złego, mieszkać w tym mieście? Ty i tata tu mieszkacie. Douglas tu mieszka. Jeśli to miasto jest wystarczająco dobre dla ciebie, czemu nie miałyby być wystarczająco dobre dla mnie? To znaczy dla Roba?

- Jak w ogóle możesz o to pytać? - odezwała się mama z - jestem tego pewna - szczerym zdumieniem. - Jessico, masz tak ogromny potencjał. Dlaczego miałabyś chcieć zmarnować to wszystko, mieszkając w tym zapomnianym miasteczku, kiedy mogłabyś robić prawdziwą karierę: podróżować, poznawać nowych, interesujących ludzi, naprawdę wpłynąć na losy świata?

- Wiesz co, mamó? Tak naprawdę wszystko to już zrobiłam. I zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło.

Spojrzała na mnie kwaśno.

- Wiesz, o co mi chodzi, Jessico. Masz mnóstwo propozycji publicznych wystąpień dzięki swoim dawnym zdolnościom i wszystkim dobrym rzeczom, które za ich pomocą zrobiłaś. Przecież ja dostaję listy od organizacji, które proszą, żebyś dla nich wygłosiła mowę, z miejsc tak odległych jak Japonia! Są gotowi opłacić koszty podróży i jeszcze oferują dwadzieścia tysięcy dolarów jako wynagrodzenie za wystąpienie. Czeka cię bardzo intratna kariera...

Spojrzałam jej prosto w oczy - co nie było takie łatwe, bo już ruszyłam po schodach do piwnicy, a ona stała nade mną. Jest zresztą ode mnie wyższa, nawet kiedy stoimy na jednym poziomie.

- To taką przyszłość widzisz dla mnie - powiedziałam. - Podróżowanie po całym świecie i opowiadanie ludziom o zdolnościach, których już nie mam, i o dobrych uczynkach, które zrobiłam kiedyś. A co z robieniem dobrych uczynków teraz? Bez pomocy moich parapsychoicznych zdolności? Bo są takie rzeczy, które mogę robić teraz, mamó, a które nie są związane z żadną percepcją pozazmysłową.

- No cóż, oczywiście, kochanie - oświadczyła mama. - Wszyscy twoi profesorowie mówią, że bez trudu dostałabyś się do jakiejś orkiestry o światowym poziomie, jeśli się tylko przyłożysz. Mogłabyś jeździć po świecie i grać w tak ciekawych miejscach jak Sydney w Australii. A ponieważ Skip pewnie do stanie pracę w jakimś banku inwestycyjnym w Nowym Jorku, mogłabyś postarać się o miejsce w filharmonii, no przecież to by było idealne rozwiązanie! We dwoje moglibyście znaleźć sobie ładne mieszkanie i przyjeżdżalibyście do nas na wakacje... I, kto wie? Może nawet pobralibyście się i założyli rodzinę!

Patrzyłam na nią w milczeniu. Co miałam powiedzieć? Nie mogłam przyznać, że na samą myśl o pracy w światowej klasie orkiestry chciało mi się z krzykiem rzucić do ucieczki. Nie mogłam przyznać, że mam do tego stopnia powyżej uszu podróży, że wszystkie te prośby o publiczne wystąpienie, które do mnie przesyłała, zwijałam w kulkę i wrzucałam do kosza. Nie mogłam przyznać, że na samą myśl o małżeństwie ze Skipem dostaję permanentnych mdłości i.

Bo gdybym powiedziała jej coś takiego, ona na pewno odparłaby: „No cóż, więc w takim razie czego ty sama dla siebie chcesz?”

A gdybym jej to powiedziała, to ona padłaby ofiarą permanentnych mdłości.

Więc mruknęłam tylko:

- Posłuchaj, mam coś do zrobienia. I zesłam po schodach do piwnicy.

- Dobrze - powiedziała mama w stronę moich oddalających się pleców. - Nie siedź za długo! Ta przemiła Karen Sue Hankey dzwoniła parę minut temu. Rano chce cię zabrać na późne śniadanie. Bardzo się cieszę, że się pogodziłyście. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie lubiłaś Karen Sue. To taka miła dziewczyna.

Świetnie. Przewróciłam oczami. Nadal miałam je w górze, kiedy weszłam do piwnicy i znalazłam tatę siedzącego przed telewizorem, w którym wyłączył głos, najwyraźniej po to, żeby podsłuchać moją rozmowę z mamą.

- Osobiście zawsze uważałem, że ta cała Karen Sue jest dość głupia - odezwał się do mnie. - Ale może z wiekiem jej przeszło.

- Nie przeszło - zapewniłam go i postawiłam na ziemi swoje pudła, a Chigger, który spał na kanapie obok ojca (na co mama nigdy mu nie pozwalała), zerwał się, żeby mnie polizać, a potem znów się ułożył do snu.

- Co tam masz? - spytał tata z ciekawością.

- Amatorskie pornosy - odpowiedziałam. Tata uniósł brwi.

- Interesujące. Zakładam, że przyniosłaś je tu do obejrzenia.

- Chcę tylko sprawdzić, czy były robione na prywatny użytek, czy w celu dystrybucji.

- Jest jakaś różnica?

- No cóż, na to pierwsze zezwala Pierwsza Poprawka do Konstytucji. Drugie jest przestępstwem, jeśli dziewczyna jest nieletnia i nie wie, że był a filmowana.

- Jeśli jest nieletnia, to chyba i jedno, i drugie jest nielegalne - stwierdził tata. Wziął do ręki pilota i wyłączył kablówkę. - Rozgość się. Pewnie byłoby to szalenie niewłaściwe, gdybym został i dotrzymał ci towarzystwa?

- Ależ skąd - mruknęłam, wkładając pierwszą kasetę, oznaczoną imieniem Tiffany. - Bo mam zamiar tylko sprawdzić początki, żeby zobaczyć, czy to jest wszystko to samo, czy różne nagrania.

- No to cóż. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę. Ostatnio niewiele mamy okazji sensownie porozmawiać...

Patrzyłam, jak jakaś ubrana tylko w stanik i majteczki młoda dziewczyna - zakładam, że to była Tiffany - rzuca się na łóżko, które rozpoznałam jako mebel stojący w mieszkaniu 1S.

- ...choć nie jestem pewien, czy właśnie coś takiego zaleca doktor Phil, kiedy radzi ojcom poświęcić więcej czasu na nawiązywanie kontaktu z córkami - ciągnął tata.

Facet - niewątpliwie Randy Whitehead - ukazał się na ekranie, ubrany w obcisłe bokserki. Zanim zdążyło się zacząć cokolwiek nieprzyzwoitego, wyjęłam kasetę z odtwarzacza, a na jej miejsce wsunęłam kolejną z napisem „Tiffany”.

- Czy mogę wiedzieć, skąd wzięłaś te arcydzieła nowoczesnego kina? - spytał tata. - I kim może być ten młody człowiek? Wygląda znajomo.

- Powinien - powiedziałam, naciskając klawisz „play”. - To Randy Whitehead Junior.

- Syn zamożnego developera, Randalla Whiteheada seniora - dodał tata, kiedy Tiffany znów się rzucała na łóżko w apartamencie 1S. - Randy handluje teraz amatorską pornografią. Oj cieć musi być z niego szalenie dumny.

- Nie jestem pewna, czyjego ojciec wie - zauważyłam, wyjmując kasetę. Była na pewno kopiatej pierwszej.

- A czemu mam wrażenie, że niedługo się o tym dowie?

- Bo właśnie tak wychowałeś swoją córkę - stwierdziłam i włączyłam kasetę z napisem „Kristin”.

- Uważaj, Jess. Randy Whitehead senior to tutaj ostatnio bardzo wpływowa osoba. Ma podobno jakieś kontakty w Chicago.

- Zakładam, że mówiąc o kontaktach - patrzyłam jak na ekranie pojawia się ciemnowłosa dziewczyna, którą pocałował Randy w drzwiach mieszkania 1S - masz na myśli mafię.

- Prawidłowo zakładasz.

- Nie martw się - uspokoiłam go, wyjmując kasetę i wkładając kolejną oznaczoną „Kristin”. Zastanawiałam się, gdzie teraz jest ta Kristin. Zaszła się z Randym w domu jego rodziców?

Ciężko mu będzie wyjaśnić, skąd znajomość z dziewczyną aż tyle od niego młodszą. - Mam wsparcie.

Tata nie zmienił wyrazu twarzy i odezwał się zupełnie neutralnym tonem:

- Tak słyszałem. Zdaje się, że twoja matka mówiła coś przed chwilą na temat Roba Wilkinsa.

: - Owszem - potwierdziłam. Druga taśma z napisem „Kristin” była taka sama jak pierwsza. Znów nacisnęłam klawisz „eject”. - Dlatego wróciłam. Jego siostra - bo okazuje się, że ma przyrodnią siostrę - uciekła z domu, a on poprosił mnie, żebym mu pomogła ją znaleźć.

Nie wiem czemu tak swobodnie opowiadałam o tym wszystkim tacie, ale nie mamie. Może dlatego, że tata zawsze lubił Roba, a mama... nie bardzo.

- I znalazłaś? - spytał tata tym ostrożnym, neutralnym tonem.

Włożyłam nową taśmę. Odpowiedziałam, nie odrywając oczu od ekranu:

- Tak.

- A więc to wróciło. Nie musiałam pytać, o czym mówi. Wiedziałam, o co mu chodzi.

- Tak - powiedziałam, nadal patrząc na ekran telewizora, na którym jakaś ruda dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż czternaście czy piętnaście lat, podskakiwała na łóżku, tym z 2T.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - spytał tata.

- Jeszcze nie wiem. - Wyjęłam kasetę, jak tylko na ekranie pojawił się Randy.

- Czy te taśmy mają coś wspólnego z siostrą Roba? Zawahałam się, z dłonią nad kasetą z naklejką „Hannah”.

Zamiast tego wzięłam następną z imieniem tej rudej.

- Tak - potwierdziłam. Nie wydawało mi się, że zwierając się z tego tacie, zdradzam zaufanie Roba. No bo tata to tata.

- Kiepska sprawa - rzucił. - To go zaboli.

- Nie jest specjalnie uszczęśliwiony - przyznałam.

- Dość wkurzony, żeby zrobić Randy'emu coś złego? - spytał tata.

- O ile go nie powstrzymam - odpowiedziałam.

- Jeśli cokolwiek zdarzy się Randy'emu - kontynuował tata, - a jego ojciec poprosi swoich przyjaciół z Chicago o przysługę, Rob może mieć poważne kłopoty.

- Wiem - przyznałam, chociaż nie martwiło mnie to, że Rob może skończyć w betonowych bucikach, raczej już, że trafi do więziennej celi. - Opracowuję plan, który zadowoli wszystkie zainteresowane strony.

- Hm - mruknął tata. - To ładna zmiana nastawienia. Zwykle, kiedy kroila się jakaś bójka, pierwsza rwałaś się z pięściami.

- No cóż. Już się nawalczyłam.

- Dobrze wiedzieć - rzekł tata. A potem, tonem już nie neutralnym, ale pełnym ojcowskiej troski, dodał: - Jess, słyszałem tam na górze ciebie i twoją matkę. Nie bierz sobie do serca jej gadaniny. Dobrze wiesz, że będziemy cię wspierać, i ona, i ja, - cokolwiek postanowisz robić.

Nagle oczy wypełniły mi się łzami, a obraz na ekranie telewizora się rozmazał.

- Nie chcę zostać flecistką koncertową, tato - usłyszałam własny głos.

- Wiem. - Tylko tyle powiedział tata. - I nie chcę jeździć z wykładami i opowiadać o swoich mocach parapsychicznych - dodałam, nie odrywając wzroku od za mazanego ekranu.

- Wiem. - I nie chcę wychodzić za Skipa.

- Sam też nie chciałbym za niego wyjść. Ale co ty właściwie chcesz robić? - spytał tata.

- Chcę... - Pociągnęłam nosem. Nic nie mogłam na to po radzić. - Nie wiem, czego chcę. Ale nie chcę wracać do doktora Krantza. Nie mogę.

- Nikt cię o to nie prosi. A jeśli poproszą, to moim zdaniem powinnaś odmówić.

- Ale jak mam odmówić, tato? - spytałam, wreszcie na nie go patrząc. Chociaż prawie go przez te łzy nie widziałam. - Douglas miał rację. Ludzie mnie potrzebują.

- Owszem. - Tata pokiwał głową. - Ale nie jestem pewien, czy potrzebują cię w taki sposób, o jakim mówisz. Wiesz, są inne sposoby robienia czegoś dobrego niż to, co robiłaś. A moim zdaniem i tak zrobiłaś znacznie więcej, niż należało. Może już czas spróbować czegoś nowego.

- Ale czego, tato? - spytałam łamiącym się głosem.

- Czegoś, co by ci na odmianę sprawiało przyjemność. Czegoś, co by cię uszczęśliwiło. Masz jakiś pomysł, co by to mogło być?

Usiłowałam przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni czułam się szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. W sumie to okropne, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Jedyne, co mi przychodziło na myśl, to twarze tych dzieciaków na zajęciach prowadzonych przez Ruth - spojrzenia, jakie mi rzucały, kiedy podawałam im flet z darów od jakiejś firmy i mówiłam, że mogę je nauczyć na tym grać.

- No cóż - powiedziała powoli. - Chyba mam jeden pomysł.

- Dobrze - ucieszył się tata. - To teraz wymyśl jakiś sposób, żeby móc się tym zajmować przez cały czas. Właśnie o to chodzi w życiu, wiesz. Odkryć, co się lubi robić najbardziej, a potem robić to jak najczęściej. - Zerknął na ekran telewizora. - To zna czy, jeśli prawo zezwala.

Ręką starłam z oczu łzy. Nie wiem czemu, bo przecież nie byłam ani odrobinę bliżej odkrycia, co chcę zrobić ze swoim życiem, ale poczułam się nieco lepiej.

- Dzięki, tato. To... to mi pomaga.

- Dobrze - powiedział tata. A potem wstał. - No cóż, nie wiem, jak ty, ale ja mam dość. Idę do łóżka. Zostawię cię samą, jeśli się nie pogniewasz.

- W porządku. Dobranoc.

- Dobranoc. Aha, jeszcze jedno, Jessico. Ten Randall senior. Nie wiem, czy to coś pomoże, ale a nuż ci się przyda.

A potem mi coś opowiedział. Coś, od czego szczęka mi opadła.

Na koniec dodał:

- Wyłącz światło, kiedy już tu skończysz. Wiesz, jak twoja mama nie lubi marnowania prądu.

I poszedł na górę do łóżka.

Kiedy następnego dnia rano zesłam na dół, znalazłam ojca - Chigger, jak zwykle, tkwił u jego boku - przy oknie w salonie. Tata chował się za zasłoną w taki sposób, że widać było wyraźnie, że nie chce zostać zobaczony przez tego, kogo obserwował.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - Nieoznaczony cztero drzwiowy sedan z przyciemnionymi szybami?

Obrócił się w moją stronę z zaskoczoną miną.

- Skąd wiedziałaś?

- Niewiarygodne - mruknęłam, chociaż to nie była odpowiedź na jego pytanie. Poszłam do kuchni, gdzie mama smażyła jajecznicę z białek jajek. Tacie nie wolno jeść żółtek ze względu na wysoki poziom cholesterolu.

- Dzień dobry, kochanie - przywitała mnie mama. - Dobrze spałaś?

Dopóki nie zapytała, nawet o tym nie pomyślałam. Ale ze zdziwieniem odparłam:

- Tak, rzeczywiście dobrze spałam. I nie dlatego, że nie śniłam. Bo snów miałam masę. Przez te sny cały ranek spędziłam, wydzwaniając z komórki.

- Nic dla ciebie nie robiłam, bo wiem, że idziesz na śniada nie z tą przemiłą Karen Sue Hankey.

- Nie, nie idę - oświadczyłam, otwierając lodówkę i zaglądając do środka. Dziwnie się czułam w domu, kiedy nie było tu żadnego z moich braci. Na przykład karton z sokiem pomarańczowym był nadal pełny. Gdyby Douglas albo Mike byli w do mu, na pewno odstawiliby do lodówki pusty.

- Och, kochanie. Musisz z nią iść. Po wiedziałam jej, że pójdziesz.

- No cóż, nie powinnaś umawiać mnie na towarzyskie spotkania, nie uzgadniając tego najpierw ze mną - stwierdziłam, otwierając karton i pijąc prosto z niego.

- Och, Jessica, weź sobie szklankę - powiedziała mama z niesmakiem. - Nie jesteś już w wojskowej bazie.

Jakbym nie wiedziała. Jedyna zaleta ze stacjonowania w bazie wojskowej za granicą (jeśli ono w ogóle może mieć jakieś zalety): nie było tam nikogo, kto by mógł cię umawiać na spotkania z Karen Sue Hankey bez twojego pozwolenia.

- Powiedz Karen Sue Hankey, że mi przykro. - Odstawiłam karton z powrotem do lodówki. - Ale mam parę spraw do załatwienia.

- Jakich spraw? - spytała mama. Tata zawołał z salonu:

- Jess, Rob właśnie podjechał pod dom.

- Takich - rzuciłam w stronę mamy. I ruszyłam do drzwi wyjściowych.

- Kotku! - Mama poszła za mną, zapominając o białkach jajek, które skwierczały na patelni. – Myślałam, że już to sobie wyjaśniłyśmy. Ten chłopak nie jest odpowiedni dla ciebie.

- Pa, mamó. - Szarpnęłam za zatrzask, otwierając drzwi. Rob był pod domem w swojej czarnej furgonetce. Pomachał do nas ręką.

- Dzień dobry, pani Mastriani! - zawołał.

- Dzień dobry, Robercie! - odkrzyknęła mama nieco słabym głosem. A do mnie powiedziała ciszej: - Jessica, wiesz równie dobrze jak ja, jeśli oszukał raz, zrobi to po raz drugi.

- Toni - odezwał się tata z fotela, w którym siedział sobie w salo nie. - Pozwól dzieciakom samym rozwiązywać własne problemy.

- Och, jasne. - Mama obejrzała się, piorunując wzrokiem ojca. - Mam po prostu stać z boku i pozwalać jej robić, co chce, a potem być tu pod ręką, żeby ją pocieszać, kiedy już dojdzie do jakiejś katastrofy.

- Dokładnie tak - rzekł tata i otworzył gazetę.

- Joe! - zawołała mama z irytacją.

- Cześć - powiedziałam do nich obojga i szybko zeszłam po schodkach werandy, a potem ruszyłam trawnikiem w stronę czterodrzwiowego samochodu z przyciemnionymi szybami.

Pomachałam Robowi, żeby mu dać znać, że za chwilę przyjdę, i zastukałam w okno sedana po stronie kierowcy. Kiedy ani drgnęło, odezwałam się:

- Dajcie spokój. Wszyscy wiemy, że tam siedzicie. Szyba w oknie powoli się opuściła. Okazało się, że patrzę na dwóch dżentelmenów ubranych w garnitury mimo gorącego poranka i zapowiadającego się jeszcze upalniejszego dnia.

- Cześć - przywitałam ich. - Panowie z FBI czy od pana Whiteheada?

Faceci wymienili spojrzenia. A potem kierowca odpowie dział z wyraźnym akcentem z Chicago:

- Od pana Whiteheada. Nie jest z pani zbyt zadowolony. Twierdzi, że włamała się pani wczoraj wieczorem do mieszkania jego syna i zabrała stamtąd jakieś rzeczy należące do niego. Pan Whitehead chciałby je odzyskać.

- No cóż, tak się akurat składa, że mój przyjaciel i ja właśnie się wybieramy do biura pana Whiteheada. Więc mogą panowie za nami jechać. Mogą nawet panowie, jeśli macie taką

ochotę, zadzwonić do niego i dać mu znać, że jesteśmy w drodze. Aha, i proszę mu powiedzieć, że Randy junior też ma tam być. I że ma ze sobą wziąć Kristin.

Kierowca i jego kolega wymienili spojrzenia. Powiedziałam zachęcająco:

- Ależ proszę. Zadzwoncie do niego. Jeśli chce odzyskać rzeczy należące do syna, będzie musiał spotkać się ze mną. Albo to, albo idę z nimi na policję.

Kierowca zawahał się, a potem sięgnął do kieszeni na piersi. Przez chwilę wydawało mi się, że wyciągnie broń i pomyślałam sobie, jak dziwnie byłoby zginąć w taki słoneczny poranek, na własnej ulicy, na oczach moich rodziców i mojego byłego, a za razem niedoszłego chłopaka.

Ale okazało się, że tylko sięgnął po komórkę.

- To do zobaczenia o dziesiątej - powiedziałam do facetów w samochodzie. A potem odwróciłam się i poszłam w stronę furgonetki Roba...

...i dokładnie w tej chwili biały kabriolet rabbit zatrzymał się na naszym podjeździe i Karen Sue Hankey, siedząca za kierownicą, nacisnęła klakson.

- Cześć, Jessico! - zawołała. - Jesteś gotowa? Nie masz chyba nic przeciwko temu, że będziemy tylko we dwie, ale Scott gra w golfa z tatą. Pomyślałam, że to nic nie szkodzi. Zostanie między nami, dziewczynami. Zrobiłam rezerwację w tej miłej wyśmienitej restauracyjce na placu przy sądach. Mają tam cudowne wafle. Chociaż wiesz, nie powinnam jeść rafinowanego cukru. Ale to taka niezwykła okazja. Och, strasznie mi się podoba twoja fryzura. Strzyżesz się w Nowym Jorku? Wskakuj, bardzo proszę.

Zamiast wskakiwać, minęłam ją, a potem zajęłam miejsce dla pasażera w furgonetce Roba.

- Hej - przywitał mnie. A potem zerknął przez okno. - Czy to nie ta sama dziewczyna, co wczoraj wieczorem? Ta, która za trzymała cię na ulicy?

- Jedź już - poprosiłam. Rob posłuchał i ruszył w stronę centrum. Kiedy ją mijaliśmy, usłyszałam Karen Sue, która z rozzłoszczoną miną mówiła:

- No nie, ze wszystkich najbardziej... - A potem zobaczyłam, jak mama podbiega, żeby ją uspokoić. Pewnie zaproponowała jej jajecznicę z białek jajek.

- Jak tam Hannah? - spytałam, zapinając pasy.

- Patrzeć na mnie nie może - oświadczył Rob. - Nie przepada też za Chickiem, który znów jej pilnuje, póki nie przyjedzie po nią matka.

- Przejdzie jej - uznałam. - Mówiłeś jej o kasetach wideo?

- O, tak. Nie wierzy mi. Jej cudowny Randy nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Ona uważa, że ja to sobie wymyśliłem, żeby go oczernić.

- No jasne. - Uśmiechnęłam się. - Nie martw się. Jeszcze się opamięta.

- Szkoda, że zanim to nastąpi, będzie już mieszkała znów ze swoją matką. - Parę sekund później zerknął we wsteczne lusterko. - Kto nam siedzi na ogonie? - spytał. - FBI?

- Mafia - odparłam swobodnie. - Okazuje się, że Randy senior ma znajomości.

- No proszę. Facet wygląda coraz ciekawiej. Moja siostra z pewnością wie, gdzie sobie poszukać chłopaka. Mam ich zgubić?

- Nie, to nasza eskorta - powiedziałam.

- Super - rzucił z jeszcze większą ironią. - A mogę wiedzieć, dokąd się kieruje ta nasza mała procesja?

- Oczywiście - powiedziałam. - Na plac przy sądach. Biura pana Randalla Whiteheada seniora mieszczą się w Fountain Building.

- I to tam jedziemy? - spytał Rob. - Żeby się zobaczyć z Randym seniorem?

- Dokładnie tak. Ale, jak rozumiem, Randy junior też się pojawi.

- Czy to znaczy, że jednak pozwolisz mi stłuc go do nieprzytomności? - spytał Rob z nadzieją.

- Oczywiście, że nie. - Nie spuszczałam oczu z drogi i nie po zwałałam sobie na zerknięcie w stronę dłoni Roba, które wyglądały niesamowicie silnie i sprawnie, kiedy obracały kierownicą. Próbowałam nie myśleć, jakby to było, gdyby te ręce dotknęły mnie.

- Oglądałaś te kasety? - zapytał Rob. Zauważyłam, że on też nie odrywał spojrzenia od drogi.

- Owszem - przytaknęłam. Rob czekał, aż powiem coś więcej. A kiedy tak się nie stało, spytał:

- Czy te kasety z Hannah... To znaczy, czy było więcej niż jedna...?

- Było tylko jedno jej nagranie - wyjaśniłam.

- Dobrze - mruknął Rob.

- Wiele kopii tego samego nagrania - dodałam, chociaż nie bardzo chciałam. Ale musiałam mieć pewność, że on zrozumie.

Rob zaklął pod nosem. A potem z histerycznym chichotem spytał:

- I ty naprawdę uważasz, że ja go nie zabiję, kiedy go zobaczę?

- Nie zabijesz. Bo, po pierwsze, on nie jest wart, żeby iść przez niego do więzienia. A po drugie, tamci faceci? Oni są uzbrojeni.

- No cóż, nie będą się tu kręcić wiecznie. Randy kiedyś będzie musiał wybrać się gdzieś sam, a kiedy to zrobi...

- Rob. - Głos miałam na tyle ostry, że wreszcie zmusiłam go do obrócenia głowy i spojrzenia na mnie. - Nie tkniesz Randy'ego Whiteheada - powiedziałam gniewnie. - Pozwolisz mi załatwić tę sprawę. Po to mnie tu sprowadziłeś z Nowego Jorku i ja się tą sprawą zajmę.

- Akurat - zaprotestował Rob. - Nie po to cię tu z Nowego Jorku przywiozłem. Przywiozłem cię, żebyś znalazła moją siostrę, i ty...

- O, mamy miejsce - poinformowałam go, wskazując palcem. Wiadomo, jak trudno znaleźć miejsce parkingowe w pobliżu placu i właśnie dlatego tak wielu ludzi woli robić zakupy w centrum handlowym, chociaż nie ma tam interesujących, historycznych zabudowań.

- ...moją siostrę już znalazłaś - ciągnął Rob, skręcając furgonetką w wąską przestrzeń między samochodami tak zgrabnie, jakby to był pojazd o połowę mniejszy. - Za co ci jestem bardzo wdzięczny. Ale nie mogę siedzieć beczynnym i pozwalać, żeby temu facetowi uszło na sucho to, co jej zrobił. Nie możesz mnie o to prosić Jess.

- Nie, proszę - powiedziałam, odpinając pasy. - Randy zapłaci za to, co zrobił. Tylko nie własną krwią. A ty nie pójdziesz do więzienia ani nie utopią cię w żadnym jeziorze.

Rob spiorunował mnie wzrokiem. Ale ja się nie ugięłam. Odpowiedziałam mu takim samym gniewnym spojrzeniem. Po paru sekundach Rob odwrócił się i rąbnął bokiem dłoni w kierownicę - tylko raz i najwyraźniej po to, żeby uwolnić się od potrzeby wyżycia się na czymś.

- Już lepiej? - spytałam.

- Nie - rzekł, nadąsany.

- Dobrze. Idziemy - zdecydowałam.

Wyszliśmy z kabiny furgonetki, a potem zaczekaliśmy na zmianę świateł, żeby przejść przez ulicę w stronę Fountain Building, w którym mieścił się także miejscowy bank i studio jogi. Po drodze minęliśmy Underground Comix, sklep, w którym pracuje mój brat. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Zamknięte”. Wie działałam, że nie otwierają przed dziesiątą, a na razie było dopiero wpół.

Zauważyłam, kiedy weszliśmy do budynku, że faceci z sedana już na nas czekali. Najwyraźniej znaleźli miejsce do parkowania gdzieś bliżej.

- Pan Whitehead u siebie? - spytałam ich. Kierowca, który najwyraźniej używał farby Just For Men do pokrywania siwizny, bo żaden człowiek nie ma aż tak czarnych włosów, skinął głową.

- Obaj panowie Whitehead już czekają - zaanonsował.

- Super - ucieszyłam się i poszłam przodem przez hol w stronę biur Whitehead Constructions.

Pulchna recepcjonistka w średnim wieku musiała dostać cynk, że idziemy, bo nie pytała, kim jesteśmy. Zamiast tego powiedziała nerwowo, zrywając się na nogi:

- Pan Whitehead przyjmie państwa od razu. Mogę coś po dać? Kawę? Wodę? Jakiś napój gazowany?

- Ja dziękuję - powiedziałam uprzejmie.

Czy ktoś mi zarzuci, że kiedy byłam za granicą, nie nauczyłam się manier?

- Dla mnie nic - warknął Rob.

- W takim razie - powiedziała recepcjonistka - zapraszam do środka.

Wprowadziła nas do obszernego, słonecznego gabinetu. Jeden jego róg wypełniało wielkie, nowoczesnie zaprojektowane biurko, za którym siedział Randy Whitehead senior. Przed biurkiem ustawiono cztery takie same krzesła, też nowoczesne, z chromowanego metalu i czarnej skóry. Na jednym z tych krzeseł siedział Randy Whitehead junior, na drugim bardzo drobniutka, ale też bardzo modnie ubrana w obcisłe dżinsy i top dziewczyna, którą widziałam w drzwiach mieszkania 1S, a potem na kasecie z napisem „Kristin”.

- Proszę, proszę - odezwał się Randy Whitehead senior, podnosząc się na nogi na mój widok i szeroko szczerząc zęby. - Chcecie mi powiedzieć, że ta drobniutka panienska to osoba, która narobiła tego całego zamieszania?

- Jej przyjaciel nie jest już taki drobniutki - mruknął Randy junior, rzucając nienawistne spojrzenie w stronę Roba, co Rob zupełnie ignorował.

- Witam, panie Whitehead - powiedziałam chłodno, prze chodząc przez gabinet i wyciągnęłam rękę w stronę Randalla Whiteheada seniora. - Nazywam się Jessica Mastriani. Bardzo miło mi pana poznać.

- I panią, i panią - rozpromienił się Randy senior. Potrząsnął energicznie moją ręką, a potem spojrzał pytająco na Roba, który stał tam bez ruchu i sztyletował go wzrokiem. - Nie przedstawi mi pani swojego przyjaciela?

- Pan Whitehead, Rob Wilkins. Pana syn, Randy, jest znajomym młodszej siostry Roba, Hannah.

Spojrzenie w stronę Randy'ego Juniora powiedziało mi, że strzał był celny. Wstał, kiedy weszłam do środka. Teraz młodszy pan Whitehead osunął się na swoje metalowo - skórzane krzesło, spoglądając niepewnie w stronę Roba, który nawet kiedy Randy stał, górował nad nim dobre dziesięć czy dwanaście centymetrów.

- O Boże! - jęknął pod nosem Randy junior. Kristin na widok lękliwej reakcji swojego chłopaka wtrąciła się:

- Kto to jest Hannah? Co się dzieje, Randy? Kto to jest Hannah?

- Wyjaśnię ci później - mruknął Randy junior.

- Ty na pewno jesteś Kristin - odezwałam się do ciemnowłosej dziewczyny i wyciągnęłam do niej rękę. - Jessica Mastriani.

- Och - powiedziała zdziwiona, też wyciągając rękę. - Jesteś znajomą Randy'ego? Opowiadał ci o mnie?

- Niezupełnie - odparłam. - Widziałam twoje wideo.

- Wideo? - Kristin się zdziwiła. - Jakie wideo?

Spojrzałam na Randy'ego seniora i zauważyłam, że jego uśmiech nieco stracił na szerokości.

- Och, to ty nie wiesz, że Randy sfilmował na wideo, jak uprawiacie seks? I rozprowadza tę kasetę po całej południowej Indianie i, o ile się nie mylę, poza granicami stanu również? Co jest, jak sądzę, ciężkim przestępstwem.

Kristin roześmiała się dźwięcznie w nagle cichym gabinecie, którego ściany udekorowano oprawionymi w ramy lotniczymi zdjęciami pól golfowych.

- Randy i ja nigdy nie nakręciliśmy żadnego wideo - powie działa. - O czym ona mówi, Randy?

- No dobra - przerwał Randy senior tym samym dudniącym głosem. - Jak dowiedziałem się od tu obecnego mojego syna, ukradła pani jakąś jego własność, panno Mastriani. I niniejszym potwierdziła pani ten fakt w obecności moich dwóch współpracowników. - Skinął głową w stronę Just For Men i jego kumpla, którzy zajęli pozycje po obu stronach drzwi gabinetu, jakby podejrzewali, że Rob i ja możemy chcieć się rzucić do ucieczki. - Przyznam, że nie byłem do końca świadomy rodzaju prowadzonej przez Randy'ego działalności gospodarczej aż do wczorajszego wieczoru, kiedy wyjaśnił mi sprawę. Rozumiem, że to wszystko ma coś wspólnego z siostrą tego młodego człowieka?

Spojrzał pytająco w stronę Roba.

- Moją nieletnią siostrą - podkreślił Rob głosem tak zimnym, że zdziwiłam się, że Randy senior z miejsca nie zamarzł.

Ale zamiast zamarznąć, starszy pan Whitehead wziął głęboki oddech, a potem znów usiadł w fotelu.

- Rozumiem - powiedział z namysłem. - To rzeczywiście fatalnie. - A potem, zauważając, że Robi ja nadal stoimy, Randy senior dodał: - Gdzie moje maniere? Siadajcie, bardzo proszę.

Rob ani drgnął, ale ja usiadłam, a potem pociągnęłam za połę jego koszuli, aż i on usiadł na krześle stojącym obok mojego. Kristin tymczasem nie przestawała mówić:

- Randy? Co tu się dzieje? Kim jest ta cała Hannah? Dlaczego ten pan jest taki zły? O jakich kasetach wideo oni mówią?

- Panno Mastriani - powiedział Randy senior tym samym serdecznym tonem, co poprzednio. - Zanim powie pani coś więcej, chciałbym, żeby pani wiedziała, jaki to dla mnie zaszczyt panią poznać. Kiedy Randy mi powiedział, że spotkał „dziewczynę od pioruna”, tę, o której nakręcono serial telewizyjny, no cóż, zupełnie mnie zatkało. Po pierwsze, to jeden z ulubionych seriali mojej żony, prawda, Randy?

Randy junior, który nadal miał taką minę, jakby w każdej chwili mógł zwymiotować na własne buty, przytaknął:

- Tak. Jasne.

- No a po drugie, cóż, trudno mi wyrazić, jak bardzo doceniam wszystko, co zrobiła pani dla tego kraju w czasie swoje go pobytu w Afganistanie. Na tego typu poświęcenie stać tylko prawdziwych patriotów, więc razem z matką Randy'ego... No cóż, jeśli coś podziwiamy, jest to patriotyzm. Miłość do tego wielkiego kraju to cecha, która staraliśmy się wpoić naszemu synowi... Nieprawdaż, Randy? No bo gdzie indziej niż w Ameryce syn biednego jak mysz kościelna wieśniaka, takiego jak ja, mógłby dorobić się większego majątku niż ktokolwiek w tym wielkim stanie, pomijając Kościół katolicki?

Randy senior roześmiał się serdecznie z własnego żartu, a Just For Men i jego kumpel mu zawtórowali. Uśmiechnęłam się grzecznie. Rob nadal ciskał wzrokiem pioruny. Randy miał taką minę, jakby robiło mu się niedobrze, a Kristin była zdezorientowana.

- Chciałbym jeszcze dodać - rzekł Randy senior, kiedy już się wyśmiał - że moja żona i ja ogromnie lubimy restaurację pani ojca. Przynajmniej raz w tygodniu jemy w Mastriani's. I jestem uzależniony od burgerów w Joe's. Prawda, Randy?

Randy pokiwał głową. Wciąż wyglądał, jakby źle się czuł. Powiedziałam:

- No cóż, to świetnie, panie Whitehead. Ale to nie zbliża nas ani trochę do rozwiązania problemu, który tutaj mamy. Za chowanie pana syna bardzo zmartwiło mojego przyjaciela. To znaczy, jego siostra jest bardzo młodą, niedoświadczoną dziewczyną. A pana syn nie tylko pogwałcił jej prawa...

- Nic takiego nie zrobiłem - oświadczył Randy junior. - Ona nawet nie była dziewicą, kiedy ją poznałem!

Rob zerwał się ze swojego krzesła, ale zanim zdążył dostać Randy'ego juniora w swoje ręce, Randy Senior ryknął:

- Zamknij się, Randall!

- Ale tato! - zawołał Randy. - Ja nie... - Będziesz siedział cicho - huknął Randy senior, mocno czerwieniejąc na twarzy - dopóki nie pozwolę ci mówić! Wydaje mi się, że jak na jeden dzień narobiłeś już dość kłopotów, nieprawdaż?

Randy Junior skulił się na krześle, rzucając nerwowe spojrzenia to na ojca, to na Roba. Pan Whitehead popatrzył na mnie i powiedział:

- Przepraszam za ten wybuch mojego syna, panno Mastriani, panie... Przepraszam, młody człowieku, nie dosłyszałem pana nazwiska.

- Wil... - zaczął Rob, ale mu przerwałam.

- Jego nazwisko nie ma znaczenia. Jak mówiłam, pozostaje faktem, że pański syn pogwałcił prawo jego siostry do prywatności, filmując na wideo, bez jej pozwolenia, sceny o charakterze intymnym, które później kopiował i rozprowadzał...

- Miałem jej pozwolenie! - zawołał Randy junior. - Wziąłem jej podpis na formularzu i tak dalej!

- Ale ta umowa nie jest wiążąca - zwróciłam się do jego ojca. - Ponieważ Hannah ma tylko piętnaście lat...

- Powiedziała mi, że ma osiemnaście! - wybuchł Randy junior, na co jego ojciec podniósł szklany przycisk do papieru w kształcie piłeczki golfowej i rąbnął nim, z głośnym trzaskiem, w bibularz.

- Do cholery, Randy! - ryknął. - Mówiłem ci, że masz się przymknąć!

Randy junior się przymknął. Siedząca obok niego Kristin miała taką minę, jakby zbierało jej się na płacz. I nie tylko ona. Randy junior też sprawiał wrażenie gotowego się rozszlochać.

- Przepraszam, panno Mastriani - rzekł Randy senior, odzyskując panowanie nad sobą. - I te przeprosiny obejmują również pana, młody człowieku. Doskonale rozumiem pana oburzenie. Sam jestem oburzony. Nie miałem pojęcia, że mój syn para się przemysłem, hm, filmowym. Jestem na pewno nie mniej tym zbulwersowany niż państwo. Proszę mi zatem powiedzieć, co mogę zrobić, żeby zadośćuczynić obojgu państwu? Bo z całą pewnością chciałbym tę sprawę jakoś załatwić.

- No cóż - powiedziałam - w takim razie może pan łaskawie poprosi syna, żeby oddał się w ręce przedstawicieli prawa, którzy będą na niego czekali przy recepcji - zerknęłam na zegarek i zobaczyłam, że już jest dziesiąta - od tej chwili.

Obaj panowie o imieniu Randy gapili się na mnie, osłupiali, kiedy nagle odezwał się brzęczyk na biurku pana Whiteheada.

Randy Senior nacisnął guzik i warknął:

- Do diabła, Thelmo, mówiłem, nie przeszkadzać mi w trakcie tego spotkania!

- Przepraszam, Randy - zatrzeszczał głos recepcjonistki. - Ale jest tu przynajmniej z sześciu panów z policji, którzy twierdzą, że muszą się z tobą natychmiast widzieć.

Z twarzy pana Whiteheada odpłynął wszelki ślad koloru. Spojrzał na mnie z większym jadem niż ma go zwykły grzechotnik.

- Ty mała przebiegła suko - wycedził. Uśmiechnęłam się do niego uprzejmie. Just For Men i jego kumpel wyszarpnęli z kieszeni telefony komórkowe i zaczęli w nie coś gorączkowo szeptać. Randy junior tak bardzo skulił się na krześle, że wyglądał, jakby był zupełnie pozbawiony kości. Randy senior wyjął buteleczkę mylanty z szuflady biurka i odmierzył sobie łyżkę kredowobiałego płynu. Tylko Kristin rozglądała się wkoło półprzymtomnie i mówiła:

- Ja nie rozumiem. Dlaczego przyjechała policja? Kim jest ta cała Hannah? I dlaczego wszyscy mówią o jakichś kasetach wideo?

Spojrzałam na nią i powiedziałam:

- Twój chłopak w sekrecie nagrywał na wideo, jak uprawia z tobą seks. A potem sprzedawał te taśmy przez Internet na stronach z amatorskimi pornosami.

Kristin zmarszczyła swoje ładne brewki.

- Nieprawda.

- Niestety, to prawda.

- Nie - oświadczyła Kristin i uśmiechnęła się z wyższością.

- Nieprawda. A ja chyba wiem, co mówię. Przecież zauważyła bym kamerę w sypialni.

- Kamera była schowana w garderobie za sypialnią - wyjaśniłam. - Za lustrem, które tak naprawdę był o dwustronne. Tym nad komodą.

Kristin wytrzeszczyła na mnie oczy obramowane mocno utuszowanymi rzęsami. A potem powiedziała:

- Nie - e - e.

- Ta - a - ak - odparłam. - Kristin, ja widziałam te taśmy. Masz na nich komplet, stanik i majteczki w tygrysie prążki. Poza tym - dodałam - masz skłonności do łaskotek.

Kristin zbladła pod warstwą różu. Obróciła głowę w stronę Randy'ego juniora.

- Skąd ona o tym może wiedzieć? - spytała piskliwym głosem swojego chłopaka. - Skąd ona o tym wie?

- Bo oglądałam te kasety, Kristin. Widziałam wszystkie kasety. Z Carly. Jasmine. Beth.

Ruchem szybkim jak błyskawica Kristin rąbnęła dłonią w policzek Randy'ego juniora, aż mu głowa odskoczyła.

- Powiedziałeś mi, że Jasmine to twoja siostra! - syknęła, a na jej ciemnych rzęsach zawisły łzy gniewu.

- To zabawne - skomentowałam, patrząc, jak Randy junior usiłuje zwinąć się w kulkę na swoim krześle. - Jasmine mi zdradziła, że jej o tobie powiedział dokładnie to samo.

Kristin rzuciła mi zaskoczone spojrzenie. Tak samo Randy junior. Podobnie, zresztą, zrobił Rob.

- Rozmawiałaś z Jasmine? - szepnął Randy Junior.

- Randy, rozmawiałam dziś rano z nimi wszystkimi. I wiesz, muszę przyznać, że chociaż postarałeś się o zgromadzenie na prawdę odmiennych typów dziewczyn: blondynek, brunetek, rudych, niskich, szczupłych, wysokich, to łączy je jedno. A miano wicie, żadna nie wiedziała, że jest filmowana. I wszystkie nieźle się tym wkurzyły. Większość wkurzyła się na tyle, żebyście chciały wniesić oskarżenie.

- O słodki Jezu - wymamrotał Randy Whitehead senior, chowając łysiejącą głowę w dłoniach.

Randy junior tymczasem zwinął się w jak najmniejszą kulkę. Musiał, jeśli chciał się obronić przed uderzeniami Kristin, która tłukła go piąstkami w napadzie kobiecej furii.

- Ty palancie! - krzyczała. - Okłamałeś mnie! Okłamałeś! Powiedziałeś, że mnie kochasz! Powiedziałeś, że jestem jedyna! Powiedziałeś, że zawsze będziesz się mną opiekował! Dokąd ja mam teraz pójść? Ha? Dokąd?

- Możesz wrócić do domu - podsunęłam cicho. To zwróciło jej uwagę. Przestała bić Randy'ego po to, żeby na mnie spojrzeć.

- Nie, nie mogę. - Pociągnęła nosem. - Tata mnie wyrzucił.

- Jest gotów przyjąć cię z powrotem - wyjaśniłam. - A przy najmniej był gotów, kiedy z nim dziś rano rozmawiałam.

- Rozmawiałaś z moim tatą? - spytała Kristin, jakby nie śmiała w to uwierzyć.

- Jeśli jesteś tą Kristin Pine z Brazil w stanie Indiana - powiedziałam - to tak. Prawdę mówiąc, tata odetchnął z ulgą, kiedy zadzwoniłam. Martwili się o ciebie z mamą. No cóż, kto by się nie martwił - dodałam, zerkając na pana Whiteheada seniora - o swoją piętnastoletnią córkę, która uciekła z domu?

- Chryste - jęknął Randy senior, jeszcze głębiej chowając twarz w dłoniach.

- Skąd... Skąd wiedziałaś? - szepnęła Kristin, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem. - Jak się nazywają moi rodzice? Jak ja się nazywam?

- To „dziewczyna od pioruna” - wyjaśnił krótko Rob. Zerknęłam w jego stronę. Nie powiedziałabym, że mówił to z jakąś wyjątkową goryczą ani nic. Ale z zachwytem też nie. Sie dzał na swoim krześle i sprawiał wrażenie, że tylko obserwuje rozgrywającą się wokół niego dramatyczną scenę. Wydawał się niemal spokojny. No cóż, przynajmniej bardziej niż ktokolwiek z pozostałych osób w gabinecie.

A przynajmniej dopóki Randy Whitehead senior nie odezwał się do mnie śmiertelnie spokojnym tonem:

- Dziewuszeko, pożałujesz tego. Wiem, że zrobiłaś to, żeby zemścić się na moim chłopaku za to, co zrobił siostrze twoje go przyjaciela. Ale że wciągnęłaś w to te wszystkie dziewczyny i policję... Tego pożałujesz.

Teraz Rob zupełnie przestał wyglądać spokojnie. Pochylił się na swoim krześle i powiedział:

- Przepraszam, czy pan jej grozi?

- O, możesz być pewien jak jasna cholera, że grożę - oświadczył Randy senior. - Jej. Tobie. Jej rodzicom. To wojna, dziewczuszeko. Tym razem nadepnęłaś na odcisk niewłaściwej osobie.

- Nie sądzę - stwierdziłam. - Już wyjaśniam, dlaczego. Jedyna osoba, która dzisiaj pójdzie siedzieć, to pana syn. Jeśli cokolwiek stanie się mnie albo mojej rodzinie, dołączy pan do syna w pudle. Żeby nie użyć brzydszego określenia.

Randy senior popatrzył na mnie.

- O czym ty mi tu, u diabła, opowiadasz?

- No cóż, jako właściciel i zarządca kompleksu apartamentów Fountain Bleu jest pan przecież odpowiedzialny za nadzór nad tym osiedlem, włącznie z odpowiedzialnością za tych, którzy zarządzają nim na bieżąco... Czyli, za pana syna, Randy'ego, który, jak wszyscy wiemy, wykorzystał swoją pozycję w firmie, żeby bezprawnie dawać tam schronienie dziewczynom, które uciekały z domu, a potem filmował je w trakcie uprawiania seksu. -

Siedzącej obok mnie Kristin wyrwał się szloch. - Przy kro mi - powiedziałam w jej stronę przeprasającym tonem.

- Nie ma za co - odparła, pociągając nosem. Mówiłam dalej:

- To oczywiste, że można panu postawić zarzuty kryminalnej i cywilnej natury.

Znalazł się pan w bardzo delikatnej sytuacji.

Pan Whitehead senior wytrzeszczył na mnie oczy.

- Co ty mi, tak konkretnie, chcesz powiedzieć? Proponujesz mi jakiś układ?

Znów rozległ się brzęczyk.

- Panie Whitehead. - W głosie Thelmy słychać było napięcie. - Nie wiem, jak długo ci panowie z policji zgodzą się jeszcze czekać...

Randy senior rzucił błagalne spojrzenie w stronę Just For Men i jego koleś.

- Idźcie tam - powiedział. - I zróbcie co się da, żeby ich przetrzymać.

Just For Men pokiwał głową.

- Zrobi się - zameldował. I obaj wyszli. Randy senior spojrzał na mnie.

- No dobrze. To o jakiej konkretnie umowie tutaj rozmawia my?

- Och, umowa nie dotyczy pana syna - powiedziałam szybko. - Ale jeśli chodzi o pana... No cóż, wiem, że jest pewna nieruchomość, którą pan się interesuje, szkoła podstawowa Pine Heights.

Pan Whitehead spojrzał na mnie przez zmrużone powieki.

- Zgadza się. Byłaś wczoraj wieczorem na posiedzeniu rady dzielnicy. Randy powiedział, że to tam cię spotkał.

- Dokładnie tak. Planuje pan przerobić szkołę na mieszkania na wynajem. Jeśli zgodzi się pan zarzucić ten plan i wesprzeć, sporą dotacją finansową, projekt utworzenia tam alternatywnej szkoły średniej, to moim zdaniem uda nam się wypracować taki kompromis pomiędzy zwaśnionymi stronami, który nie zaprowadzi pana do więzienia ani do sądu cywilnego.

Randy Whitehead senior nadal się na mnie gapił. Jego syn też. I Rob. W sumie, jedyna osoba w tym pokoju, która się na mnie nie gapiła, to Kristin, a nie gapiła się dlatego, że przeglądała się właśnie w lusterku puderniczki i starannie ścierała rozmazany tusz, który spłynął jej ze łzami na policzki.

- A ile dokładnie - odezwał się Randy senior - miałaby wynieść ta dotacja?

- Och, niewiele - stwierdziłam. - Przynajmniej dla człowieka z pańskim majątkiem.

No i jestem pewna, że mógłby pan sobie odpisać darowiznę od podatku.

Głos miał zimny.

- Ile. Konkretnie.

- Myślę, że trzy miliony dolarów wystarczą - oznajmiłam. Przycisk do papierów znów trzasnął o biurko. Kristin podskoczyła i lekko jej się czknęło.

- Wykluczone! - ryknął Randy senior. - Nie ma mowy! Za kogo ty się uważasz? Mam przyjaciół w tym mieście, dziewczusko. Zaryzykuję sprawę w sądzie! Zapłacę, komu będzie trzeba! Ja...

Rob wstał. Był taki wysoki i miał takie szerokie ramiona, że zdawał się zajmować zadziwiająco wiele miejsca w tym wielkim pokoju.

- Zrobi pan - powiedział swoim niskim, cichym głosem - to, co ona panu każe.

I wtedy Randy Whitehead senior popełnił błąd. Spojrzał Robowi w twarz i się roześmiał.

- Tak?! - wrzasnął. - Albo niby co?

W ułamku sekundy Rob na wpół wyciągnął pana Whiteheada zza biurka i docisnął przycisk do papieru w kształcie kuli golfowej do jego arterii szyjnej.

- Albo cię zabiję - odparł Rob, nie zmieniając tonu głosu. A wtedy Randy senior popełnił kolejny błąd.

- Czy ty wiesz, kim ja jestem? - zagulgotał. - Czy ty wiesz, kogo ja znam? Mogę cię zgasić jak świeczuszkę, kolego.

- Nie, jeśli już będziesz martwy - rzekł Rob spokojnie, wciskając piłeczkę golfową z kryształu tak głęboko w gardło pana Whiteheada, że ten zaczął się krztusić.

Wstałam z krzesła i podeszłam do biurka pana Whiteheada, któremu mocno poczerwieniała twarz. Na błyszczącym czole kroplił się pot. Przewrócił oczami w moją stronę. Jedną dłoń bez władnym gestem wyciągnął w stronę interkomu. Ale nawet gdyby zdołał go dosięgnąć, nic by mu to nie pomogło. Przy tak silnym ucisku na krtań nie zdołałby wydobyć z siebie ani słowa.

- Być może zna pan różnych ludzi w tym mieście, panie Whitehead - powiedziałam. - Ale pozostaje faktem, że obecny tu Rob zna ich chyba więcej. I ci ludzie, których zna, to miejscowi. Nie musi posyłać aż do Chicago po wsparcie. Więc na moment odłóżmy może na bok groźby użycia siły fizycznej, bo faktem pozostaje, że zrobi pan to, czego od pana chcę, i to wcale nie dlatego, że w przeciwnym razie Rob pana zabije. Zrobi pan to, bo w przeciwnym razie ja opowiem pana żonie o Ericu.

Randy junior, zwinięty w drżącą kulkę, uniósł głowę.

- Kto to jest Erie? - spytał łzawym głosem.

Kristin, która odłożyła puderniczkę i wpatrywała się jak za hipnotyzowana w mięśnie Roba, napinające się pod rękawami jego koszulki (postanowiłam, że porozmawiam sobie z nią o tym później), miała podobnie zdeorientowaną minę.

- Kto to jest Erie? - zapytała.

- Właśnie - rzekł Rob, oglądając się na mnie. - Kto to jest Erie?

- Dobra! Wszyscy spojrzeliśmy na pana Whiteheada, zaskoczeni, że udało mu się wykrztusić z gardła choć jedno zrozumiałe słowo. Ale on ścisnął ręce Roba bielejącymi palcami i chrypiał:

- Dobra! Dobra! Rob rozluźnił chwyt, a Randy senior osunął się na biurko i dysząc, usiłował złapać powietrze.

- Dobra, czyli zrobisz, czego ona chce? - upewnił się Rob. Pan Whitehead pokiwał głową. Jego twarz powoli zaczynała przybierać normalny kolor.

- Zrobię to, czego chce - wyrzęził. - Tylko nie mów... mojej żonie... o Ericu.

- Świetnie - powiedziałam do pana Whiteheada. - Ale powinien pan wiedzieć, że nie jestem jedyną osobą, która wie o Ericu, panie Whitehead. I jeśli coś mi się stanie, osoby ze mną związane...

- Nic ci się nie stanie - obiecał pan Whitehead. Tak jak parę minut temu poczerwieniał, tak teraz był blady. - Przysięgam ci to. Tylko nic nie mów.

- Umowa stoi - oświadczyłam. A potem sięgnęłam nad biurkiem i prawą dłonią ucisnęłam jego spoconą, drżącą dłoń.

A jeszcze potem nachyliłam się i nacisnęłam guzik interkomu.

- Teraz niech pan to powie - odezwałam się do pana Whiteheada.

Parę razy zakasłał, a potem poprawił kołnierzyk i krawat, zmięte przez Roba, i przemówił do interkomu:

- Możesz już wpuścić policję, żeby zabrali Randy'ego juniora, Thelmo.

Na te słowa jego syn zerwał się z krzesła w odruchu paniki.

- Nie! - krzyknął. - Tato! Nie możesz...

- Przykro mi, Randy - rzekł Randy senior. A co najzabawniejsze, wcale nie brzmiało to tak, jakby mu było przykro. - Ale nie mam wyboru.

- Ale ja to zrobiłem dla ciebie, tato! - tłumaczył Randy. - Żeby ci pokazać, że poradzę sobie z większym zakresem obowiązków. Nie możesz im na to pozwolić! Nie możesz!

Ale pan Whitehead stał tam tylko i patrzył, kiedy policjanci weszli do gabinetu, kazali Randy'em u oprzeć dłonie na ścianie i go przeszukali. I nie tylko policjanci weszli do środka. Wszedł również młody człowiek w koszulce z Hellboyem, w ręku trzymając komiks *X - Men*.

- O, cześć, Jess - powiedział Douglas na mój widok. - Jak mi poszło? Zdążyłem z nimi na czas, tak jak prosiłaś?

- Idealne wycucie czasu, Doug - stwierdziłam. - Idealne.

Kiedy wyszliśmy kilka godzin później z biura prokuratora okręgowego (jak się okazało, czekała mnie masa wyjaśnień co do tego, jak weszłam w posiadanie kaset, które przekazałam Douglasowi, żeby je zaniósł do prokuratury. Ale trzymali mnie znacznie krócej, niż planowali potrzymać Kristin, która była ich głównym świadkiem i którą zatrzymano w areszcie prewencyjnym do przyjazdu rodziców), byłam taka głodna, że prawie żałowałam tego odrzuconego zaproszenia Karen Sue na późne śniadanie. Myślałam, że zemdleję na schodach gmachu sądu.

Na szczęście Rob czuł się chyba tak samo, bo zaproponował:

- Co byś powiedziała na jakiś lunch?

- Zaśpiewałabym Alleluja. Douglas? Douglas pokręcił głową.

- Nie da rady. Trzeba wracać do sklepu. Ktoś musi zadbać o zaspokajanie komiksowych potrzeb tej społeczności. - Słońce w zenicie oślepiało, ale i tak widziałam spojrzenie, które rzucił mi brat. - Ale wy sobie idźcie. Wicie, jest takie naprawdę fajne miejsce, gdzie z Tashą ostatnio jeździmy. To jest dopiero w Storey, ale warto się przejechać. Tuż obok rzeki, naprawdę romantycznie...

Wiedziałam, co on knuje. Wiedziałam, co knuje, i szybko postanowiłam temu zapobiec, wskazując ręką drugą stronę placu.

- Och, patrzcie. Joe's już otwarte. Moglibyśmy tam wstąpić, kupić jakieś burgery na wynos i wziąć do ciebie do domu, Rob.

Rob uniósł brwi.

- Do mnie do domu?

- Hannah jest jedyną sfilmowaną dziewczyną, z którą jeszcze nie rozmawiałam - wyjaśniłam. - Muszę wiedzieć, czy też będzie chciała wnieść oskarżenie przeciwko Randy'emu. Wszystkim innym dziewczynom już uświadomiłam tę możliwość.

- Nie dałaś glinom jej taśm? - spytał Rob z zaciekawieniem.

- Jeszcze nie. Rob zerknął na zegarek.

- Gwen lada moment po nią przyjedzie. Chyba dla niej też moglibyśmy kupić burgera. No i jeszcze z jakieś osiem dla Chicka.

- Och! - westchnął Douglas, rozczarowany. - Chyba możecie też i tak zrobić.

- No właśnie - powiedziałam stanowczo. - Douglas, dzięki za pomoc dziś rano. Nie udałoby nam się to wszystko bez ciebie.

Rozchmurzył się na te słowa.

- Nie ma o czym mówić - stwierdził. - Wszystko, żeby tylko wybawić świat od tych handlarzy brudami i zrobić miejsce dla zdrowych rozrywek, na przykład *Sin City*. No to bawcie się dobrze oboje. Zadzwoń do mnie później, Jess.

Douglas zasalutował dłonią i ruszył przez ulicę w stronę Underground Comix. Niewątpliwie później mnie odszuka i zażąda jakiegoś wyjaśnienia, kiedy się dowie o „darowiźnie” pana Whiteheada. Randy senior miał osobiście dostarczyć czek do jednoosobowego Komitetu Alternatywnego Liceum Pine Heights, czyli właśnie Douglasa.

Tymczasem cieszyłam się, że mam go z głowy. Nie miałam specjalnej ochoty, żeby mój starszy brat kręcił się koło mnie i próbował bawić w swatkę. Między mną a Robem już i tak sytuacja była wystarczająco niezręczna, bez dodatkowych interwencji mojej rodziny - mimo że wiedziałam, iż Douglas ma dobre zamiary.

Teraz jednak planowałam część tej swojej rodziny wykorzystać... Zaletą posiadania rodziców, którzy są właścicielami wszystkich najlepszych restauracji w mieście, jest to, że nie musisz w nich płacić za jedzenie. Mimo to Rob uparł się, żeby zostawić szczodry napiwek za te nasze burgery... Co rozumiem, bo przecież jego mama kiedyś pracowała u nas jako kelnerka. Z zapakowanymi burgerami w rękę wróciliśmy do furgonetki i ruszyliśmy w stronę jego domu.

Milczenie, które zapadło w kabinie po drodze, wcale nie było niezręczne. Nieprawda, żartuję. Nie mieliśmy jeszcze ani chwili, żeby porozmawiać na osobności o tym, co zaszło w gabinecie Randy'ego seniora, bo za bardzo zajęci byliśmy wyjaśnianiem prokuratorowi okręgowemu, co zrobił Randy Junior. Ja, w każdym razie, nie uważałam, żeby tu było wiele do omawiania.

Ale Rob był chyba innego zdania.

- No dobrze - powiedział, kiedy mijaliśmy pola kukurydzy, która wyrosła na wysokość kolan. Za miesiąc miała sięgać dobrze ponad nasze głowy. - Więc to całe niestosowanie przemocy, którego jesteś teraz zwolenniczką...

W duchu jęknęłam. Nie chciałam wyjaśniać Robowi - ani nikomu, w gruncie rzeczy - dlaczego bicie ludzi przestało mi się wydawać sensowne. Widziałam dosyć przemocy, żeby mi wystarczyło na całe życie i odłożyłam do szuflady mój (metaforyczny) kastet. Moglibyśmy już tego nie wałkować?

Ale ku mojemu zdziwieniu, Rob dokończył:

- Mnie się to podoba. Zerknęłam na niego. Nie odrywał oczu od drogi.

- Tak - powiedziałam ironicznie. - Jasne. Bo to akurat ty byłeś pierwszy na liście osób, którym groziło, że im rozwalę łeb, jak tylko będę miała okazję.

Nadal na mnie nie patrzył.

- Nie o to chodzi - stwierdził. - Po prostu uważam, że wymyślasz fajne rozwiązania problemów bez używania przemocy. Jak ten numer dzisiaj, w gabinecie Whiteheada. To było genialne.

Poczułam, że policzki znowu mi się rumienia i po cichu za klęłam pod nosem. Dlaczego tak z głupiałam dla tego faceta? No bo rumieniłam się i to tylko dlatego, że on mi powiedział komplement. Dlaczego miał taką władzę nad temperaturą mojego ciała?

- Zawsze ci to powtarzałem - ciągnął, nadal nie patrząc w moją stronę. I dobrze, bo gdyby spojrzał, zobaczyłby, że jestem czerwona jak ugotowany homar. - Mówiłem, że problem z twoim szybkim rwaniem się do bójek wiąże się z tym, że któregoś dnia ktoś od ciebie większy ci odda. I że niespecjalnie to ci się spodoba.

- Nigdy by do tego nie doszło - stwierdziłam, usiłując za chować lekki ton. - Mam za szybkie nogi. Biegam jak zając...

- Tak, no cóż - przerwał mi. - Moim zdaniem obaj panowie Whitehead zgodziliby się, że twoje żądło kłuje o wiele mocniej, kiedy używasz głowy, nie swojego prawego sierpowego. Kto to jest Erie?

Zagapiłam się na niego. - Kto?

- Erie. - Dotarliśmy już do długiego podjazdu pod jego dom i Rob skręcił w tę stronę. To był naprawdę piękny kawałek ziemi - tej, na której leżała farma Roba - mieli tam nawet stuletnie dęby i własny strumień. Jestem pewna, że Randy Whitehead senior chętnie przerobiłby ten teren na pole golfowe lub klub rekreacyjny. - Ten facet, o którym miałaś powiedzieć jego żonie, jeśli on nie zrobi tego, czego chciałaś.

- Och! - Uśmiechnęłam się szeroko. - Tata mi o nim powie dział. Erie to kelner w Mastriani's.

- A więc?

- A więc wiesz, że ludzie, którzy razem pracują, lubią plotkować. Erie, mówi tata, lubi jeździć do takiego jednego gejowskiego klubu w Indianapolis.

- Tak. I?

- No i jak się okazuje, Randy senior też.

Rob zatrzymał furgonetkę z szarpnięciem, bo za mocno nacisnął hamulec. Wreszcie obrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

- Żartujesz sobie - powiedział z osłupiałą miną.

- Nie. - Odpięłam pasy i zaczęłam wysiadać z furgonetki. - Erie to chłopak pana Whiteheada. Urządzili sobie nawet wspólnie małe miłosne gniazdko i tak dalej. Tyle że, jak widać, Randy senior wolałby raczej, żeby żona się o tym nie dowiedziała.

Zabrałam burgery i ruszyłam w stronę domu Roba. Chick - właściciel i kierownik Baru i Klubu Motocyklowego Chicka przy autostradzie - najwyraźniej usłyszał, że podjeżdżamy, bo podszedł do drzwi frontowych. Kiedy zobaczył, że nadchodzę wyłożoną kostką alejką, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No proszę, przecież to „dziewczyna od pioruna” - powie dział, otwierając siatkowe drzwi, żeby mnie wpuścić do środka.

- Dawno cię nie widziałem.

- Cześć, Chick - przywitałam go, uśmiechając się. - Jak życie płynie?

- O wiele lepiej, odkąd znów zjechałaś do miasta - stwierdził Chick, kiedy podchodził do nas Rob. - Hej, no to skoro teraz wy dwoje znów jesteście razem, może uda ci się coś zrobić, żeby ten facet przestał wciąż harować i raz na jakiś czas się zabawił.

Chick klepnął Roba potężną łapą w ramię. Rob się skrzywił. Ale jestem pewna, że nie dlatego, że pieszczoty Chicka bolą.

- No cóż - powiedział Rob, nie patrząc ani na mnie, ani na Chicka. - Jess wróciła, ale tylko po to, żeby mi pomóc znaleźć Hannah. Nie długo znów jedzie do Nowego Jorku.

Uśmiech Chicka zniknął.

- Och! - westchnął. A potem zauważył torby w moich rękach i jego przybita mina rozchmurzyła się, ale tylko trochę.

- No cóż, przynajmniej wyzerkę przyniosła.

I zawrócił do środka domu.

Obróciłam się i popatrzyłam gniewnie na Roba.

- A ty skąd wiesz? - rzuciłam ostro. Popatrzył na mnie, speszony.

- Skąd wiem co?

- Skąd wiesz, kiedy wracam do Nowego Jorku? - Nie umiałabym wyjaśnić, czemu tak się nagle wściekłam. Ale zdecydowanie zaczynałam na nowo przemyśliwać tę swoją postawę nie stosowania przemocy oraz przekonanie, że mu nie rozwalę łba.

- Może ja nie wrócę do Nowego Jorku. Nie wiesz tego. Nic już o mnie nie wiesz.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Okay - powiedział. - Wyluzuj. Dlaczego ile razy ktoś każe ci się wyluzować lub odprężyć, zawsze odnosi skutek przeciwny do zamierzonego?

Czując się wyjątkowo niewyluzowana, weszłam zamaszystym krokiem do domu Roba i trafiłam na jego siostrę, Hannah, która właśnie schodziła po schodach zobaczyć, kto jest na dole.

- Ach! - jęknęła, wyraźnie rozczarowana moim widokiem.

- To ty. Myślałam, że to może moja mama.

- Tak, no cóż, ja też bardzo się cieszę, że cię widzę - sarknęłam. - Jest tam na górze jakiś odtwarzacz wideo?

Hannah przychyliła głowę i spojrzała na mnie pytająco.

- Co? Tak. A dlaczego?

Ruchem ręki kazałam jej wrócić na górę. Rob, idąc do kuchni po talerze do hamburgerów, powiedział:

- Jess. Zjedz coś najpierw, dobra?

- Och, Hannah i ja na pewno zjemy - zapewniłam go. A potem widząc, że Hannah nie ruszyła się z miejsca, znów pokazałam ręką na schody i powiedziałam: - Na górę. Już.

Z nabzdyczoną miną Hannah zawróciła napięcie i udała się na piętro. Poszłam za nią, przedtem oddając Chickowi wszystkie torby z hamburgerami poza jedną.

Na górze, w gościnnej sypialni, gdzie nocowała Hannah - w tej, która kiedyś była sypialnią Roba, teraz odnowionej, w delikatne odcienie beżu - zobaczyłam, że czuje się tam jak w domu. Po całej podłodze porzrzuciła ubrania, walały się tam też torebki po chipsach i puste puszki po napojach.

- Lepiej się spakuj - poradziłam jej. - Wiesz, że mama po ciebie przyjeżdża.

- Mam to gdzieś - stwierdziła Hannah, znów rzucając się na łóżko i wbijając gniewne spojrzenie w sufit. Na tle białej poduszki jej różnokolorowe włosy tworzyły istną tęczę. - Nie zamierzam wracać i znów mieszkać z tą jędzą. A Rob mnie nie zmusi.

Włączyłam odtwarzacz wideo i włożyłam do środka kasetę wyjętą z plecaka.

- Owszem, może - powiedziałam. - Nie ma żadnego obowiązku dalej płacić za twój pobyt pod tym dachem.

- Świetnie - mruknęła Hannah do sufitu. - No to niech mnie wyrzuci. Ale nie może mnie zmusić, żebym została z mamą. Po prostu znów ucieknę.

- Bo ostatnio tak dobrze na tym wyszłaś? - Nacisnęłam klawisz „play”, a potem wzięłam torbę z hamburgerami i usiadłam w fotelu ustawionym przy jedynym w tym pokoju oknie, ale najpierw zdjęłam z niego stos ubrań Hannah. - Nie zły plan.

Hannah patrzyła na mnie, nie w telewizor.

- Hej - powiedziała, siadając. - Mogę wziąć jednego? Umieram z głodu. Ten cały Chick zaproponował, że mi zrobi kanapkę, ale czy ty widziałaś, jakie on ma paznokcie? Nie no, nie ma mowy.

Wzięłam sobie burgera i rzuciłam jej torbę.

- Częstuj się. - Popatrzyłam na ekran telewizora. - O, super - stwierdziłam, zatapiając zęby w grubą warstwę sera i bekonu.

- To mój ulubiony fragment.

Hannah leniwie podniosła oczy znad burgera, którego właśnie nadgryzała...

...i nagle upuściła go sobie na kolana.

- Co? - Gapiała się wytrzeszczonymi oczami w telewizor.

- Skąd ty... Hej, to...

Przełknęłam kęs.

- Tak. Ja też wolę bokserki. Ale co można zrobić? Niektórzy faceci są niereformowalni.

Hannah zsunęła się z łóżka - wszędzie siejąc kawałki hamburgera - i rzuciła się w stronę odtwarzacza. Trzasnęła w klawisz „eject”. Kiedy kasetka wysunęła się z odtwarzacza, obróciła ją i spojrzała na jej bok, na widok schludnie drukowanej naklejki „ Hannah „, jeszcze bardziej wybałuszyła oczy.

- Skąd to masz? - spytała słabym głosem. - Z garderoby twojego chłopaka - powiedziałam, kiedy przeżułam kolejny kęs. - Nie wiedziałaś, że byłaś filmowana? Pokręciła głową. Najwyraźniej straciła zdolność mowy.

- Miał też kopie - dodałam. - Zakładam, że do dystrybucji.

- Dys... dystrybucji? - Twarz Hannah zbieleła pod kolor pościeli na łóżku. - On je... sprzedawał?

- Och, nie tylko twoje. Było tam mnóstwo różnych kaset z mnóstwem różnych nieletnich dziewczyn. Najwyraźniej założył sobie mały haremik. Naprawdę nie wiedziałaś?

Znów pokręciła głową, nie odrywając wzroku od kasety.

- No cóż. - Wzruszyłam ramionami. - Nie musisz się już o to martwić. Poszedł do więzienia. I posiedzi tam przynajmniej, dopóki tata nie wydobędzie go za kaucję. Chyba że nie zgodzą się na kaucję, zresztą prokurator okręgowy tak się odgraża. Międzystanowy handel pornografią jest traktowany dość poważnie, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi osoby nieletnie, ale pan Whitehead, tata Randy'ego, ma mnóstwo pieniędzy, władzy i... No cóż. Po prostu zobaczymy, co będzie dalej.

Hannah spojrzała na mnie. W kąciку ust miała plamę keczupu. Po raz pierwszy od chwili, kiedy ją poznałam, wyglądała o wiele młodziej niż na swoje piętnaście lat.

- Randy jest w więzieniu? - spytała cicho.

- Randy jest jak najbardziej w więzieniu. Możesz sprawić, że tam jeszcze posiedzi, jeśli pozwolisz mi przekazać te taśmy policji i zgodzisz się zeznawać przeciwko niemu. Do czego bardzo bym cię zachęcała. Ale chyba zrozumiesz, jeśli odmówisz. Chociaż nie doradzam ci tego. To znaczy, jeśli ujdzie mu to na sucho, to on po prostu zrobi to komuś innemu, może jeszcze młodszemu niż ty.

Spodziewałam się, że mnie zaatakuję jak w mieszkaniu Randy'ego. Byłam teraz przecież jej podwójnym wrogiem - zabrałam ją od ukochanego mężczyzny, a na dodatek sama wsadziłam tego mężczyznę za kratki.

Oczywiście, jej brat też brał w tym udział. Ale byłam gotowa wziąć na siebie winę za uwięzienie Randy'ego, bo gdyby Rob zrobił to, na co miał ochotę, to jej chłopakowi groziłby wyłączenie nie wstrząs mózgu, a nie lata sądowych przepychanek i, całkiem prawdopodobnie, wieloletnia odsiadka.

Ale ku mojemu zdziwieniu, Hannah nie wpadła w jeden ze swoich ataków złości. Zamiast tego, nadal wpatrując się w kasetę, zapytała cicho:

- Czy Rob to widział? Pokręciłam głową.

- Nie. Tylko ja.

- A gdzie jest reszta? - spytała. - Mówiłaś, że są kopie.

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam pozostałe dwie kasety z jej imieniem.

- Tutaj.

Podeszła i wzięła kasety z moich rąk. Nasze palce zetknęły się przy tym lekko, a ona powiedziała tym samym cichym głosem:

- Dzięki. - Spojrzała na kasety. I chyba podjęła jakąś decyzję, bo zacisnęła usta w wąską linijkę. - Chyba chciałabym - powiedziała. - To znaczy, wnieść oskarżenie.

- I dobrze zrobisz - oświadczyłam. - Daj znać Robowi. Albo swojej mamie. Jedno z nich będzie cię mogło zabrać na komisariat.

- Tak zrobię. I... przepraszam. Uniosłam brwi.

- Za co? To nie twoja wina.

- Nie, nie za Randy'ego - wyjaśniła, patrząc na kasety. - Za te rzeczy, które powiedziałam wczoraj. O tym, że jesteś...

- Wielką wredną suką? - dokończyłam za nią. - Aha - przytaknęła. I nawet się zarumieniła. - Tak. Za to.

Bo nie jesteś. Jesteś w sumie całkiem fajna.

- No cóż - mruknęłam. - Dzięki.

A potem obie usłyszałyśmy, jak Rob woła w stronę schodów:

- Hannah? Twoja mama jest tutaj. Hannah nagle skrzywiła się do płaczu.

- Mama? - Rzuciła wszystkie kasety na łóżko, obróciła się i pobiegła do drzwi. -

Mamo!

Kilka sekund później usłyszałam, jak z łomotem zbiega po schodach, a potem jakiś kobiecy głos powiedział:

- Och, Hannah! - zanim przerwał mu młodzieńczy wrzask radości.

Zostałam na górze i dokończyłam resztę burgera. Kiedy zjadłam, wstałam, wrzuciłam papier do kosza i ruszyłam do drzwi.

Ale potknęłam się i omal nie straciłam równowagi, bo za czepiłam stopą o coś, co leżało pod tym bałaganem na podłodze.

A kiedy schyliłam się, żeby zobaczyć, co to jest, zauważyłam kawałek papieru z moim nazwiskiem. No więc, oczywiście, musiałam się schylić i przyjrzeć dokładniej.

Okazało się, że ten papier wystawał z albumu oprawionego w zieloną skórę, ze złoceniami na brzegach. Kiedy go podniosłam, był ciężki. Wysunęły się z niego kolejne papiery. Zobaczyłam, że to wycinki z gazet i obluzowały się, bo ktoś brutalnie się z tym albumem obszedł.

Ktoś, kto bez wątplenia rzucił tym albumem przez pokój w przyływie złości na mnie.

I domyślałam się, kto to mógł być.

A kiedy otworzyłam album, zrozumiałam, dlaczego ona to zrobiła.

Cały album był poświęcony mojej osobie. Ten ktoś, kto go wykonał, nie znał się na prowadzeniu albumów, nie przejmował się starannością i nie używał odpowiedniego kleju. Rob chyba łapał, co miał akurat pod ręką, włącznie z taśmą izolacyjną, i wklejał tam artykuły na mój temat z czasopism i gazet, zaczynając od tej pierwszej historii, która ukazała się w naszej lokalnej gazecie i dalej aż do artykułu, który wydrukowano w „New York Timesie”, poświęconego nieortodoksyjnym metodom wykorzystywanym przez rząd do walki z terrorystami.

Był tam nawet artykuł z magazynu „People” - ten, do którego go nie zgodziłam się udzielić wywiadu - o mnie i o mojej rodzi nie („choć stała się inspiracją dla popularnego serialu telewizyjnego, Jessica Mastriani bardzo nie lubi fotografów...”).

I nie tylko wycinki tam były. Znalazłam też zdjęcia. Parę z nich rozpoznawałam: fotki zrobione przez matkę Roba w czasie Obiadu w Święto Dziękczynienia... I nawet zdjęcie moje i Ruth rozchichotanych do łez na kolanach Świętego Mikołaja w centrum handlowym. Rob musiał namówić fotografa, żeby zgodził się sprzedać mu tę odbitkę, bo przecież ja mu jej nie dałam.

Ale kilku zdjęć nie widziałam nigdy przedtem, na przykład mojego czarno - białego zdjęcia gdzieś w środku albumu. Nie miałam pojęcia, gdzie i kiedy zostało zrobione, a co dopiero, kto nacisnął spust migawki.

Na końcu albumu był ostatni artykuł, jaki napisano na mój temat: informacja z naszej miejscowej gazety o tym, że dostałam stypendium w Miliard. Mama musiała to dać do druku. Była taka dumna - bardziej dumna z tego, że dostałam stypendium, niż z czegokolwiek innego, co kiedykolwiek zrobiłam, nie wyłączając znalezienia wszystkich tych dzieci - i przestępców.

Chyba to rozumiem. Łatwiej było zaakceptować mój talent do muzyki niż ten drugi.

Ten, który do niedawna uważałam za utracony na dobre.

Mogłabym zrozumieć, gdyby taki album prowadziła moja mama, miała zresztą bardzo podobny. Ale to dlatego, że mama mnie kocha - mimo że w pewnych sprawach się różnimy.

Pozostaje pytanie, dlaczego taki album prowadził Rob - i to prowadził go nawet wtedy, kiedy poszliśmy każde w swoją stronę. Co to mogło znaczyć? Najwyraźniej, że nadal o mnie myślał, chociaż ja już znikłam z jego życia...

Ale czy nadal myślał o mnie dlatego, że mnie kochał? Czy trzymał ten album jako swojego rodzaju trofeum - spotykałem się z „dziewczyną od pioruna”?

Ale czy moje listy albo maile pisane do niego - te, które czasem wysyłałam z zagranicy - nie stanowiłyby lepszego materiału do przechwałek? A przecież żadnego z nich w albumie nie było.

Tylko w jeden sposób mogłam się dowiedzieć, co to wszystko znaczy - pytając o to jego twórcę.

Trzymając album przy piersi (chyba w nadziei, że ukryję dzikie walenie serca. Chociaż nie ośmielałam się zadać sobie pytania, czemu puls mi się tak rozszalał), wyszłam z gościnnego pokoju i zeszłam po schodach. Na dole zastałam Hannah i kobietę, która musiała być jej matką, przytulone do siebie na kanapie w salonie. Obie płakały i rozmawiały ze sobą przyciszonym głosem.

Chick siedział przy stole i jadł, sądząc po leżących przed nim opakowaniach, trzeciego cheeseburgera z rzędu. Nigdzie nie widać był o właściciela domu.

- Gdzie jest Rob? - spytałam Chicka, bo Hannah i jej matka wydały mi się raczej zajęte.

- Nie mógł znieść tej ilości estrogenu - odparł Chick z pełnymi ustami. Nie mogłam nie zauważyć, że spogląda nie tylko na Hannah, ale i na jej matkę, która była atrakcyjną blondynką mniej więcej w jego wieku, tylko zdecydowanie szczuplejszą.

- Poszedł do warsztatu w stodole.

- Dzięki - mruknęłam i ruszyłam do drzwi. Ale zatrzymała mnie Hannah, wołając:

- O, tu jest! - i zrywając się, żeby mnie złapać za nadgarstek.

- To ona, mamó - oznajmiła, ciągnąc mnie do kanapy, na której siedziała jej matka. - Jessica Mastriani. To ona mnie znalazła.

Pani Snyder, mama Hannah, podniosła na mnie pełne łez oczy.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała bez tchu - za to, że sprowadziłaś moją córkę do domu.

- Och, nie ma o czym mówić - stwierdziłam. Nigdy nie lubiłam podziękowań. - Miło mi panią poznać. Muszę już teraz iść...

- I nie tylko to zrobiła, mamó - zaczęła Hannah, a potem rozpaplała się o Randym i jego występkach i o roli, jaką odegrałam w zapakowaniu jego nic niewartego tyłka do więzienia, i o tym, że musi jechać na komisariat policji, żeby odwalić swoją część roboty po to, żeby z niego nie wyszedł. Na szczęście udało mi się wyrwać nadgarstek z jej uścisku i

uciec, a ona chyba nawet tego nie zauważyła. Sekundę później znalazłam się przed domem w pełnym słońcu weszłam do warsztatu Roba w stodole.

Podobnie jak odnowił dom, odnowił też stodołę. Teraz ściany obłożył drewnianymi panelami, więc w zimie trzymały ciepło, a latem mogła działać założona przez niego klimatyzacja. Znikły dziury w dachu nad belkami stropu, przez które zwykle wślizgiwały się ptaki, zniknęły też boksy dla koni - zostały usunięte, żeby zrobić miejsce dla stojaków z narzędziami i pneumatycznego podnośnika. Motocykle w trakcie renowacji stały w schludnych rzędach, a ten, nad którym Rob aktualnie pracował - Harley XLCH z 1975 - stał na stole pośrodku stodoły.

Kiedy weszłam, Rob tkwił przy zlewie, który zainstalował w głębi warsztatu, i w pierwszej chwili mnie nie zauważył. Powiedziałam:

- Rob? - Odwrócił się i zaczął coś mówić, a potem zauważył, co trzymam w ręku.

I wtedy natychmiast zamknął się w sobie jak małż. Znow się oparł o metalowy zlew, z ramionami założonymi na piersi. Doktor Phil powiedziałby, że taka mowa ciała sygnalizuje wrogość.

- Znalazłam to w pokoju Hannah - wyjaśniłam, kiedy podeszłam już do niego wystarczająco blisko, mniej więcej na półtora metra, żeby mówić w tej olbrzymiej stodole normalnym głosem i mieć pewność, że mnie usłyszy. - Ona... Ona mi wcześniej o tym mówiła, ale ja jej nie wierzyłam.

Rob spoglądał na album. Minę miał ostrożnie obojętną.

- Dlaczego nie chciałaś jej wierzyć? Czy to takie dziwne, że chcę mieć pamiątki po twoich osiągnięciach? Przecież to nie tak, że mogłem cię o nie spytać. Nie odzywałaś się do mnie, o ile pamiętasz.

Też popatrzyłam na album.

- Nie wszystko, co tu jest, pochodzi z czasów, kiedy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Rob rozplótł ramiona i wsunął dłonie w kieszenie dżinsów. Doktor Phil nazwałby to obronnym gestem.

- No dobra - powiedział wreszcie i wzruszył ramionami. - Tu mnie masz. Próbowałem o tobie nie myśleć, od tego dnia, kiedy dowiedziałem się, że jesteś ode mnie aż tyle młodsza. Próbowałem wybić sobie ciebie z głowy. Ale nie mogłem. W efekcie powstał ten album. Wiem, że to szaleństwo i dziwactwo. Wreszcie podniosłam wzrok.

- Moim zdaniem to nie jest szaleństwo - stwierdziłam. Usilnie próbowałam nie zastanawiać się nad tym, że skoro Hannah mówiła mi prawdę o tym albumie, to może prawdziwe są i te inne rzeczy, które mi powiedziała o Robie. Że ciągle jej opowiadał, jaka

jestem „światna, i dzielna, i bystra, i zabawna”. Naprawdę mówił o mnie takie rzeczy? Nadal uważał, że to prawda, kiedy zobaczył mnie znów po tak długim czasie?

Próbowałam też nie wspominać, co zaszło ostatnim razem, kiedy byliśmy tu sami. Fakt, tylko się trochę całowaliśmy, ale Rob zawsze fantastycznie umiał całować. Nie żebym miała duże doświadczenie i mogła go z kimś porównać. Mimo to nie mogłam nie wspominać, jak mi zawsze miękły kolana, kiedy czułam na ustach jego pocałunki.

- I nie uważam, że to dziwactwo - dodałam, kiedy on się nie odezwał. - No cóż, może to i trochę dziwne. Ja nigdy nie sądziłam, że aż tak mnie lubisz.

No bo właśnie to ta druga rzecz, która się wydarzyła w tej stodole. Powiedziałam mu, że go kocham. A on wcale nie był tym zachwycony.

Rob znów wzruszył ramionami.

- A co mogłem zrobić? - zapytał. - Wiesz, że miałem kuratora. A ty byłaś nieletnia. I to, co twoja mama ewidentnie myślała na mój temat... Nie mogłem ryzykować. Wydawało mi się, że lepiej będzie trzymać się od ciebie z daleka, póki nie skończysz osiemnastki.

- Ale nie poczekałeś - powiedziałam. Bez goryczy. Po pro stu stwierdziłam fakt. Bo tak było.

Najwyraźniej Rob się z tym nie zgadzał.

- Jak to, nie poczekałem? - spytał, wyjmując ręce z kieszeni i odsuwając się od zlewu.
- Co ty sobie... Jezus, Jess! Przecież totalnie czekałem. Nadal czekam.

Zamrugałam powiekami.

- Ale... Tamta dziewczyna...

- Chryste. Tylko nie to. - Rob miał taką minę, jakby chciał w coś uderzyć. Nie winiłam go za to. Sama miałam ochotę w coś walnąć. - Mówiłem ci. Nancy to moja klientka. Zawsze całuje mechaników. Bardzo się ucieszyła z tego...

- ...że jej naprawiłeś gaźnik - dokończyłam za niego znudzonym tonem. Chociaż wcale nie byłam znudzona. Udawałam znudzoną. Naprawdę chciało mi się płakać. Ale nie chciałam, żeby zobaczył moje łzy. - Mówiłeś to.

- Jak jasna cholera, mówiłem. Bo to była prawda. A gdybyś została dłużej, zamiast uciekać, pokazałbym ci...

Przerwał. Teraz nie miał już obronnej miny. Minę miał złą. Co go tak rozzłościło?

- Co byś mi pokazał? - spytałam, szczerze zdziwiona.

- To - powiedział Rob. Rozpostarł ramiona, pokazując odnowioną stodołę i motocykle czekające na renowację. - To wszystko. Dom, warsztat... To, że zacząłem studia. Jezus, Jess. Jak uważasz, dlaczego ja to wszystko zrobiłem? To znaczy, owszem, częściowo dla siebie.

Ale w dużym stopniu i po to, żeby udowodnić twoim rodzicom, a przynajmniej twojej matce, że nie jestem jakimś wałkoniem, który chce tylko odebrać cnotę jej córce czy gorzej, chce na tobie pasożytować. Zrobiłem to, żeby pozwoliła ci się ze mną spotykać. Żeby zrozumiała, że nie jestem bezwartościowym wieśniakiem.

Teraz zamrugałam powiekami, bo oczy miałam pełne łez i usiłowałam się ich pozbyć, żeby móc coś widzieć.

- Ty... - Trudno mi było mówić, bo coś mnie zaczęło dławić w gardle. - Ty to wszystko zrobisz... Dla mnie?

- Tak bardzo się cieszyłem, kiedy się dowiedziałem, że wracasz - powiedział Rob. - Spytaj, kogo chcesz. Wiedziałem, że straciłaś te swoje zdolności, wszyscy to wiedzieli. Ale nigdy bym nie pomyślał... Cholera, myślałem, że się z tego ucieszysz. Żadnej nagabującej cię prasy. Żadnej więcej pracy dla rządu. I skończyłaś osiemnaście lat... Pomyślałem, że nareszcie czeka ją nas dobre czasy. Wszystko to sobie zaplanowałem. Chciałem pokazać ci warsztat i dom, i zabrać cię do tej restauracji, o której mówił dzisiaj Doug, tej w Storey, i ci się oświadczyć. Tak, wiem, że teraz to brzmi śmiesznie. - Dodał to, jak sądzę, bo zobaczył, jak szeroko otworzyłam oczy przy słowie „oświadczyć”. - Ale to pokazuje, jak bardzo się łudziłem. Miałem zamiar ci to dać...

Pogrzebał w kieszeni džinsów i wyjął złoty pierścionek. Nie widziałam go zbyt wyraźnie z miejsca, w którym stałam, przez te łzy. Ale wydało mi się, że widzę błysk brylantu.

Może pomyślał, że go nie widzę. Bo zanim się zorientowałam, dość szorstkim gestem podał mi go. Czy prawie nim we mnie rzucił, zależy jak na to spojrzeć. Dobrze, że zawsze miałam taki szybki refleks.

- Należał do mojej babci. Jest w rodzinie od lat - ciągnął Rob tym samym, na wpół rozbawionym, na wpół gniewnym tonem. - Ja wiem, że to szaleństwo. Ale pomyślałem, że jeśli twoi rodzice zobaczą, jak poważnie cię traktuję, nie będą mieli nic przeciwko temu, żebyśmy się pobrali, kiedy skończysz studia, czy coś. Ale zamiast tego ty się pojawiłaś nie wiadomo skąd, zobaczyłaś coś, co źle rozumiałaś, i nie chciałaś mnie słuchać, choć starałem się wszystko ci wytłumaczyć. A potem po prostu zawinęłaś się i wyjechałaś z miasta. A ja zrozumiałem, że...

- Że mnie jednak wcale nie kochałeś? - dokończyłam za niego obronnym tonem. Uważam to za całkiem odważne z mojej strony, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo miałam ochotę uciec z tego pomieszczenia z płaczem. Sam fakt, że zostałam, to już moje spore osiągnięcie. A przynajmniej dla tej mojej nowej, niereagującej agresją wersji.

Spojrzenie, jakie mi rzucił, był o pełne litości.

- Nie - powiedział o wiele łagodniejszym głosem. - Już ci mówiłem. Że jesteś psychicznie poharatana. Że potrzebujesz... No cóż, czegoś, czego ja najwyraźniej nie byłem w stanie ci dać.

Położyłam album na stole obok motoru, nad którym pracował Rob. Na pierścionek nie spojrzałam.

Ale też nie wypuściłam go z ręki.

- Nie wiedziałam, czego potrzebuję - powiedziałam cicho. - Wtedy.

- A teraz wiesz? - spytał Rob. - Czy możesz mi spojrzeć w oczy, Jess, i powiedzieć, że nareszcie wiesz, czego potrzebujesz? Albo po prostu chcesz?

Ciebie. Każdy miesiąc, każda kropelka krwi w moim ciele chciała wykrzyknąć to słowo. Ale nie mogłam powiedzieć tego głośno. Jeszcze nie. Bo co, gdybym to opowiedziała, a okazało by się, że nie to chciał usłyszeć? Bo nikt nie chce kogoś, kto jest poharatany psychicznie.

Trwało to jakąś chwilę. A potem Rob przestał patrzeć mi prosto w oczy i opuścił wzrok.

- Tak sądziłem - powiedział. I obrócił się w stronę zlewu. Rozmowa się skończyła. Oślepią łzami, mimo to jakoś zdołałam trafić do drzwi stodoły. Dopiero wtedy obejrzałam się za siebie jeden, ostatni raz i wypowiedziałam jego imię.

Rob nie spojrział na mnie. Ale powiedział w stronę ściany na wprost siebie:

- Co?

- Atak w ogóle, to co zrobiłeś - spytałam - że zasłużyłeś na tego kuratora?

Opuścił głowę.

- Teraz cię to interesuje?!

- Tak - potwierdziłam. - Interesuje.

- To było naprawdę głupie - podsumował.

- To mi powiedz. Po tych wszystkich latach chyba zasługuję, żeby wiedzieć.

- Bezprawne wtargnięcie - rzekł, nadal zwracając się w stronę zlewu. - Paru facetów i ja pomyśleliśmy, że byłoby fajnie przejść przez płot miejskiego basenu i popływać o północy. Ale policjanci, którzy przyszli nas aresztować, wcale nie uważali, że to taki zabawny pomysł.

Stałam i gapiłam się na jego plecy. Ale wcale nie miałam ochoty się roześmiać, chociaż miał rację - to było naprawdę głupie. Aż tak głupie, że zrozumiałam, dlaczego mi nigdy nie powiedział. Przez cały czas sądziłam, że on zrobił coś... No cóż, naprawdę lekkomyślnego, a nawet niebezpiecznego.

A on po prostu poszedł popływać na basen, który był zamknięty.

Ale i tak nie mogłam się roześmiać. Bo byłam całkiem pewna, że mi złamał serce.

Znowu.

Wiec zamiast tego weszłam do domu i zapytałam Chicka, czy może mnie odwiedzić do domu.

A on się zgodził.

Dopiero kiedy wysiadłam z furgonetki Chicka, zdałam sobie sprawę, że nadal ściskam ten pierścionek. Pierścionek babci Roba.

A to znaczyło, że znów będę musiała się z nim zobaczyć. Żeby go oddać. Chyba że postąpię tchórzliwie i dam go Douglowi sowi z prośbą o przekazanie.

I prawie już się zdecydowałam, że tak właśnie zrobię. Więc trochę dziwnie się poczułam, kiedy postawiłam nogę na frontowym stopniu naszej werandy i dokładnie w tej chwili na podjazd wjechał jasnożółty džip, zatrzymując się tak gwałtownie, że uderzył w pojemnik na śmieci przy krawężniku. Za kierownicą zobaczyłam ogromnie podekscytowaną Tashę. Na siedzeniu pasażera siedział równie podekscytowany Douglas.

Ale nie siedzieli tam długo. Kiedy tylko Tasha zahamowała, Douglas wyskoczył z džipa i runął w stronę schodów werandy.

- To ty, prawda? - spytał niecierpliwie. - To twoja robota. Ty to załatwiłaś!

- Niech zgadnę - powiedziałam, siadając na stopniu. - Pan Whitehead zajrzał z ciekawością.

- Jess! - Douglasowi lśniły oczy. Tasha, która podbiegła do nas, była nie mniej poruszona.

- Ty nie masz pojęcia, co zrobiłaś. Ty nie wiesz, ty sobie nawet nie wyobrażasz, jaka to wielka sprawa.

- No cóż. Chyba zaczynam się orientować. Tasha, w życiu nie widziałam, żeby ktoś gorzej parkował.

- Nareszcie - rzekł Douglas, ignorując mój przytyk pod adresem umiejętności jego dziewczyny jako kierowcy, i usiadł na schodach obok mnie. - Będziemy mieli w tym mieście szkołę, którą pokochają i rodzice, i dzieci. Szkołę, która nie jest bez nadziejna. Taką szkołę, z której naprawdę można być dumnym.

- Właśnie - powiedziała Tasha, siadając obok Douglasa, ale patrząc na mnie. - Taką szkołę, w której ktoś taki jak ty chciałby po studiach pracować, Jess.

Popatrzyłam na nich oboje, osłupiała.

- Co? Uczyć? Ja?!

- Jasne - potwierdził Douglas. A potem, widząc moją minę, roześmiał się. - No cóż, Jess, to wcale nie jest takie bez sensu. Zastanów się nad tym. Czy nie to właśnie robiłaś latem z Rum?

- Owszem, ale...

- Zawsze uważałam, że z dziećmiakami radzisz sobie świetnie, Jess - oświadczyła Tasha. - A nam będzie potrzebny nauczyciel muzyki. Byłoby cudownie, gdybyś to mogła być ty.

Popatrzyłam na nich oboje.

- Ja nie jestem w Juilliard po to, żeby się kształcić na nauczyciela muzyki - wyjaśniłam. - Jestem tam po to, żeby zostać zawodowym muzykiem.

- Ale czy ty tego właśnie chcesz, Jess? - spytała Tasha. Zobaczyłam, że wymieniają z Douglasem szybkie spojrzenia. - Grać w orkiestrze? Podróżować? Być muzykiem koncertowym?

Popatrzyłam na nią, mrugając oczami. Czy rzeczywiście tego chciałam? Naprawdę to nie. Wcale tego nie chciałam. Chciałam... Chciałam...

Dlaczego wszyscy wypytywali mnie, czego chcę, zupełnie jakbym miała jakiś obowiązek to wiedzieć?!

- Nie musisz mówić nam tego teraz - rzekł Douglas, kładąc mi dłoń na ramieniu. - To znaczy i tak musiałabyś poczekać, aż dostaniesz uprawnienia nauczycielskie, zanim mogłabyś zacząć. Ale jeśli zdecydujesz, że chciałabyś do nas przyjść pracować, to zawsze miejsce będzie na ciebie czekało, Jess. Zarobki nie będą wygórowane, ale obiecuję ci, że na życie starczy. I na benzynę do Błękitnej Księżniczki.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Nie mogłam nie odwzajemnić tego uśmiechu. Jego entuzjazm był zaraźliwy.

Co za ironia, że właśnie ten moment wybrała mama, żeby podjechać pod dom.

- Och! - jęknęła Tasha, wstając z zaniepokojoną miną. - Zablokowałam wyjazd.

Ale mama już zaparkowała przy ulicy. Nawet chyba nie zauważyła Tashy ani jej dżipa. Ani Douglasa. Całą swoją uwagę skupiła na mnie.

Akurat tego potrzebowałam w tej chwili najmniej.

- Jessica - odezwała się, zanim jeszcze weszła na werandę.

- Co właściwie miało to wszystko znaczyć dziś rano? Odjechałaś stąd i to bez jednego słowa przeprosin wobec tej biednej Karen Sue. Rozumiem, że wypadły ci jakieś inne sprawy zamiast tego śniadania z nią, wierz mi, całe miasto mówi o tym, co dziś rano zrobiłaś. Ale nie mogłaś przynajmniej powiedzieć przepaszam i umówić się na jakiś inny termin?

- Mamo - rzekł Douglas, wstając. - Ty nigdy nie uwierzysz, co Jess zrobiła. Ona...

- Słyszałam już wszystko o tym, co zrobiła twoja siostra - powiedziała mama. Weszła już na nasze podwórze i zauważyła przesunięty przez Tashę pojemnik na śmieci. Zaczęła go

ciągnąć w stronę garażu. - To bardzo ładnie, Jessico, że rozwalilaś szajkę producentów porno. Jak rozumiem, ten chłopak, Wilkins, pomógł ci w tym. Czemu nie jestem zdziwiona?

- Mamo. - Douglas spojrział na nią z gniewem. - Jessica zmusiła pana Whiteheada, żeby przeznaczył trzy miliony dola rów na...

- Bardzo cię przepraszam, Douglasie - powiedziała mama, piorunując go wzrokiem. - Ale rozmawiam teraz z Jessica. No cóż? - Otarła dłonie o nogawki dżinsów. - Co masz na swoje usprawiedliwienie? Bo ja tu musiałam stać i pocieszać Karen, która się prawie popłakała, tak, popłakała, przez to, jak ją dziś rano potraktowałaś. Ja rozumiem, że może miałaś jakieś pilniejsze sprawy... - Oczy mamy zmrużyły się za przeciwsłoneczny mi okularami, kiedy spojrzała na werandę. - Co się z tobą dzieje, Jessico? Wyglądasz jakoś... inaczej.

Może dlatego, że właśnie w tej chwili miałam autentyczną ochotę ją zabić.

- Mamuś - powiedział Douglas. - Ona...

- Nie mów do mnie mamuś - odparła mama odruchowo. - Jessica, co się tu tak naprawdę dzieje? Pojawiasz się bez zapowiedzi i zanim się człowiek połapie, już jesteś zaplątana w jakiś skandal związany z nastolatkami uciekającymi z domu i pornografią. Powinnaś była widzieć minę pani Leskowski, kiedy podeszła do mnie przed chwilą w Kroger, żeby mi o tym wszystko opowiedzieć. Ależ to nieczuła kobieta. Myślałby kto, że jej zdaniem nikt z nas nie pamięta, co kiedyś zrobił Mark...

Nagle mama zerwała przeciwsłoneczne okulary, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

- Jessico. Czy odzyskałaś swoje parapsychiczne moce?! O kurczę.

- Muszę iść - oświadczyłam, wstając. Bo nagle poczułam przemożną potrzebę przejechania się na moim motorze.

- Czekaj - powiedziała mama. - Jessico. Odzyskałaś? Czy nie? Och, Jessico.

- Daj spokój, mamu - rzekł rozzłoszczony Douglas. - Posłuchaj naszych nowin. Chcesz usłyszeć o czymś naprawdę fajnym? Zmusiła Randy'ego Whiteheada, żeby przekazał nam trzy miliony...

- Dlaczego ty mi nie chcesz powiedzieć, Jessico? - spytała mama, ignorując Douglasa. - Czy doktor Krantz wie?

Otworzyłam oczy szerzej.

- Boże, mam nadzieję, że nie.

- No cóż, Jessico. Będziesz musiała mu powiedzieć. No bo są ludzie, których nadal na pewno trzeba będzie...

- Mamo! - Popatrzyłam na nią. W głowie mi się to nie mieściło. Naprawdę. Byłam tak wytrącona z równowagi, że odruchowo wsuwałam i zsuwałam pierścionek babci Roba na środkowy palec lewej dłoni. A potem stwierdziłam, że lepiej go już włożę, żeby go nie zgubić. Przecież będę musiała mu go zwrócić. - Nie możesz mieć wszystkiego - stwierdziłam, schodząc ze stopni werandy i idąc po moją Błękitną Księżniczkę. - Nie możesz mieć normalnej córki, takiej jak Karen Sue, a jednocześnie obdarzonej takimi zdolnościami, jakie mam ja. Musisz coś wybrać. Musisz zdecydować, co wolisz.

Bo dokładnie to, jestem pewna, znaczyło dla mamy moje stypendium do Juilliard. Że jestem normalna. Bo właśnie tego zawsze chciała - normalnej córki, przypominającej Karen Sue Hankey. Anie takiej, która nie chciała nosić sukienek, uwielbiała motocykle i potrafiła we śnie odnajdywać zaginionych ludzi.

No cóż, jej życzenie się spełniło. Przez cały zeszły rok byłam normalną córką, której mama zawsze pragnęła. Ale już dość. Starczy mi już tej normalności.

Czy ona będzie umiała się z tym uporać?

A ja?

- Jessico - powiedziała mama, zastępując mi drogę. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Mówię tylko, że może gdybyś chociaż raz wspierała mnie w tym, co robię, poza tym, że studiuję w Juilliard, to może wyro słabym na kogoś bardziej przypominającego córkę, jaką chcesz mieć.

Mama bardzo wysoko uniosła brwi.

- O czym ty mówisz? - spytała: - Przecież wiesz, że ojciec i ja zawsze cię wspieraliśmy we wszystkim, co robiłaś...

- W sprawie Roba nie. Mama była zaszokowana.

- A więc o to chodzi w tym wszystkim? O tego chłopaka? W głowie mi się nie mieści, że w ogóle myślisz o tym, żeby mu dać drugą szansę po tym, jak cię potraktował...

- Traktował mnie tak, a nie inaczej przez ciebie, mamo. Przez te twoje głupie gadki o gwałcie na nieletniej. Totalnie go zastraszyłaś...

- I cieszę się z tego - powiedziała mama z oburzeniem. - Jessico, ja wiem, że ty zawsze miałaś problemy z poczuciem własnej wartości, ale wierz mi, możesz trafić o wiele lepiej niż na jakiegoś prostego mechanika z kryminalną przeszłością.

- On kiedyś pływał na miejskim basenie po jego zamknięciu, mamciu. Za to właśnie dostał nadzór kuratorski. Za bezprawne wtargnięcie na basen.

Usłyszałam, że za moimi plecami Douglas wybucha śmiechem.

- Naprawdę? - zapytał. - To dlatego podpadł? Obróciłam się gwałtownie na pięcie w jego stronę.

- To nie jest śmieszne! - wrzasnęłam. Chociaż, oczywiście, w normalnych warunkach uznałabym, że to przekomiczne. Tyle lat zastanawiania się i zamartwiania, i o co? O to, że sobie o północy popływał w basenie.

Znów obróciłam się w stronę mamy. Ale zanim zdążyłam powiedzieć słowo, ona się odezwała:

- Gdyby cię naprawdę kochał, Jessico, toby na ciebie czekał. A to, że uciekł tylko dlatego, że powiedziałam mu parę słów... No cóż, to go w jakiś sposób określa, nieprawdaż?

- Tak. Pokazuje, że kochał mnie na tyle, żeby uszanować życzenia moich rodziców. A czy ty masz pojęcie, co robił, kiedy czekał, aż skończę osiemnaście lat, mamciu?

- Już wam tyle razy mówiłam - powiedziała z irytacją. - Nie zwracajcie się do mnie „mamciu”.

- Zainwestował pieniądze we własną firmę - ciągnęłam, ignorując jej słowa. - I kupił dom. Prawdopodobnie zarabia ponad sto tysięcy dolarów rocznie, odnawiając stare motocykle, które sprzedaje bogaczom z pokolenia wyżu demograficznego, a jednocześnie studiuje wieczorowo. I co powiesz na to wszystko, mamciu?

- Że moim zdaniem - rzekła mama, zaciskając wargi w wąską linijkę - zapominasz o jednej bardzo ważnej sprawie.

- Jakiej?

- Że go widziałaś, jak się całował z inną dziewczyną. Nigdy nie widziałaś, żeby robił to Skip, prawda?

- Ale to tylko dlatego, że żadna dziewczyna nie pozwoli się pocałować Skipowi - stwierdził Douglas, na co Tasha zaczęła śmiać się tak gwałtownie, że musiała zatkać sobie usta dłonią, żeby ten śmiech zdusić.

Wyprowadziłam motor z garażu i nogą w bucie do jazdy kopnęłam w drzwi, żeby je zamknąć.

- A dokąd ty się wybierasz? - zapytała mama. - Czekał, nie mów mi. Jedziesz zobaczyć się z nim, prawda?

- Nie - odpowiedziałam, wkładając kask. - Zamierzam uciec przed tobą.

I przegazowałam motor parę razy więcej, niż to było bez względu konieczne, żeby tylko nie słyszeć, co jeszcze mama miała mi do powiedzenia. I odjechałam.

- Ruth? - Głos po drugiej stronie linii był zaspany.

- Jess? To ty? Boże, która godzina? Popatrzyłam na budzik na stoliku przy moim łóżku.

- Ups. Pierwsza w nocy. Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Obudziłam cię?

- Tak, obudziłaś mnie. - Ruth mówiła głosem już mniej zaspanym, ale za to bardziej zaniepokojonym. - Co się stało?

- Nic złego - oświadczyłam. Trzymałam komórkę blisko przy uchu i patrzyłam w sufit sypialni, w której zgasiłam już światło na noc. Po wieczorze spędzonym na bezcelowej jeździe po okolicy - a potem powrocie do domu, gdzie mama siedziała naburmuszona w swoim pokoju, a taty nie było, bo do późna pracował w restauracji - zabawiałam się oglądaniem w telewizji programów o odnawianiu mieszkań.

Ale one wszystkie przypominały mi o Robie, który o wiele lepiej poradził sobie z odnowieniem swojego domu niż któryś z tych ludzi w telewizji.

- To znaczy nic specjalnie złego - powiedziałam do Ruth.

- Ja tylko... Naprawdę potrzebuję z tobą porozmawiać. Moim zdaniem... Moim zdaniem zrobiłam coś naprawdę głupiego.

- A co zrobiłaś? - zapytała Ruth przerażonym tonem.

- Chyba... Rob mi się chyba oświadczył, a ja tak jakoś... wzięłam i wyszłam.

- Rob ci się chyba oświadczył? - Można było wyczuć, że Ruth usiadła na łóżku, bo głos miała od razu przytomniejszy.

- Jak to, chyba ci się oświadczył? Dał ci pierścionek? Popatrzyłam na pierścionek babci Roba, który nadal miałam na palcu lewej dłoni. W pokoju był o ciemno, ale i tak widziałam brylant, dookoła którego osadzono mniejsze brylanciki w takich zakrętach ze złota. Założę się, że Karen Sue Hankey wiedziałaby, jak się nazywają te złote zakrętasy.

- No cóż - mruknęłam. - Tak. Ale...

- O jasny gwint! - zawołała Ruth. - On się oświadczył! I to wtedy jakiś męski głos, gdzieś bardzo blisko Ruth odezwał się w tle:

- Co zrobił? Przysięgłabym, że to głos Mike'a.

- Ruth? - spytałam w ciszy, która potem zapadła. - Czy to był...

- To Skip - powiedziała szybko Ruth. - Przyszedł tu zobaczyć, z kim rozmawiam.

- Doprawdy? Bo to zabrzmiało tak, jakby był z tobą w łóżku. I przypominało raczej...

- Nie mogę uwierzyć, że Rob się oświadczył! - przerwała mi Ruth. - To niesamowite, Jess! Naprawdę!

- Tak, ale właśnie w tym problem. On się tak naprawdę nie oświadczył. Powiedział mi, że miał zamiar oświadczyć mi się, kiedy wróciłam z Afganistanu. Ale wtedy... no cóż, sama wiesz.

- Zobaczyłaś go z Panną - Cycki - Jak - Twoja - Głowa?

- Właśnie. I chyba uznał, że lepiej będzie pozwolić mi uporać się samej z tym wszystkim, przez co jego zdaniem wtedy przechodziłam.

- Co, patrząc z perspektywy czasu, wcale nie było takim złym pomysłem, Jess. Sama przyznasz, że nieźle byłaś wtedy zakręcona.

Nie po to do niej zadzwoniłam, żeby tego słuchać.

- A gdzie się podział „facet, który pozwolił ci odejść wtedy, kiedy go potrzebowałaś najbardziej”? - spytałam z oburzeniem. - Nagle stajesz po jego stronie?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Ruth. - Ale popatrz, jak się to wszystko skończyło. Jesteś w o wiele lepszej formie. A on dał ci pierścionelek. Co znaczy, że musi nadal chcieć. To znaczy, ożenić się z tobą.

- Nie jestem pewna. On nie tyle dał mi ten pierścionelek, co nim we mnie cisnął. A ja jakoś tak go złapałam w rękę. Chodzi o to Ruth... - I nagle cała ta historia zaczęła się ze mnie wręcz wylewać. O Hannah i Randym, i o kasetach wideo, i o albumie, i o tych rzeczach, które Rob powiedział mi po południu. Wszystko.

A kiedy skończyłam, Ruth powiedziała:

- No cóż, to oczywiste, że on się nadal w tobie kocha. Pyta nie tylko, czy ty kochasz jego? To znaczy, przyjąłabyś go z powrotem? Mimo tej Panny - Z - Cyckami - Jak - Twoja - Głowa?

Musiałam się nad tym zastanowić.

- To nie tak, że ona nadal jest gdzieś w tle - mówiłam po woli. - No i właściwie wtedy nie byliśmy ze sobą... W pewnym sensie. Problem w tym, że ja nawet nie wiem, czy on by mnie z powrotem przyjął. No wiesz, gdybym mu to zaproponowała.

- Dał ci pierścionelek.

- On nim we mnie rzucił.

- To czemu go nie zapytasz?

- Co? Mam tak do niego iść i powiedzieć: „Hej, to jak, nadal chcesz się ze mną ożenić?”

- Pewnie. Dlaczego by nie? Wpatrzyłam się w sufit.

- A co, jeśli on odmówi? Co, jeśli on nadal uważa, że jestem... - Z trudem wykrztusiłam: - Poharatana psychicznie?

- To wtedy oddasz mu pierścionek, powiesz *sayonara* i wskoczysz w pierwszy samolot powrotny do domu, a ja ci znajdę totalnie seksownego, nowego faceta, który w pełni doceni, jaką wspaniałą jesteś dziewczyną.

- Powiedz jej, że jeśli będzie chciała, to go spierzemy - szepnął męski głos gdzieś bardzo blisko Ruth. Jego właściciel był najwyraźniej przekonany, że go nie usłyszę.

Ale usłyszałam.

I tym razem wiedziałam na pewno, że to nie Skip.

- Ruth! Dlaczego mój brat Mike jest w twoim łóżku?!

- Cholera - mruknęła Ruth. A potem, najwyraźniej do Mike'a dodała: - Mówiłam, że ona cię usłyszy.

- Cześć, Jess! - zawołał gdzieś w tle Mike.

- O mój Boże. - Usiadłam na łóżku, pewna, że zacznę hiperwentylować. To nie tak, że ja nie widziałam, co się szykuje, ale to po prostu... Po prostu...

Obrzydlistwo.

- W głowie mi się nie mieści, że wyjeżdżam zaledwie na dwa dni - powiedziałam z niesmakiem - a wy ód razu wskakujecie razem do łóżka.

- Jess - powiedziała Ruth, nadal tym zaniepokojonym tonem. - To nie tak. Naprawdę. Ja... Ja...

- O Boże - jęknęłam. - Jeśli powiesz, że kochasz mojego brata, to ja się porzygam. Serio.

- No cóż, to prawda - oświadczyła Ruth. - Chyba zawsze tak było...

I chociaż to był a prawda, nie chciałam więcej słuchać.

- Daj mi Mike'a do telefonu - poprosiłam. - Ale Jess...

- Daj mi go. Sekundę później Mike'a mówił do mnie głębokim głosem:

- Jess, to nie tak, jak myślisz. Ja naprawdę...

- Jeśli jej złamiesz serce - pogroziłam mu - to ja ci przestawię nos. Zrozumiano?

Mike osłupiał.

- A nie to samo powiedziałaś do Tashy o Douglassie? - Tak.

- No to powinnaś powiedzieć to Ruth, a nie mnie?

- Nie, bo w tym przypadku jestem lojalna wobec Ruth, nie wobec ciebie.

- Wielkie dzięki - rzekł Mike sarkastycznie.

- To moja najlepsza przyjaciółka - wyjaśniłam. - A ty jesteś tylko moim bratem.

- Tak się składa - powiedział Mike - że ją kocham.

- O Boże. - Nachos, które podgrzałam sobie w mikrofalówce na kolację, nieco mi podeszły do gardła. - Robi mi się niedobrze. Dosłownie. Daj mi Ruth do telefonu.

- Czy Rob naprawdę się oświadczył?

- Daj mi Ruth do telefonu. - I co mu odpowiesz? Zgodzisz się? A jeśli się zgodzisz, to zostaniesz w Indianie?

- A co? - spytałam, chociaż nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć.

- Bo jeśli zostaniesz w Indianie, to ja mógłbym wprowadzić się do Ruth. Kiedy już się przeniosę na Columbię.

- Zmieniasz uczelnię dla dziewczyny? Znowu? Zapomniałeś, co się stało ostatnim razem, kiedy to zrobiłeś?

- Zamknij się, Jess - rzucił Mike. - Tym razem jest inaczej.

- Lepiej niech tak będzie. Bo jak spieprzysz tym razem, to ja cię...

- Zabiję. Tak, wszystko jasne, dzięki. A więc? Co zamierzasz zrobić?

- Jeśli jeszcze jedna osoba mnie o to zapyta... - zaczęłam ostrzegawczym tonem. A potem przerwałam, uderzona pewną myślą. - Hej, a tak w ogóle, gdzie jest Skip? Co on myśli o tym, że zamieniliście to mieszkanie w jaskinię grzechu? Jak reaguje na to, co robisz z jego siostrą?

- Skip jest w Jersey Shore - wyjaśnił Mike. - Z jakąś dziewczyną, którą.

- Dobra, starczy już tego o Skipie - zdecydowała Ruth, która najwyraźniej wyrwała telefon z ręki mojego brata. - Kiedy wracasz do domu? I czy w ogóle wracasz?

- Nie wiem - powiedziałam, zagryzając dolną wargę. Nie wspominałam jej o tym, że Douglas, zaproponował mi pracę nauczycielki w tym jego nowym alternatywnym liceum. Bo nie byłam pewna, czy zostanę w mieście, wiedząc, że Rob też tu mieszka, i nie będąc z nim razem.

Zupełnie jakby to ona była obdarzona siłami parapsychicznymi, a nie ja, Ruth powiedziała:

- Jess. Po prostu go zapytaj. Dobra? A teraz idź spać. I się rozłączyła.

Siedziałam tam i gapiłam się, mrugając oczami, na swoją komórkę. A potem odłożyłam ją delikatnie na nocny stolik i rzuciłam się z powrotem na poduszki. Jak to jest, myślałam, że wszyscy nasi znajomi mają kogoś, a ja nie? Co robię nie tak? Jak mi się udało tak totalnie wszystko popsuć?

I właśnie w tym momencie w wykuszowe okno mojej sypialni posypał się grad małych kamyków. Nie dość mocno, żeby wybić szybę, ale na tyle, żeby ich grzechotem nie obudził...

...to znaczy, gdybym rzeczywiście spała.

Tylko jedna osoba kiedykolwiek rzucała kamykami w moje okno. Ta sama, która wcześniej dzisiejszego dnia rzuciła we mnie zaręczynowym pierścieniem.

Odrzuciłam koc, podeszłam do najbliższego okna i wyjrzałam na zewnątrz, nie śmiejąc nawet oczekiwać, że to rzeczywiście będzie on.

Ale to był on. Stał w świetle księżycy, w dzinsach i czarnej tiszertce, właśnie zamierzając się ramieniem, żeby rzucić w okno kolejną porcję kamyków. Szybko otworzyłam okno i siatkę, wychyliłam się i szepnęłam:

- Zaczekaj, zejść za sekundę. A potem złapałam bawełniany szlafrok, który wrzuciłam do swojej torby podróżnej, pakując się błyskawicznie na przyjazd tutaj, i zarzuciłam go na swoją koszulkę bez rękawów i bokserki. Pożałowałam, że w przeciwieństwie do Ruth, nie zastanawiałam się za wiele nad swoją bielizną i nie kupiłam sobie do spania czegoś seksowniejszego, takiego jak jej słodkie koszulki bez rękawów w komplecie z szortami, które mój brat Mike w tej chwili... Ugh, to zbyt obrzydliwe, żeby o tym myśleć.

Poza tym Rob nie pojawił się tu, byłam pewna, że względu na żadne romantyczne uczucia, jakie mógł do mnie żywić. Prawdopodobnie jego siostra znów uciekła.

A może po prostu chciał, żebym mu zwróciła pierścionek.

Na tę myśl przystanąłam w połowie schodów.

No tak. Pewnie chciał odebrać pierścionek.

Zatkało mnie na moment.

Z sercem tak idiotycznie walącym, że aż słyszałam je w uszach, zeszłam cicho po schodach na sam dół. Dom był pogrążony w ciemnościach. Oboje rodzice spali. Tylko Chigger nie spał. Zlazł z kanapy w salonie - tej, na której mama zabraniała mu spać, więc robił to tylko wtedy, kiedy nie patrzyła - i pod szedł do drzwi, przywitać się ze mną.

- Siad - szepnęłam, cicho otwierając zamek u drzwi. - Zostań. Pies nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Polizał mnie po ręce, a potem wrócił cicho do salonu i wskoczył na sofę. I tyle tej znajomości piętnastu komend.

Otworzyłam siatkowe drzwi i wysunęłam się na werandę. Rob już tam czekał w cieniu pod dachem. Księżyc miał za plecami, więc nie widziałam jego oczu. Z miejsca, gdzie stałam, były tylko dwoma plamami mroku.

Ale widziałam to miejsce na jego szyi, gdzie bije puls. Tak się złożyło, że promień księżycy oświetlał je dokładnie.

I zobaczyłam, że puls ma niemal tak szybki jak ja.

- Cześć - szepnęłam. To było takie zwyczajne „cześć”. Może trochę pytające „cześć”. Ale nie żadne „Cześć, miło cię widzieć”. Już bardziej: „Cześć, co się dzieje?” Jakbym wiedziała.

- Mają teraz taki nowy wynalazek - powiedziałam. - Nazywa się telefon komórkowy. Teraz możesz dzwonić do ludzi w środku nocy, jeśli masz taką potrzebę, zamiast rzucać kamykami w ich okna.

A Rob na to:

- Nigdy mi nie dałaś numeru swojej komórki.

- Och! - No cóż, nigdy też nie mówiłam, że nie jestem idiotką.

I nagle już wiedziałam. Wiedziała, po co tu przyjechał. I że to nie miało nic wspólnego z jego siostrą.

Zimny, okropny strach chwycił mnie za serce. Przekonałam się, że lewą dłoń chowam za plecami. Bo wtedy zrozumiałam, Zrozumiałam, że nie oddam mu tego pierścionka. Po moim trupie. Nigdy w życiu nie nosiłam żadnego pierścionka - raczej nie jestem dziewczyną, która lubi biżuterię. Ale do noszenia tego pierścionka przyzwyczaiałam się i to szybko. Nie byłam gotowa, żeby z niego zrezygnować. Nie chciałam z niego zrezygnować. I zrozumiałam, właśnie tam, na werandzie, że tego nie zrobię. Postanowiłam natomiast zrobić to, co kazała mi Ruth.

Miałam zamiar go zapytać.

Chyba że nie będę musiała. Bo gdyby wyciągnął dłoń i po wiedział: „Oddawaj to”, miałabym dość wyraźną wskazówkę, że odpowiedź byłaby odmowna.

- Zgubiłeś coś? - zapytałam go, nadal trzymając rękę za plecami. - Coś jeszcze poza siostrą? Czy dlatego tu jesteś?

Przez jego twarz przemknęło coś dziwnego. Nie umiałabym powiedzieć, co to był o, bo wciąż nie widziałam go wyraźnie w tym mroku. Ale wydało mi się, że nie ma już tak napiętych ramion.

- Siostra wyjechała dziś po południu - wyjaśnił. - Ze swoją matką. A przedtem siedziała na komisariacie policji przez milion godzin. To nie Hannah zgubiłem.

Uniosłam lewą rękę.

- To może zgubiłeś to? Wciągnął powietrze w płuca.

- Ty go masz? Boże, myślałem, że oszaleję, wszędzie go szukałem.

- I nie mogłeś poczekać do rana? - spytałam. - Musiałeś przyjechać po niego teraz, w środku nocy?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że to ty go wzięłaś. Aż do niedawna. A potem...

Urwał. Nadal nie widziałam jego twarzy zbyt wyraźnie. Ale widziałam, że raczej się nie uśmiecha.

- potem co? - spytałam.

- Musiałem się dowiedzieć - rzekł wreszcie i wzruszył ramionami. - Czy go zabrałaś. No cóż, zresztą nie tyle: „czy”, co: „dlaczego”.

Serce nadal mi waliło tak, że aż mi dzwoniło w uszach. Podeszłam do niego o krok. Wiedziałam, że promienie księżyca jasno oświetlają mi twarz. Ale był o mi wszystko jedno, co na mojej twarzy zobaczy.

- I jak sądzisz, dlaczego? - zapytałam, unosząc głowę.

- Nie wiem, co mam myśleć - przyznał Rob. - Jadąc tu, przez cały czas myślałem, że chyba zwariowałem. No bo dlaczego miałaś brać ten pierścionek? Chyba że...

Podszedł do mnie jeszcze o krok. Nadal trzymałam przed sobą lewą dłoń. Promień księżyca padł na oczko pierścionka i sprawił, że brylant zaiskrzył niesamowicie.

- Jess - powiedział Rob dziwnym tonem. - Co ty wyrabiasz?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. - Bo naprawdę nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że w gardle mam kompletnie sucho i że serce wyczynia mi dziwne akrobacje w piersi. Zdaje się, że tańczyło poleczkę. - Ale jesteś chyba setną osobą, która mnie dzisiaj o to pyta. Chcesz go z powrotem?

- Jeśli nie masz zamiaru za mnie wychodzić... - zaczął Rob. Zdawał się nieco zbity z tropu. Nie miałam mu tego za złe. - Wtedy tak, chcę go z powrotem.

- A jeśli mam zamiar? - zapytałam go, chociaż trochę trudno mi było mówić, biorąc pod uwagę, że właśnie straciłam zdolność do oddychania.

- Zamiar co? I wtedy Rob podszedł kolejny krok, wychodząc z cienia pod dachem werandy. I chociaż nadal stał plecami do księżyca, zobaczyłam jego oczy.

- Jess - rzekł ostrzegawczo. Więc wzięłam jak najgłębszy oddech - dziwne, że w ogóle jeszcze mogłam zaczerpnąć powietrza - sięgnęłam i złapałam garścią jego koszulę, pociągnęłam go dwa stopnie wyżej i po wiedziałam, mając twarz zaledwie o parę centymetrów od jego twarzy.

- Rob. Ożenisz się ze mną? Spojrzał na mnie spojrzeniem bez wyrazu.

- Oszalałaś - powiedział.

- Mówię poważnie - oświadczyłam. Co dziwne, w tej samej chwili, w której to powiedziałam, przestało mi tak dziwnie dzwonić w uszach. I znów mogłam oddychać. Naprawdę mogłam oddychać. - Byłam idiotką. Musiałam się uporać z masą budżetów. I chyba już mi się to udało. Przynajmniej z większością. Oczywiście muszę skończyć szkołę i ty też, i tak dalej. Ale kiedy już skończymy studia, uważam, że powinniśmy to zrobić.

Jeszcze nigdy nie widziałam u Roba tak poważnej miny.

- A co z twoją mamą? zapytał.

- W razie gdybyś nie zauważył, jestem pełnoletnia - stwierdziłam. - Poza tym upora się z tym. No to jak, wchodzisz w to?

Przyznam, że nie było mi jednak łatwo oddychać, kiedy czekałam na jego odpowiedź.

Więc dobrze, że powiedział:

- Wchodzę - zanim z braku tlenu osunęłam się, jak stałam, na werandę.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

- Super - powiedziałam.

A potem, jakby nigdy nic, zaczęliśmy się całować. No cóż, może nie tak jakby nigdy nic. Może miałam z tym coś wspólnego, bo wspięłam się na palce i zarzuciłam mu ręce na szyję.

A już zdecydowanie odpowiadam za to, co stało się później, kiedy złapałam go za koszulę drugą garścią i zaczęłam go pro wadzić w stronę drzwi frontowych.

- Jess. - Rob uśmiechał się od ucha do ucha. Nawet w mroku pod dachem werandy to widziałam. - Co ty wyrabiasz?

- Ciii - szepnęłam. - Chodź za mną. I bądź cicho, bo ich pobudzisz.

- Jess... - Rob pozwolił się wprowadzić tylko do holu, a potem zapał się w miejscu. - Daj spokój - szepnął, kiedy Chigger podszedł od strony kanapy, parę razy liznął go po ręce i poszedł spać. - To nie jest w porządku.

- Nikt się nigdy nie dowie - uspokoiłam go. - Możesz się wymknąć rano, zanim się obudzą. Poza tym - dodałam - wszystko w porządku. Jesteśmy zaręczeni.

I w ten sposób, tej nocy Rob po raz pierwszy zobaczył mój pokój. Tak naprawdę o wiele więcej zobaczył wtedy po raz pierwszy.

Obudził się przede mną. - Jess - szepnął, kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam, że blade poranne światło zaczyna barwić ściany mojego pokoju na różowo. I zobaczyłam, że Rob znów wkłada koszulkę; widok naprawdę wart tak wczesnej pobudki. - Muszę iść.

- Nie idź. - Objęłam go ramionami w talii. Przespałam moment, kiedy wkładał dzinsy. Szkoda.

- Muszę - stwierdził, ze śmiechem wyplątując się z mojego uścisku. - Co, jeśli twoi rodzice się obudzą? Naprawdę chcesz, żeby dowiedzieli się o wszystkim w ten sposób?

Rzucając się z niezadowoleniem na łóżku, powiedziałam:

- Chyba nie. No trudno. A co robisz później?

- Widzę się z tobą - oznajmił, przysiadając w okiennej wnęce, żeby włożyć motocyklowe buty. Strasznie jednak dziwnie było oglądać Roba Wilkinsa w mojej sypialni. Ale jeszcze dziwniej było patrzeć, jak siedzi wśród obrzeżonych koronkami po duszek, którymi mama udekorowała siedzenie wbudowane we wnękę mojego wykuszowego okna. To trochę tak, jak zobaczyć Batmana, który w drogerii kupuje szampon, czy coś. Zupełnie nie na miejscu.

- Muszę na trochę jechać do warsztatu - poinformował mnie Rob, kiedy włożył już oba buty i wstał. - Chcesz do mnie przyjechać, wybierzemy się na jakiś lunch koło pierwszej?

- Mogę ci przywieźć lunch - zaproponowałam. - Mogłabym zrobić jakieś kanapki czy upiec babeczki, czy coś.

Rob na mnie spojrzał.

- Czy ty właśnie powiedziałaś, że upieczesz mi babeczki?

- Tak - przyznałam ze skruchą. - Nie wiem, co mnie napadło. Bo przecież nie umiem.

- Jestem pewien, że jeśli kiedyś upieczesz babeczki, to będą przepyszne - rzekł Rob z galanterią.

- Nie, nie będą.

- No cóż, pewnie masz rację. Ale i tak dzięki, że pomyślałaś.

- No to widzimy się koło południa. - Wstałam z łóżka. - Chodź, odprowadzę cię na dół.

Rob próbował się ze mną spierać, że sam trafi na dół. Ale ja nie chciałam ryzykować, że się natknie na jedno z moich rodziców. Nie miałam ochoty, żeby odwołał zaręczyny po zaledwie sześciu godzinach.

Ale udało mi się bez przeszkód wyprowadzić go przed dom. Jedyna istota poza nami, która nie spała, to Chigger, a on też tylko wstał sprawdzić, czy jest coś do zjedzenia. A ponieważ ni czego nie znalazł, poszedł spać.

Stałam na werandzie, w chłodnym powietrzu poranka. Chociaż było tak wcześnie, zupełnie nie czułam zmęczenia. To dla tego, że raz na odmianę spałam jak kamień.

- Gdzie twoja furgonetka? - spytałam, kiedy rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam na ulicy tylko jakiegoś sedana i - co prze zabawne - transama.

- Zaparkowałem za rogiem - przyznał Rob z nieśmiałym uśmiechem, a potem pocałował mnie na pożegnanie. - Nie chciałem wzbudzać podejrzeń sąsiadów.

- Jesteś dżentelmenem - stwierdziłam. Zaczął schodzić po stopniach werandy, ale nie puszczałam jego ręki. - Hej, Rob?

- Co?

- Mój tata kupił motocykl u ciebie? To znaczy, Błękitną Księżniczkę?

Rob uśmiechnął się swoim asymetrycznym uśmieszkiem.

- Tak. Zapytał mnie, jaki motocykl moim zdaniem podobałby się tobie i... No cóż, miałem taki jeden, który wybrałem dla ciebie dużo wcześniej, nim zapytał. Ujmijmy to w ten sposób.

- Wiedziałam. - Moje serce z radości uprawiało podskoki. - Pa.

- Pa.

Wydawało mi się, że Rob z trudem opanowuje podskoki swojego serca - dowodził tego sposób, w jaki się do mnie uśmiechał.

A potem szybko poszedł w kierunku swojej furgonetki. Stałam i patrzyłam, jak znika za rogiem. Dlatego nie zauważyłam, że drzwi transama, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, otworzyły się. Bo za bardzo byłam zajęta obserwowaniem, jak Rob znika za rogiem.

I dlatego nie zorientowałam się, że w moją stronę idzie Randy Whitehead junior, póki nie był już w połowie podwórka.

- Randy - powiedziała, kiedy wreszcie go zauważyłam. - Kiedy udało ci się wyjść za kaucją?

Serio, nawet nie przyszło mi do głowy, że powinnam się wystraszyć. Tak mi się jeszcze kręciło w głowie po tym wszystkim, co stało się nocą.

A nawet wtedy, kiedy Randy nic nie odpowiedział, tylko szedł dalej w moją stronę z bardzo skupionym wyrazem tej swojej szcyrzej twarzy widocznej spod włosów ostrzyżonych za sto dolarów, wcale mnie to nie zdziwiło. Pomyślałam, że pewnie mnie nie dosłyszał.

- Co ty tu robisz, Randy? - spytałam. - Przyszedłeś prze prosić?

Ale kiedy wszedł po schodkach werandy i dwoma susami znalazł się przy mnie, a potem jedną ręką złapał mnie za szyję, pchając na siatkowe drzwi, zrozumiałam, że przepraszać to on tu nie przyszedł.

- Zniszczyłaś mi życie - szepnął mi do ucha, przyciskając policzek do mojej twarzy.

Próbowałam krzyknąć. Naprawdę próbowałam. Ale dłonią uciskał mi krtań. Nie mogłam oddychać, co dopiero mówić o krzyku.

Chciałabym jeszcze dodać, że Randy wydzielał bardzo silny zapaszek, połączenie potu, Calvina Kleina dla mężczyzn i tequili. Oczy zaczęły mi łzawić i to nie tylko z braku tlenu.

- Nikomu nie robiłem krzywdy - syknął Randy prosto w moje ucho. - Te dziewczyny tego chciały. One same chciały. A teraz mama mówi, że przyniosłem jej wstyd, a tata, wiesz, co mówi tata?

Szarpałam rękoma jego dłonie, próbując oderwać je od mojej szyi. Próbowałam go kopać, ale na bosaka nie mogłam mu wyrządzić większej szkody. Próbowałam go kopnąć w krocze, ale nie udawało mi się dosięgnąć. Zresztą nie bardzo miałam jak wziąć zamach, biorąc pod uwagę, że uniósł mnie parę centymetrów nad ziemię.

- Tata mówi, że jeśli cię zabiję, żebyś nie powiedziała mamie o Ericu, to może nawet mi któregoś dnia wybaczy, że jestem takim nieudacznikiem. - Oddech Randy'ego śmierdział tak samo jak reszta Randy'ego. Już od jakiegoś czasu nie zjadł żadnej miętówki. - Dlatego tu jestem. Miałem nadzieję, że wyjdiesz z domu i wsiądziesz na ten swój motocykl. A wtedy za czekałbym, aż nie byłoby nikogo na drodze i potrafiłbym cię, aż wpadłabyś do jakiegoś rowu, czy coś. Ale wiesz co? Tak mi się bardziej podoba. Bo popatrz sobie. Nikogo w pobliżu nie ma. Tylko ty. I ja.

Trudno mi to było stwierdzić przez ten szum w uszach, ale wydawało mi się, że słyszę szczekanie Chiggera. Tak. Chigger zdecydowanie szczekał. I wściekle rzucał się na drzwi z siatki, tuż za nami. Słyszałam, jak drapie w nie pazurami. To powinno obudzić mamę i tatę. Dobry piesek, Chigger. Dobry piesek.

- Ale powiem ci coś - rzekł Randy. - Dam ci spokój, jeśli powiesz mi, kto to jest Erie. Bo naprawdę bardzo chciałbym to wiedzieć.

I poluznił chwyt na mojej szyi - tylko troszeczkę - żeby mogła mu to powiedzieć. Udało mi się zaczerpnąć oddechu. I wycharczałam:

- Pocałuj mnie gdzieś. Bach! Jego ręce znów zacisnęły się na mojej szyi.

- Nie jesteś zbyt grzeczna - stwierdził Randy. - Jezus, czy ten pies nie mógłby się zamknąć?

I przy słowie „zamknąć” coś się stało z głową Randy'ego. Ona znikła.

A przynajmniej tak to wyglądała z mojego punktu widzenia. Dopiero kiedy przestał mnie ścisnąć za gardło - a ja osunęłam się na werandę, usiłując złapać oddech - zdałam sobie sprawę, że głowa Randy'ego jak najbardziej wieńczyła, na razie, jego ciało. A wydawało mi się, że znikła w efekcie tego, że Rob huknął go w szczękę.

Osunęłam się na siatkowe drzwi i znalazłam się w idealnej pozycji, żeby oglądać, jak Rob spuszcza manto Randy'emu Whiteheadowi juniorowi. Udało mi się zobaczyć latające w koło jakieś powybijane zęby - bardzo to był miły widok - i mogłam wyjaśnić moim zaskoczonym rodzicom, którzy wreszcie wstali z łóżka, że Rob usiłuje zabić Randy'ego dlatego, że Randy próbował zabić mnie.

Ale i tak to nie tata przerwał tę bójkę - chociaż muszę mu sprawiedliwie przyznać, próbował, co stanowiło scenę niemal komiczną, kiedy ten pan w średnim wieku, w bokserkach i podkoszulku, usiłował odciągnąć Roba od pijanego przedstawiciela przemysłu pornograficznego, który najpierw wykorzystał jego siostrę, a potem próbował zabić narzeczoną.

Przerwał człowiek, który zaraz potem wkroczył na nasze po dwórko z wyciągniętą bronią i krzyknął:

- Wszyscy spokój! Stać albo będę strzelał! FBI!

- Och - odezwał się tata, pomagając mi stanąć na nogi. - Dzień dobry, doktorze Krantz.

Wciąż mierząc z rewolweru w Randy'ego - który zresztą wcale nie wyglądał, jakby miał się gdzieś wybierać - Cyrus Krantz powiedział:

- Dzień dobry, Toni. Miałem nadzieję, że to nie za wcześnie, żeby wpaść na kawę. Widzę teraz, że przyjechałem w samą porę. Znów popadłaś w tarapaty, Jessico, hę?

Do tej chwili tata zdołał już oderwać Roba od Randy'ego. Teraz Rob sięgnął ręką i otarł dolną wargę z krwi, a potem spojrział na mnie i powiedział z szerokim uśmiechem:

- Mówiłem ci, że już czas, żeby raz na odmianę ktoś uratował ciebie.

- Niezły dowcip - wykrztusiłam. Bolało mnie przy mówieniu. - Co cię tu sprowadziło z powrotem?

Wyciągnął goły nadgarstek.

- Zapomniałem zegarka.

- Aha. No jasne. Jest u mnie na stoliku nocnym.

- Co tu się dzieje? - zapytała moja mama. - Jessico, dlaczego ten człowiek usiłował cię zabić? I dlaczego Rob tu jest? I co jego zegarek robi na twoim nocnym stoliku?

- Wszystko w porządku. Jesteśmy zaręczeni. - Wyciągnęłam do niej lewą dłoń.

- Mazel tow - powiedział doktor Krantz. Nadal trzymał na muszce Randy'ego Whiteheada juniora, który nie przestawał jęczeć na deskach naszej frontowej werandy.

- Wy co?! - ryknęła mama. A potem wrzasnęła na mojego tatę: - Mógłbyś uciszyć tego twojego przeklętego psa?

- Chigger! Leżeć! - huknął tata. I pies przestał ujadać. - Toni, chyba powinniśmy wejść do środka i zadzwonić po policję.

- Już dzwoniłem - rzekł doktor Krantz, kończąc rozmowę z komórki. - Zadzwoniłem też po pogotowie. Ten młody człowiek ma chyba złamany nos.

Mama nie ruszyła się z miejsca.

- Jesteście zaręczeni? - spytała, patrząc na mnie ze zdumieniem.

- Och, tak. - Rob przeczesywał dłonią ciemne włosy, od czego jeszcze bardziej się potargały. - Pewnie to nie jest najlepszy moment, żeby o to prosić, ale panie Mastriani, pani Mastriani, chciałbym się ożenić z państwa córką, jeśli się państwo zgodzą. To znaczy, ja się z nią ożenię, nawet jak się państwo nie zgodzą, ale wolałbym mieć wasze błogosławieństwo.

- Ona musi najpierw skończyć studia - mruknął tata, przyglądając się plamie krwi na Werandzie. - Lepiej zmyję to wodą, zanim wyschnie.

- Joe! - Oczy mojej mamy wypełniły się łzami. - Tylko tyle masz na ten temat do powiedzenia?

- No a co chcesz, żebym jeszcze powiedział? - spytał tata. - To porządny facet. Zobacz, co zrobił przed chwilą. Uratował życie naszej córce.

- Tak - potwierdziłam ochryplym głosem. - Skip tego nigdy nie zrobił.

- Potrzebuję kawy – jęknęła mama w tej samej chwili, w której powietrze wypełnił jęk syren policyjnych.

- Mamo. - Trudno mi było mówić, bo nadal dość mocno bolało mnie gardło. Ale objęłam ją ramieniem i uściskałam. - Nie myśl, że w ten sposób tracisz córkę. Pomyśl, że w ten sposób wreszcie ją odzyskujesz.

Mama spojrzała na mnie. Usiłowała się uśmiechnąć, chociaż rezultat był nieco blady.

- Nie rozumiem nic z tego, co się właśnie stało - przyznała.

- Ale... - Spojrzała na Roba, który przyglądał jej się z rezerwą.

- Witaj w rodzinie, Rob. Na twarzy Roba pojawił się uśmiech ulgi.

- Dziękuję, pan i Mastriani - powiedział.

- A co mi tam - mruknęła mama, kiedy pierwsze wozy policyjne podjechały na syrenach pod dom. - Możesz mi mówić „mamciu”.

Dopiero kiedy karetka zabrała Randy'ego (pod eskortą policji znalazł się już po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin), a ja złożyłam zeznania (tym razem pozwolili mi je spisać w moim domu; raz dla odmiany nie musiałam w tym celu jechać na komisariat), Rob i tata pojechali do pracy, a mama z migreną udała się do swojej sypialni, wreszcie mogłam wziąć prysznic i ubrać się, a potem usiąść i porozmawiać z człowiekiem, który w końcu przejechał cały ten kawał drogi z Waszyngtonu (w dystrykcie Kolumbia), żeby się ze mną zobaczyć.

Dziwnie się czułam, widząc go na huśtawce na mojej werandzie. Dziwnie, a jednak zaskakująco normalnie. Był taki czas, kiedy jego widok wzbudzał we mnie prawdziwy strach, bo reprezentował wszystko, czego nie chciałam: zainteresowanie mediów, które kiedyś tak wytrącało z równowagi Douglasa, pracę dla rządu, któremu nie ufałam, w ramach agencji rządowej, w którą nie do końca wierzyłam.

A potem poznałam jego - to znaczy Cyrusa - lepiej i zdałam sobie sprawę, że naprawdę miał dobre chęci. I że w gruncie rzeczy jest prawdziwym maniakiem komputerowym i skrycie uwielbia M&Ms z orzeszkami ziemnymi. Ubierał się nawet w to, co jest szczytem letniej mody wśród maniaków komputerowych, to znaczy koszulę z krótkimi rękawami i krawat na gumce oraz spodnie khaki. Miał też plastikowy ochraniacz na długopisy w kieszeni koszuli, który w Afganistanie również zawsze do niej wkładał. Jedyna różnica, że tu, w USA, wolał nosić kaburę z bronią u kostki nogi. Tam nosił ją pod pachą.

W każdym razie, miło było wiedzieć, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- No więc, co tu robisz? - spytałam go całkiem przyjaźnie. - Aha, nie, zaczekaj. Słyszałeś, że odzyskałam swoje zdolności.

- Trochę trudno utrzymać coś takiego w sekrecie - stwierdził Cyrus, sięgając po filiżankę kawy, którą podała mama, a potem znów się rozsiadł. - Zwłaszcza kiedy z nich korzystasz, żeby za pobiegać międzystanowemu handlowi amatorską pornografią.

Popatrzyłam na niego.

- Założyliście podsłuch na moją komórkę, prawda? - Oczywiście - przyznał. - Kiedy obdzwońiłaś wczoraj rano te wszystkie dziewczyny z informacją, co Randy zrobił i jak zamierzasz go ukarać... To był o genialne. I jeszcze sprawdzałaś u ich rodziców, czy pozwolą córkom wrócić do domów, ale ostrożnie, bo nie zdradzałaś miejsca, gdzie ich córki na razie są... To też było kapitalne. Muszę przyznać, że to jedna z twoich lepszych akcji.

- Chciałabym - powiedziałam - żebyście przestali. To zna czy podsłuchiwać moją komórkę. Bo ja już nie wrócę, rozumiesz?

- Do pracy dla nas - spytał Cyrus - czy do Nowego Jorku?

- Jedno i drugie - oświadczyłam.

- Jessico - rzekł Cyrus, kręcąc głową. - Nie śmiałybym cię prosić.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Naprawdę? I nie po to tu przyjechałeś?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, wszyscy się tak o ciebie martwiliśmy. Dobrze słyszeć, że masz się lepiej. A szczególnie cieszę się na wiadomość o tobie i Robie. To świetna nowina. Jak rozumiem, twój brat prosił cię, żebyś pracowała w tej alternatywnej szkole, którą otwiera. Zrobisz to?

- Tak - mruknęłam. W głowie mi się to nie mieściło. Nie miał zamiaru prosić mnie, żebym wróciła do pracy? Naprawdę?! - Przeniosę się na Uniwersytet stanu Indiana i tu zrobię uprawnienia nauczycielskie.

- Bardzo dobrze. Zawsze świetnie radziłaś sobie z dziećmi. Jessico, skoro już pytasz, przyjechałem tutaj głównie po to, żeby... No cóż, wiem, że w przeszłości zdarzały nam się nieporozumienia. Ale chyba oboje chcieliśmy zawsze naprawiać ten świat. Bóg mi świadkiem, że zrobiłaś w tym celu więcej, niż mu siałas. Naciskaliśmy na ciebie... No cóż, naciskaliśmy na ciebie bardziej, niż powinniśmy byli i w rezultacie wykorzystaliśmy cię do cna. Teraz, kiedy odzyskałaś swoje zdolności, to wyłącz nie twoja sprawa, co z nimi zrobisz. Nikt cię nie będzie winił, jeśli nie zgodzisz się ich już nigdy wykorzystywać. Masz wiele innych talentów i jestem całkowicie pewien, że będziesz pracować dla dobra tej planety, korzystając z nich z równym sukcesem, z jakim wykorzystywałaś swoje zdolności parapsychiczne. Ale gdyby zdarzyło się tak, że będziesz chciała wrócić...

- Aha! - zawołałam. A potem tego pożałowałam, bo zabolalo mnie zmaltretowane gardło.

Ale i tak wiedziałam, co nadchodzi. I wcale nie dlatego, że mam zdolności parapsychiczne.

- ...to chciałbym, żebyś wiedziała, że w naszym zespole zawsze będzie dla ciebie miejsce.

Zaraz. Co?

Wytrzeszczyłam oczy jeszcze bardziej.

- To wszystko? Żadnego błagania?

- Żadnego błagania.

- Żadnego grania na poczuciu winy?

- Nic z tego. Jessico, swój obowiązek już spełniłaś. Nikt, a już najmniej ja, nie może cię prosić o więcej. Gdybyś chciała, no to już inna sprawa. Ale skoro nie chcesz... - Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Niech i tak będzie”.

- Mówisz poważnie? - Nadal nie do końca mu wierzyłam. - Dacie mi święty spokój?

- W zupełności.

- Już nie będziecie mi podsłuchiwać telefonu? - Nie.

- Ani mnie śledzić? - Nie. - I nie zwołacie konferencji prasowej, żeby obwieścić, że wracam do poszukiwania zaginionych za pomocą sił parapsychicznych?

- Tylko jeśli będziesz chciała, żebyśmy to zrobili.

- Ani nie będziecie mi opowiadać o jakimś dzieciaku zaginionym w Des Moines, za którym tak bardzo tęskni jego mamusia?

- Jessico. - Doktor Krantz podniósł się z huśtawki. - Już ci mówiłem. Zrobiłaś dla innych więcej, niż można był o od ciebie uczciwie wymagać. Myślę, że czas, żebyś na odmianę zajęła się robieniem czegoś dobrego dla siebie. I właśnie to przyjechałem ci powiedzieć.

Musiałam zadrzeć głowę w górę, żeby zobaczyć jego twarz, bo stojąc, górował nade mną.

- Nieprawda. Przyjechałeś sprawdzić, czy nie zechcę do was wrócić.

- No cóż - przyznał z lekkim zawstydzeniem. - Oczywiście. Ale nie chcesz, co zupełnie zmienia sprawę. Więc zamiast tego życzę ci tylko powodzenia. Dzwoń do mnie, jeśli kiedyś będziesz czegoś potrzebowała. I powiedz swojej matce, że mam nadzieję, że niedługo poczuje się lepiej. Jestem pewien, że tak będzie. To coś między tobą a Robem... No cóż, trochę potrwa, zanim oswoi się z sytuacją. Ale to rozsądna kobieta. Oprzytomnieje.

- Na pewno - powiedziałam. Zawahał się na górnym schodku.

- Oczywiście, jeśli zdarzy się coś takiego, że twoja pomoc stanie się rzeczywiście nie zbędna...

To już bardziej przypominało Cyrusa, którego znałam.

- Możesz do mnie dzwonić - dokończyłam i się roześmiałam.

Minę miał taką, jakby mu potężnie ulżyło.

- No cóż, tylko tyle chciałem wiedzieć. Na razie się pożegnam. I pamiętaj... Pora zrobić coś dobrego dla siebie, Jessico.

Po tym oświadczeniu wrócił do czekającego czterodrzwiowego sedana o przyciemnionych szybach - tego samego, który parkował przed naszym domem dziś rano - a

którego wtedy nie zauważyłam. Tego, który parkował kawałeczek dalej za transamem Randy'ego.

A kiedy odjechał, zadzwoniła moja komórka. Wyjęłam ją z tylnej kieszeni i odezwałam się:

- Halo?

A z drugiej strony usłyszałam jakiś dziki wrzask.

- Tak, Ruth - powiedziałam spokojnie. - Jak się dowiedziałas?

- Mike właśnie skończył rozmowę z twoim ojcem. Mogę być druhną?

- Ugh! - zawołałam. - Wykluczone. W żadne takie się nie bawię.

- Co? - spytała Ruth z wyraźnym rozczarowaniem. - Dla czego nie?

- Hm, bo to mój ślub, a ja nie chcę żadnych drухen - stwierdziłam. - Możesz być moim świadkiem, jeśli chcesz.

- A będę mogła włożyć jakąś śliczną sukienkę?

- Możesz włożyć, co chcesz. Wszystko jedno.

- Twoja mama będzie strasznie tym wszystkim rozczarowana, jestem pewna. Aleja się bardzo cieszę.

- Tak - sarknęłam. - Bo teraz będziesz miała w pokoju Mike'a zamiast mnie.

- Przestań. - Ruth się roześmiała. - Byłaś cudowną współlokatorką. No cóż, pomijając te nocne koszmary. A skoro mowa o koszmarach, jak twoja mama radzi sobie z tym wszystkim?

- Upora się z tym - stwierdziłam. Bo rzeczywiście wiedziałam, że się z tym upora. Z czasem.

- A Douglas wie?

- Jeszcze nie. Rob i ja umówiliśmy się na lunch z nim i Tashą o... - Zerknęłam na zegarek. - Już zaraz. Muszę lecieć. Pogada my później. I Ruth?

- Tak?

- A ja mogę być twoją druhną? Kiedy będziesz wychodziła za Mike'a?

Ruth, jak przewidywałam, znów zawyła radośnie i się rozłączyła. Z uśmiechem poszłam do garażu i wyprowadziłam swój motor, a potem pojechałam do Warsztatu Napraw Samochodów I Motocykli Wilkinsa. Nie powiem, żebym była jakoś specjalnie zdziwiona, kiedy przystając na światłach na skrzyżowaniu First i Main, zauważyłam na sąsiednim pasie Karen Sue Hankey w białym kabriolecie. Uniosłam osłonę kasku i zawołałam:

- Karen Sue! Obejrzała się na mnie, zaskoczona.

- Jess?

- Hej. Przepraszam, że cię wczoraj wystawiłam do wiatru. Miałam mnóstwo na głowie.

- Wiem - przytaknęła Karen Sue z powagą. - Czytałam dziś rano w gazecie.

- Chcesz się umówić na kiedy indziej?

- Jasne. Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Och! - westchnęłam. - Nigdy. Karen Sue opadła szczęką.

- Co?!

- Zostaję tutaj - oświadczyłam, wzruszając ramionami.

- Tutaj? - Karen Sue była w szoku. - Dlaczego?

- Bo jestem zaręczona z właścicielem jednej z miejscowych firm. - Światło zmieniło się na zielone. - Zadzwoń do mnie!

Zostawiłam Karen Sue na światłach, nadal w szoku. Kiedy zerknęłam w lusterko wsteczne, zanim skręciłam na parking przed warsztatem Roba, zobaczyłam, że dalej tam tkwiła z otwartymi ustami, a za nią stał sznur trąbiących samochodów.

Od pierwszego spojrzenia widziałam, jak wiele zrobił Rob w warsztacie swojego wujka. Po pierwsze, było tam o wiele czystiej. Po drugie, oprócz amerykańskich i japońskich samochodów naprawiali też europejskie modele. Kiedy weszłam, Rob w szarym kombinezonie pochylał się nad silnikiem miodowego mercedesa coupe, za którego kierownicą siedziała jasnowłosa kobieta, która kogoś mi przypominała, chociaż nie bardzo wie działał, kogo. Tak w pierwszej chwili.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Rob do blondynki, która posłusznie przekręciła kluczyk w stacyjce.

Silnik z pomrukiem zaskoczył. Rob z zadowoloną miną opuścił maskę.

- To znów tylko rozrusznik - stwierdził, sięgając po szmatkę, żeby zetrzeć smar z dłoni. - Nie powinien sprawiać ci więcej kłopotów. Tylko...

Ale nie zdążył dokończyć, bo blondyna wyskoczyła z samochodu i rzuciła mu się w ramiona, obejmując go rękoma za szyję.

- Och, Rob! Potrafisz zdziałać cuda! - zawołała. - Nie wiem, jak mam ci dziękować!

I pocałowała go z rozmachem w same usta.

I dokładnie w tej chwili zaskoczona zauważyła mnie.

A ja już wiedziałam, skąd znam tę twarz.

To była Panna - Z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy. Jej największe zalety, co zobaczyłam, kiedy wreszcie odsunęła się od Roba i stanęła do mnie przodem, osłonięte były najbardziej skąpym z możliwych topem.

Ale tym razem nie uciekłam. Tym razem przeszłam przez warsztat i stanęłam tuż przed nią. A potem, zadzierając głowę, żeby móc spojrzeć w jej przesadnie umalowane oczy, powie działałam:

- Cześć, my się chyba nie znamy. Jestem Jess, narzeczona Roba.

Panna - Z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy uśmiechnęła się do mnie z lekkim zamroczeniem i powiedziała, nie przedstawiając się:

- Rob jest zaręczony?

- Tak - odparłam. - Jest zaręczony. I jeśli chociaż jeszcze raz spróbujesz go pocałować, to rozwalę ci czaszkę kluczem francuskim. Jasne?

Uśmiech blondynki zamarł.

- Och! - jęknęła, szeroko otwierając oczy. - Hm. Tak. Rozumiem. Ja, hm, bardzo przepraszam. Nie wiedziałam. Jestem po prostu bardzo wylewną osobą i zdarza mi się...

- No cóż. - Mrugnęłam do niej przyjaźnie. - Ale teraz już wiesz. Więc się od niego odwal.

Blondynka spojrzała pytająco na Roba, który miał rozbawioną minę. I widać było, że mu ulżyło.

- Nancy, możesz zapłacić tam, przy kontuarze - powiedział.

- Jake ma dla ciebie rachunek.

- Dobrze - bąknęła Panna - Z - Cyckami - Wielkości - Mojej - Głowy, szybko mrugając powiekami. - Dzięki raz jeszcze, Rob. Miło było cię poznać, hm, Jess. I, hm, naprawdę przepraszam. I gratulacje.

- Dzięki. Też mi miło. Zapraszamy ponownie. Po drodze do kontuaru Nancy o mało nie pogubiła swoich butów na platformach, tak się śpieszyła, żeby przede mną uciec. Podniosłam oczy na Roba i powiedziałam:

- Wiesz co?

- Co? - zapytał, nadal z szerokim uśmiechem.

- Już nie jestem poharatana psychicznie.

- Zauważyłem - stwierdził, nadal z tym samym uśmiechem.

- A gdzie się podziała zasada niestosowania przemocy?

- Przecież jej nie uderzyłam. Widziałeś, żebym ją uderzyła? Ja jej tylko groziłam.

- No, to się dało zauważyć. Muszę przyznać, że naprawdę wykazałaś się opanowaniem. A więc? Już czas na lunch?

- Czas na lunch.

- Tylko się umyję. Hej, wiesz? Tak gadaliśmy z chłopakami. Czy teraz, kiedy odzyskałaś swoje zdolności, to znaczy, że jak będziemy mieli dzieci, ty zawsze będziesz wiedziała, gdzie je znaleźć?

Zastanowiłam się nad tym.

- Tak - potwierdziłam.

- I mnie też? - Objął mnie w tali. - Zawsze będziesz wie działa, gdzie jestem?

- Och, tak. - Uśmiechnęłam się do niego szeroko. - Zwłaszcza że wreszcie znalazłam tę osobę, której szukałam tak długo.

- Kogo takiego? - spytał Rob.

- Samą siebie - powiedziałam. I przytuliłam się do niego.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękują Jennifer Brown, Johnowi Henry'emu Dreyfussowi, Laurze Langlie, Amandzie Maciel, Abby McAden oraz Ingrid Van Der Leeden.